

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/332

1975



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

BARTŁOMIEJ :

CIEŃ ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :

SPOTKANIE Z NIEKRASOWEM

CO ROBIĆ? : OD REDAKCJI; M. KOWALSKI - **O POTRZEBIE PROGRAMU**; - KRAJOWIEC - **PARĘ UWAG W KWESTII SOCJALIZMU**; A. LITWIN - **CZY «POLITYCZNA OPOZYCJA»?**

SPIS RZECZY

Bartłomiej:	<i>Cienie zapomnianych przodków</i>	3
Juliusz Mieroszewski:	<i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	22

CO ROBIĆ ?

—	<i>Od Redakcji</i>	33
Marian Kowalski:	<i>O potrzebie programu</i>	35
Krajowiec:	<i>Parę uwag w kwestii socjalizmu</i>	57
Aleksander Litwin:	<i>Czy „polityczna opozycja”?</i>	66
Czytelnik z Kraju:	<i>List do Redakcji</i>	75

ARCHIWUM POLITYCZNE

Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	77
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	87

SĄSIEDZI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Spotkanie z Niekrasowem</i>	90
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	96
Wiktor Sukiennicki:	<i>Białoruskie rozbitcie — Trzecia siła</i> ..	102
M. D.:	<i>Kronika ukraińska</i>	106

K R A J

Antoni Gutowski:	<i>Inflacja w samą porę</i>	108
—	<i>„Czarna lista” polskiego dziennikarstwa</i>	116

SPRAWY I TROSKI

P. Emigrant:	<i>Raptularz londyński</i>	117
—	<i>Stypendia „Polonia Technica”</i>	122

K S I A Ź K I

Janina Katz-Hewetson:	<i>„My” i „Oni”</i>	123
M. Broński:	<i>Laur i ciemność</i>	127
Tadeusz Kołymski:	<i>Świat niewolnictwa i jego literatura</i> ..	132
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	140



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	142
---	----------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	150
--------------	----------------------------	-----



L. Frendl, L. M. Meinhardt, A. Nasielski, A. W. Rudziński, Ks. W. Sojka, P. Wandycz, M. Wisti, List z Kraju:	<i>Listy do Redakcji</i>	151
---	--------------------------------	-----



Z ostatniej chwili:	<i>Postscriptum do artykułu Brukselczyka</i>	160
	<i>Wiadomość z Krakowa</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1975

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz piąty	F. 42,00
Feliks Jabłoński, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 20,00
Walter Łuszczak, Thunder Bay „P”, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 20,00
T. W. Oskarbski, Hamilton, Ont. (Kanada)	F. 40,00
Polonia Technica, Inc., New York, po raz jedenasty	F. 105,00
I. Strycharz, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 20,00
Stefan Taraszkiewicz, Eden, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 25,00
Józefa Turska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 414,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz siódmy	F. 50,00
Bezimiennie z Winnipegu, Man. (Kanada)	F. 207,00

DZIĘKUJEMY!

DO CZYTELNIKÓW « KULTURY »

W związku ze 100 % podwyżką opłat pocztowych ponawiamy prośbę, aby Czytelnicy przy zamawianiu książek *do należności 10 % na koszty przesyłki*, oraz aby do listów wymagających odpowiedzi dołączali kupony pocztowe w odpowiedniej wysokości (zwykły list zagr. kosztuje obecnie F. 1,20 lub dol. 0,30, a lotniczy do Ameryki Płn. i Płdn., Kanady czy Afryki — F. 1,70 lub dol. 0,40; do Australii i Azji — F. 1,90 lub dol. 0,45). Otrzymujemy codziennie takie ilości listów wymagających odpowiedzi, że miesięcznie stanowi to poważny wydatek sięgający kilkuset dolarów.

Tak samo przesyłając *niezamówione* rękopisy należy dołączać należność na ich ewentualne odesłanie.

Specjalna prośba do Czytelników w Kanadzie: od każdego czeku w dolarach kanadyjskich — banki kanadyjskie potrącają \$ 1,50 niezależnie od kosztów inkasa we Francji. Usilnie prosimy bądź o przesyłanie czeków bankowych we Frankach bądź wpłacanie należności na pocztę na nasze konto pocztowe wymienione na wewnętrznej okładce pod wykazem przedstawicieli. — Dziękujemy.

REDAKCJA



Cienie zapomnianych przodków

Pisanie o sobie nie jest rzeczą łatwą. A przecież musi być to tekst o mnie, bo o Nim napisano już tony papieru. Nie prowadziłem badań źródłowych, niewiele więc mógłbym dodać do benedyktyńskiej pracy Poboga-Malinowskiego. Nie piszę też biograficznego eseju — zrobią to pewnie inni, lepiej przygotowani. Cóż to zatem ma być? Ma to być tekst o Nim w mojej duchowej biografii; o tym, dlaczego jest to postać tak ważna — dla mnie. Nie potrafię uogólnić doświadczeń mojej generacji. Nie wiem jak u innych tradycja rodzinna zderzyła się z przekazem szkolnym, jak u nich opowieści rodziny i przyjaciół korespondowały z propagandą. Dlatego piszę w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Ma to być świadectwo pojedynczego, może nietypowego człowieka.

Zasadniczą cechą ustroju, w którym żyję, jest dążenie do zawładnięcia umysłem ludzkim. Zaczyna się to w szkole poprzez budowanie takiego świata duchowego, gdzie wszystko jest jasne, jednoznaczne i „dookreślone”. „Dookreślenie” przez konieczności władzy nie polega li-tylko na modelowaniu wizji teraźniejszości. Modelowana jest i przeszłość. Nic dziwnego zresztą: kto rządzi wyobrażeniami o przeszłości, ten manipuluje myśleniem o teraźniejszości i przyszłości. Dzieje się tak zwłaszcza w kraju, gdzie tak często historia jest maską dla sporów o współczesność. Odkłamanie przeszłości bywa nader często odnalezieniem własnej tożsamości. Klucz do przeszłości otwiera drzwi niejednego z dzisiejszych sezamów. Tak było i ze mną.

Nie była to droga łatwa. Urodzony już po wojnie, traktowałem otaczającą mnie rzeczywistość jako coś zupełnie naturalnego, jako świat oparty na prawdzie i sprawiedliwości. Najpewniej byłem nietypowy. Inni mieli inne doświadczenia. Ogromna część polskiej inteligencji została w 1945 roku zepchnięta w piekło ubeckich kazamatów, zmuszona do emigracji zewnętrznej i wewnętrznej. Resztę zmuszono do kolaboracji z wrogiem, którego nienawidzili i którym pogardzali. Nieliczni tylko mogli mniemać, że otworzyła się szansa przestawienia Polski na nowy tor cywilizacyjny: na tor postępu społecznego, demokracji i humanizmu. Takimi ludźmi byli komuniści. Moi rodzice byli przedwojennymi komunistami. Dla jasności: polskimi komunistami pochodzenia żydowskiego.



Nie upewniano mnie nigdy w domu, że żyję w najlepszym ze światów, ale i nie wspomiano przy mnie, jak to dobrze było przed wojną. Bo nie wszystkim przed wojną było dobrze. W tej niepodległej Polsce byli ludzie biedni, poniżeni, skrzywdzeni i prześladowani. Komunistami stawali się nie dla pieniędzy i posad rządowych, ale dla godnego życia. Dlatego może nigdy nie przeciwstawiłem złej Polsce powojennej dobrej Polski przedwojennej. I dziś zresztą tego nie robię.

Na moją ówczesną wizję przedwojennej Polski kładł się ogromnym cieniem ten, który nią rządził: Józef Piłsudski, dyktator odpowiedzialny za Brześć i Berezę, twórca faszystowskiej konstytucji, wróg postępu.



Początek krytyki rzeczywistości polskiej był dla mnie wynikiem konfrontacji idei głoszonych oficjalnie z praktyką codzienności. Łącznie doszedłem do przekonania, że rewolucja została zdradzona, idee socjalizmu zaniechane, że demokracja polityczna i społeczna istnieje tylko na papierze. Rzadko jednak sięgałem do przeszłości międzywojennej; najwyżej po to, by piękną postacią Wery Kostrzewy przeciwstawić ponurym, cynicznym i dyktatorskim władcom mojego kraju.

Tak zwaną „kwestię narodową” uważałem za załatwioną, nie rozumiałem emocji, które wzbudziła książka Żałuskiego. Autora „Siedmiu grzechów...” uważałem za nacjonalistę (w czym się nie myliłem), a emocje skłonny byłem uznać za rudymenty świadomości właściwej narodom podbitym. Polskę Anno Domini 1963 uważałem za kraj suwerenny od czasów polskiego października (w czym myliłem się głęboko i fundamentalnie).

Prawdziwym wstrząsem był dla mnie 1968 rok. Nie napisano dotąd monografii o wypadkach marcowych. Przyszłemu monografście polecam zastanowienie się nad takim oto problemem: jakie tradycyjne kultury polityczne ożyły w tym czasie? Pouczająca mogłaby być choćby analiza prasy, która pod pewnymi względami miała więcej swobód niż kiedykolwiek indziej. Ostatecznie, nawet zaraz po przełomie październikowym w 1956 roku, cenzura konfiskowałaby artykuły np. jawnie antysemityczne. Momenty kryzysu systemu ujawniają fragmentarycznie rzeczywisty obraz świadomości społecznej. Kryzys 1956 roku ujawnił zarysy polskiej myśli demokratycznej. Kryzys 1968 roku ujawnił fragmentaryczny zarys tego, co w polskiej myśli wsteczne, tępe, szowinistyczne, nasycone ksenofobią. Była to — wedle celnego określenia Władysława Bieńkowskiego — „rewolucja obskurantyzmu”.

Można, naturalnie, powtarzać nadal, że to nie naród, że to tylko straszni komuniści, te rządzące potwory, podzielili się na głosy i — jak w epoce stalinowskich procesów — donośnym rykiem żądali: „krwi!”. Taki pogląd jest — moim zdaniem — braniem złudzeń i życzeń za rzeczywistość. Zasadnicza różnica pomiędzy rokiem np. 1952 a 1968 polega na tym właśnie, że w 1968 roku antyinteligentki i antysemitki pogrom dokonywał się przy — mniej lub bardziej czynnej — akceptacji niemałej części społeczeństwa. Komunizm wytworzył w Polsce swoją specyficzną podkulturę, której rdzeniem był tradycyjny nacjonalizm. Nie mógł ten czynnik zostać wyzyskany do końca ze względu na obecność Wielkiego Brata. Ale przecież wystarczyły te liczne aluzje w prasie i stugębna plota, by w ubeckim opryszku niemała część opinii ujrzała bohatera narodowego, patriotę i niepodległościowca. Jacy Polacy mogli tak uważać? Czy była w Polsce tradycja uzasadniająca takie przeświadczenie? Czy rycerze Ciemnogrodu kreujący się na jedynych godnych imienia Polaka mieli się do czego odwołać? Czy byli już *przedtem* w Polsce ludzie, dla których udział w pogromie Żydów był legitymacją do narodowej dumy?



Jeśli ktokolwiek sądził, że październik 1956 roku uczynił Polskę krajem suwerennym, jeśli lekkomyślne wnioski wyciągał z przypadku albańskiego lub rumuńskiego (jak np. niżej podpisany), tego lekcja czechosłowacka wyleczyła ze szkodliwych złudzeń. Wtedy odkryte zostały wszystkie karty politycznego pokera. Podczas tej lekcji okazało się, że suwerenną Polską rządzi Wielki Brat; że polscy bohaterowie nagonki antysemitycznej kroczą na czele wojsk niosących „bratnią pomoc chłopom i robotnikom

Czechosłowacji jęczącym w okowach zachodniemieckiego rewizjonizmu”.

Niestety, ta ironia jest tu zupełnie nie na miejscu. Uśmiechnąć się może tylko ten, kto nie rozmawiał z warszawiakami — różnej kondycji społecznej — bezpośrednio po interwencji. Kiedy relacjonowałem te rozmowy kolegom, którzy sierpień 1968 roku spędzili w więzieniu nie chcieli mi wierzyć. A przecież nie fantazjowałem! Spora część warszawskiej ulicy zaaprobowała duchowo udział wojsk polskich w niszczeniu wolnościowej zarazy u południowych sąsiadów; tej zarazy, która mogła się wszak i na Polskę rozszerzyć. I znów postawiłem sobie pytanie: któż to w naszej historii gotów był sprzymierzyć się z rosyjskim zaborcą, by wytępić rewolucyjną zarazę? Któż to patriotyzmem nazywał współdziałanie z żandarmem Europy?



Słabością ludzkiego umysłu jest szukanie analogii. W spotkaniu z totalitarną rzeczywistością jesteśmy bezradni, bezsilni, szukamy jakichś sytuacji, które wskazać by mogły, jak inni, w innym czasie, zachowywali się, stając wobec dylematów podobnych do naszych. I wtedy właśnie — w 68 roku — przeczytałem relację o spotkaniu Dmowski-Witte w 1905 roku; i wtedy wyłoniły się z cienia twarze aktorów tamtych wydarzeń: ludzi, którym dane było w jednym życiu doznać najczarniejszej beznadziei i ujrzeć biało-czerwony sztandar na Zamku Królewskim w Warszawie. Niepodległość stworzyła nową perspektywę do myślenia o orientacjach polityki polskiej w ciągu ubiegłych lat dwudziestu. Jasniej było widać, które działania tę niepodległość przybliżały, a które oddalały; jaśniejszą stała się także istota sporu o kształt niepodległości.

Co mnie uderzyło w rozmowie Dmowskiego z Wittem? Oto polski polityk komunikuje rosyjskiemu premierowi, że ruchy rewolucyjne w Polsce są dziełem przybyłych z Rosji Żydów i że jedynym remedium na ten stan rzeczy jest przekazanie władzy w Warszawie Polakom, którzy sami ukrócą działania socjalistycznych bojówek.

Na czele tych bojówek stał, lżony i poniewierany przez endeckich żurnalistów, Józef Piłsudski, najwyraźniej powolne narzędzie w rękach rosyjsko-żydowskich agitatorów, bez których — jak dowodziły endeckie gazety — Polakom nigdy by nie przyszło do głowy walczyć o sprawę niepodległości i społecznej reformy.



Piłsudski wyłonił się z nocy, która zapadła w Królestwie Polskim po klęsce powstania styczniowego. Najsampierw ważną wydała mi się być analiza tej „nocy”, przyjrzenie się z bliska, jak ludzie wtedy myśleli i postępowali.

Milczenie, wewnętrzna emigracja — takie było najczęściej rozwiązanie. Zrozumiwały i zasadny bezpośrednio po klęsce, w czas jakiś później wybór ten nabrał charakteru dwuznacznego. Obrona języka ojczystego, obyczaju i tradycji w zaciszu domowego ogniska, obrona substancji narodowej w czterech ścianach własnego domu i podczas przygodnych kontaktów z sąsiadami czy kuzynami, wytwarzała osobliwy rodzaj patriotyzmu i szczególnie typ patrioty. Patriotą taki manifestował swą polskość spożywaniem tradycyjnego barszczu i śpiewaniem okolicznościowych kołęd wtedy, kiedy inni już spiskowali. On nie spiskował. Dla niego spiski były dziełem Moskali i nieodpowiedzialnych demagogów, którzy narażali naród na kolejne hekatombi represji.

Obrona „substancji narodowej” poprzez redukcję jej do sfery języka i obyczaju prowadziła do zapoznania istoty konfliktu Polaków z carską Rosją. Istotą działania rosyjskiej szkoły była nie tylko rusyfikacja językowa, ale także — może głównie — „rusyfikacja” duchowa, zdeprawowanie umysłu, przyuczenie do życia w kłamstwie i niewoli. Obrońcy „substancji narodowej” bronili polskiej formy, gubiąc jej istotną zawartość. Dziś powiedzieliśmy, że byli narodowi w formie i rosyjscy w treści.

„Rosyjscy” — jakże niezręcznie dziś używać tego sformułowania. Dziś, kiedy antyrosyjskość bywa maską dla postaw zachowawczych i dla zwyczajnego konformizmu. W tamtych czasach antyrosyjskość pozwalała endekom wzywać polską młodzież studentką do bojkotu demonstracji wolnościowych akademików-Rosjan. Dzisiaj antyrosyjskość pozwala łaskawym okiem spoglądać na obrzucanie wyzwiskami („reakcyjny słowianofil”) Sołżenicyna przez polskich pismaków. Wszak to Rosjanin!

Słyszałem, jak któryś z aktualnych obrońców „substancji narodowej” powiedział: „Bójmy się Sołżenicyna!”. Ktoś mu odrzekł: „Ja się bardziej boję Breżniewa, choć on może i nie jest słowianofilem”. Ten drugi miał rację. Polski szowinizm nasycony ze swej natury antyrosyjskością (to tylko jedna z postaci ksenofobii) prowadzić może (choć nie musi) do postawy wiernopoddańczej. Kliniknym, chemicznie czystym wyrazem tej postawy są Moczar i Piasecki.

Czy Piłsudski był antyrosyjski?



Tak, Piłsudski był antyrosyjski. Ale może warto sobie uświa-

domić, że jego bunt nie był buntem tylko przeciw Rosji. Był także buntem przeciw znacznej części społeczności polskiej. Przeciw konformizmowi, grusności umysłowej i moralnej, wstecznicztwu własnych rodaków. Piłsudski rozumiał doskonale, że aby odzyskać niepodległość nie wystarczy pokonać Rosję; że trzeba, aby Polacy chcieli tej niepodległości. Działalność kierowanej przez Polaków Polskiej Partii Socjalistycznej była wychowywaniem Polaków ku niepodległości. Jak wychowywano Polaków? *Gazeta*. Wolnym, niepodległym, niecenzurowanym słowem drukowanym. Społeczeństwo żyjące w niewoli musi wyprodukować z siebie literaturę nielegalną, bo musi znać prawdę o sobie samym, widzieć swój obraz niezafałszowany, słyszeć swój głos autentyczny. Istnienie nielegalnej literatury jest niezbędnym etapem w walce z duchowym zniewoleniem.

Piłsudski — redaktor nielegalnego „Robotnika” — świetnie zdawał sobie sprawę z takiego stanu rzeczy. W pięknej gawędzie o „bibule” — uogólnił tam doświadczenia ówczesnego „samizdatu” — kładł nacisk na potrzebę walki o ludzkie umysły, o niezafałszowane uczucia, o prawdę. Była w tej opowieści zawarta nie tylko fabularna relacja o przygodach kolporterów wolnego słowa, ale i instruktaż: co robić i jak to robić? Jak drukować broszury w kraju, jak przemycać książki z emigracji. Nigdy nie przyjął Piłsudski tej absurdalnej perspektywy, w której ludzie z emigracji sami postawili się poza polską społecznością. Sam był czas jakiś emigrantem, wiedział, że dla społeczeństwa podbitego emigracja jest skarbem bezcennym, jest okiem i uchem na świat, jest ustami, które mówią bez knebla i które oddychają świeżym powietrzem, wprowadzając je do organizmu.

A my? Pamiętam proces „taterników”. Oskarżono ich o szmugiel literatury (m.in. Gombrowicza, Wierzyńskiego, Herlinga-Grudzińskiego). Dostali wyroki. Nie wyroki jednak — chociaż drańskie — mną wstrząsnęły, ale reakcja niektórych mądrali z warszawskich kawiarni. „Oto skutki dziecinnady konspiracyjnej” — powiadali intelektualści którzy drukowali wprawdzie w szmacie *Wilhelmiego*, ale współpracę z emigracyjnym miesięcznikiem zawsze potępia. Dlaczego? Ano dlatego, że zbyt prawicowy (lub zbyt lewicowy), że nadto radykalny (lub za mało radykalny), a w gruncie rzeczy dlatego, że strach i wewnętrzne zniewolenie nakazuje im włożyć knebel do własnych ust i wyrzec się elementarnego zawodowego obowiązku: *obowiązku mówienia prawdy*.

Myslałem o Piłsudskim, czytając artykuł Leszka Kołakowskiego „Sprawa polska”. Któż celniej niż on — ten panicz z Zułowa

— rozumiał, że naród, który o swą wolność nie umie i nie chce walczyć, na tę wolność nie zasługuje; że się oducza od życia w wolności.

Naród żyjący w niewoli nie może składać się wyłącznie z bohaterkich konspiratorów. Musi mieć swoich „organiczników”, budowniczych fabryk i mostów, nauczycieli w szkołach, lekarzy, nawet ugodowych wobec zaborcy administratorów. Ale biada takiemu narodowi, który swych spiskowców uważa za niedowarzonych młodzików czy wynarodowionych demagogów; który w tych najlepszych widzi obcą inspirację czy obcą kiesę; który rząd dusz oddaje tym rozumnym konformistom, dbającym o sprawę polską tożsamą ze sprawą własną; bowiem taki naród niszczyć musi.

To co realne rzadko bywa tożsame z tym co dobre: myślenie „realistyczne” w polityce często rozmija się z materialną rzeczywistością.



Nie wiem, czy potrafię zrozumieć dylematy tamtych ludzi, ale złość Piłsudskiego z powodu nazywania każdej podłości działaniem realistycznym jest mi jakoś bliska. Któż w końcu okazał się realista? Czyż optujący za współpracą z carską Rosją Roman Dmowski? Ten najlogiczniejszy z polskich myślicieli politycznych, zręczny gracz, chłodny realista nie dotrzegł przecież i nie rozumiał dynamiki procesów społecznych w rosyjskim imperium. Akceptując — „realistycznie” — obecność (na czas nieokreślony) rosyjskich pułków w Warszawie, skoncentrował się na wychowywaniu społeczeństwa polskiego w duchu swej ideologii „nowoczesnego Polaka”. „Nowoczesny Polak” miał słuchać rosyjskiego generał-gubernatora, rozbijać żydowskie sklepy i czekać na zmianę koniunktury międzynarodowej. Wtedy zjednoczone zostaną, być może, pod berłem rosyjskiego cara wszystkie ziemie polskie, to znaczy, oprócz Warszawy także Poznań i Kraków znajdują się w zasięgu kozackiej nahajki. Z różnymi „socjałami” — dostrzegał tu Dmowski na ogół żydowską rękę — winien „nowoczesny Polak” podjąć pryncypialną polemikę. I podjął tę polemikę w 1905 roku — za pomocą bojówek endeckich uzbrojonych w kastety i rewolwery, które pomagały rosyjskim żołdakom wypłenić rewolucyjną zarzę.

Piłsudski nie był taki nowoczesny. Skierowywanie namiętności narodowych w koryto prorosyjskiego w skutkach antysemityzmu potępiał, widząc w tym — słusznie — naśladowanie rosyjskiej „czarnej sotni”. Zastępowanie walki z caratem rozbijaniem żydowskich sklepów uważał za podłość i głupotę; współpracę ze stójkowymi w łamaniu robotniczych strajków nazywał po imieniu — zdradą.

Realizm, realizm... Czy bez tych romantyków socjalizmu, podnoszących rękę na kolosa (dopiero później okazało się, że miał on gliniane nogi) byłaby Polska? Czy Polacy „wybiliby się na niepodległość”, gdyby zabrakło tych, którzy o potrzebie niepodległości wciąż powtarzali? Czy szubienica, na której zginął Montwiłł-Mirecki, towarzysz Piłsudskiego z socjalistycznej bojówki, nie stała się wezwaniem dla następnych? Czy może istnieje naród bez imponderabiliów?

Naród bez imponderabiliów, naród wyrzekający się obrony tego co nieuchwytnie czasem i niemożliwe do nazwania, wyrzeka się własnej kultury, stacza się do poziomu plemienia. Realizm i ugoda bywają cnotami u polityków, ale są to cnoty, którym trzeba patrzeć na palce. Są to bowiem cnoty wallenrodzizmu — udawać kogoś innego niż się jest, zamaskować prawdziwą twarz i rzeczywiste dążenia. Jakże często — widzimy to dziś zwłaszcza — maska na twarz nałożona staje się prawdziwym obliczem; jakże często instrument do realizacji wartości staje się wartością samą w sobie i dla siebie. Owocem takiego realizmu są Bolesławowie Piaseccy pokrywający własną nikczemność płaszczem patriotycznej tradycji. „Wallenrodzizm staje się znikczemnieniem” — zakonkludował w 1904 roku Stanisław Witkiewicz. Świadom tego był i Piłsudski, rehabilitując tradycję oporu i wzywając do oporu. Tłumaczył Grabcowi-Dąbrowskiemu: „Każde pokolenie krwią swoją musi przypomnieć, że Polska żyje i z niewolą się nie pogodzi”.

Dla naszych uszu brzmi to jak przesłanie zza grobu. Karmieni papką „realizmu” widzieliśmy, jak „wallenrodzi” po 56 roku przepoławiają się. Wchodząc do aparatu władzy szybko zapominali o racjach, które nakazywały im to „włączenie się w rzeczywistość”, i rychło zaczęli uważać swój udział we władzy za wartość samoistną i naczelną.

Piłsudski tłumaczył Grabcowi co jest ich wspólnym obowiązkiem wobec narodu. Ale przecież nie były to jedyne motywy jego postępowania. W liście do Feliksa Perła, pisanym tuż przed akcją bezdańską, pisał: „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to *ubliża* — słyszysz! — ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie kłozetowej) atmosferze — ja nie mogę! To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co, to zwyczajne społeczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to

walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką”.

Ten list przedrukowała paryska *Kultura* w 1968 roku. Była to data nieprzypadkowa. Nigdy — tak jak wtedy właśnie — nie oddychało moje pokolenie w atmosferze gnojówki, która łała się nieustannie, codziennie, szerokim strumieniem przez szpalty gazet. Głos Piłsudskiego sprzed 60 lat był dla mnie zbawienny: ktoś wreszcie przydał właściwą proporcję sferze spraw niepojętych dla mnie, niewytłumaczalnych w tradycyjnych kategoriach: ależ tak, wychodek jest wychodkiem i nie wymaga żadnych subtelnych rozważań.

I — co równie ważne — jest to perspektywa już nie tylko narodowa, ale czysto ludzka. To już nie żadne racje patriotyczno-polityczne, tylko moje, moje własne dobro nakazuje mi walkę, która ocala przed pogrążeniem się w tej anonimowej, bezkształtnej masie zdeprawowanych, zniewolonych, posłusznych...



W popularności „Wesela” Wyspiańskiego, w aktualności tej sztuki jest coś głęboko niepokojącego. Nie jest to przecież aktualność polegająca na tanich aluzjach („Chińczycy trzymają się mocno”), tylko aktualność problematyki. Jest to zapis „niemożności” polskiej inteligencji, głębokiego rozdarcia pomiędzy inteligencją i tzw. „ludem”.

Film Andrzeja Wajdy — oglądany wkrótce po Grudniu i z żywą pamięcią Marca — ponownie przywołał ten centralny problem polskiej historii i polskiej rzeczywistości. Owo rozszczepienie usiłował Piłsudski przezwyciężyć poprzez czyn. Oceń polską inteligencję bardzo surowo: „histeryczne panny, nie znoszące drapania po szkle, ale znoszące pranie ich po pysku”. Pisał o „zdziecinniałym z tchórzostwa społeczeństwie”, o „społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz”. Jakie postępowanie doradzał inteligentowi? Inteligent miał wyjść z kawiarni, pisać nielegalne broszury, redagować nielegalną gazetę, prowadzić nielegalne wykłady na nielegalnym uniwersytecie. W ten sposób miał przełamać swoją samoizolację, miał stać się konstruktorem ruchu robotniczego i mózgiem tego ruchu. Miał być wychowawcą społeczeństwa.

Do czego chciał wychowywać społeczeństwo polskie Piłsudski? Jak chciał to robić? Miało to być „wychowanie do niepodległości”. Spodleni i zdeprawowani — mniemał Piłsudski — nie będą chcieli i nie potrafią Polacy walczyć o niepodległość. Stąd potrzeba edukacji narodu; upowszechnienia programu przeobra-

zeń społecznych, programu walki z Rosją wspólnie z narodami przez Rosję podbitymi, programu przyszej Polski.

Wychowywał Piłsudski gazetą, książką i — nade wszystko — czynem. Nie wolno — powtarzał — akceptować tego oswojenia z niewolą; nie wolno milczeć, kiedy gwałcone są imponderabilia. Rezygnacja z imponderabiliów, to rezygnacja z odrębności kulturowej, to zgoda na kulturowe wyniszczenie.

Nikogo nie piętnował Piłsudski z taką pasją, jak witających cara Mikołaja II w Warszawie polityków ugodowych. W rozkolportowanej wtedy odezwie Centralnego Komitetu Robotniczego PPS towarzyszył „Wiktor” (pseudonim Piłsudskiego) pisać:

„Po raz pierwszy Warszawa ma spotkać cara, nie jako okuta w łańcuchach i wstrząsająca nimi groźnie buntownica, lecz jako uległa niewolnica, pokornie leżąca u stóp swego pana.

Tak przynajmniej zapowiadają ci, którzy wyzbywszy się ostatnich godności ludzkiej w wyobraźni już zmieniają swą pokorę na ruble, ordery i posady. Gwałtem chcą zmusić wszystkich, by okrzykami hucznymi zagłuszyli jęki, wydobywające się z ziemi, przesiąkniętej krwią bohaterów, a świątecznym strojem i wesołym wyglądem rozchmurzyli czoło kata [...]. Lecz hańba ta nas nie dotknie — zostanie ona w całości udziałem tych, którzy zawsze szukali u władzy oparcia dla swych celów samolubnych. Nie chcą oni Polski wolnej, bo ciemna ich robota wymaga mroku, jaki właśnie stwarza niewola. Krwią naszą i potem zdobyte bogactwa dziś bałwanowi ucisku obracają na kadziłło, a za ten tryumf, zgotowany carowi, zapewniają sobie nowe zyski i nagrody, dalsze panowanie nad nami przy pomocy policji, żandarmów i wojska. Raz jeszcze kosztem ludu pracującego klasy posiadające zawierają sojusz z najeźdźcą. [...] Musimy pozostać niemymi świadkami szopek powitalnych i służalstwa tych, co cisnąć się będą dla okazania carowi swej wiernopoddanychłości. Patrząc na tę wystawę podłości o różnych barwach i odcieniach, możemy tylko z dumą wskazać na nasz sztandar czerwony, gdzie ugodowe błoto nie sięga”.

Wypowiedziana pełnym głosem prawda o „ugodowym błocie” pełniła funkcje oczyszczające. Podbity, zniewolony naród odzyskiwał swój nieskłamany głos, odzyskiwał godność.

Piłsudski był spadkobiercą tradycji romantycznej. Rósł w kręgu poezji Wieszców, kochał utwory Mickiewicza i Słowackiego. Już z tych choćby powodów nader interesujący był jego stosunek do inicjatywy wybudowania pomnika Mickiewicza w Warszawie. Inicjatorem tej akcji była grupa polityków ugodowych.

Towarzysz „Wiktor” jasno precyzował swój punkt widzenia: „Stała się rzecz dziwna. Oto w kraju, gdzie rozpanoszyła się najohydniejsza niewola i ucisk, wznosi się pomnik człowieka, co słowem, pieśnią i czynem rwał okowy ciężące ojczyźnie; w mieście, gdzie dzieci karzą za polską mowę, czci się urzędownie

największego poetę polskiego! Czyżby opadły więzy nas krępujące? Nie! Dziwne to zjawisko zawdzięczamy politycznemu kuglarstwu naszych handlarzy patriotyzmu, dla rządu jest ono [...] uroczyścią pokojową, bo godzi patriotyzm polski z niewolą moskiewską”.

Przytoczony fragment nielegalnej ulotki zasługuje na baczną uwagę: oto Piłsudski dostrzegł, w jaki sposób potężny cień Wieszcza może maskować brudne poczynania ugodowców. Warto mieć tę prawdę w pamięci dzisiaj: biało-amarantowy sztandar, orzeł z koroną, Zamek Królewski w Warszawie — wszystko to może być narzędziem sowietyzacji i duchowego wynarodowienia; może być legitymacją dla rezygnacji z walki o wolność, może być kneblem dla inaczej myślących.

Socjalistów często oskarżano o narodową obcość; o to, że są „rosyjskim nasieniem”, „żydowskim narzędziem”, „sługami Hakaty” itd. Piłsudski z pogardą odrzucał te oskarżenia. Uważał polemikę z tymi — endeckimi z ducha — konceptami za bezprzedmiotową i uwłaczającą jego godności. I o tym także pamięta dziś należy — kiedy lżą, poniewierają i oskarżają o zdradę narodu — patrzcie uważnie na ręce tych patriotów knuta!

Piłsudski nie był nacionalistą. Nie uważał za właściwe ani zdrowe organizowanie świadomości narodowej wokół nienawiści do innych narodów.

Ukształtował go specyficzny klimat Wileńszczyzny, wspólnej ojczyzny ludzi różnych narodów, kultur i religii; wielojęzycznej mieszanek, ziemi, na której Litwin współżył z Białorusinem, Żyd z Tatarem, a Polak z Karaimem. Przyzwyczajenie do odmiennego obyczaju, wstręt do ksenofobii były u ludzi tych stron (także z Kresów) częstsze niż w Polsce centralnej. Polska jawiła się Piłsudskiemu jako ojczyzna wielu narodów; wspólnota wielu kultur; chciał, by była państwem, z którym solidarni będą nie tylko Polacy, ale i Litwini, Ukraińcy, Żydzi. (Pięknie pisał o tym na łamach „Znaku” w niezauważonym przez krajową opinię eseju „Tutejsi” Antoni Gołubiew). Idei rosyjskiego imperium przeciwstawił „socjalista z Zułowa” ideę Rzeczypospolitej wielu narodów. Rosję, która była „więzieniem narodów” i „żandarmem Europy” (określenia Lenina), chciał rozsadzić irredentystycznymi ruchami rewolucyjnymi narodów podbitych. Alternatywnym rozwiązaniem problemów politycznych tej części Europy miała być federacja polsko-litewsko-ukraińska. W takim państwie — jeśli miało być atrakcyjne również dla nie-Polaków — nie mogło być

miejsca dla dyskryminacji narodowościowej i religijnej, getta ławkowego, pogromów antyżydowskich i pacyfikacji antyukraińskich.

Myśli o federacji musiał Piłsudski później zaniechać, w czym nie miały udziału miała szowinistyczna propaganda endecka. Z okresem II Rzeczypospolitej nie kojarzą nam się dzisiaj bynajmniej wspomnienia sielanki w stosunkach polsko-ukraińskich czy polsko-żydowskich. Po II wojnie światowej Polska stała się państwem jednolitym narodowościowo, ludzie mówiący innymi językami stanowią dziś mikroskopijną mniejszość. Cóż więc zostało ze starych marzeń towarzysza „Wiktora”?

Nie wszystko chyba zaginęło. Ważne są nie tylko propozycje rozwiązań realnych problemów społecznych; ważny jest także sam styl myślenia o społeczeństwie. Endecki styl myślenia, zaadaptowany przez rządzących Polską komunistów, nakazywał chlubić się jednolitością narodową. Ktoś bliski mi powiedział, że było to zastąpienie barwnej, różnokolorowej, wielokwiatnej łąki jednolitą kupą piasku, gdzie każde ziarnko do drugiego było podobne. Cnotą takich ziarenek jest kultywowanie uniformizmu, niechęć do tego wszystkiego, co różne, odrębne; podatność na endecki styl myślenia. To nieprawda, że endecki antysemityzm był li-tylko instrumentalną odpowiedzią na nierozwiązalną inaczej kwestię żydowską. Antysemityzm był sposobem rozumienia świata właściwym ziarenkom; był takim sposobem, który pozwalał na rozpetanie masowej awantury antyżydowskiej w kraju praktycznie pozbawionym Żydów.

Otóż styl myślenia Piłsudskiego był doskonale szczelny, nieprzemakalny dla zarazków szowinistycznej demagogii. Dziś, gdy awersją do wszystkich sąsiadów (Ukraińców, Czechów, Rosjan, Niemców) każda, najgłupsza i najbardziej wsteczna władza żonglować może dowolnie i krótką kampanią prasową rozbudzać namiętności, ogłupiać ksenofobią, deprawować nienawiścią do odmieńców — dziś właśnie warto przypomnieć utopię tego szlachcica z Wileńszczyzny, którego spotkały za takie marzenia potwarze i kalumnie „rdzennych”, lechickich wrogów.

Mówienie o problemie antysemityzmu należy w Polsce do przedsięwzięć najtrudniejszych i najbardziej ryzykownych. Składa się na to skomplikowany ciąg przyczynowo-skutkowy, który — wraz z eksplozją 68 roku — został poddany ciekawej analizie w pracy Władysława Bieńkowskiego „Hamulce i motory socjalizmu”. Analiza Bieńkowskiego była tym ciekawsza, że potępiając jednoznacznie praktyki rasistowskie, potrafił autor dostrzec całą złożoność problemu. Nie jest to w Polsce częste: w wyniku ostrej

polaryzacji opinii publicznej u schyłku II Rzeczypospolitej na tle stosunku do „getta ławkowego” doszło do sytuacji, w której każdy krytyk społeczności żydowskiej lub jej przedstawiciele czy nawet Polaków pochodzenia żydowskiego narażał się na zarzut antysemityzmu. Zjawisko to wystąpiło z jeszcze większym nasileniem po 1968 roku. Zmarły na obczyźnie poeta Arnold Słucki tłumaczył swą decyzję opuszczenia kraju tym, że nie może żyć w społeczności składającej się z filosemitów i antysemitów.

Piłsudski nie był filosemitą. W swoich artykułach wielokrotnie krytykował filorosyjską politykę „Bundu” — partii żydowskich socjalistów. Działając wśród proletariatu żydowskiego „Bund” popularyzował rosyjską literaturę i — tym samym — rosyjską kulturę. Nie byłoby to niczym nagannym, ale zbiegało się skądinąd z rasyfikatorską polityką zaborcy i w tych warunkach powodowało ciężenie znacznych grup ludności w stronę Rosji. Piłsudski krytycznie oceniał obojętny lub niechętny stosunek „Bundu” do polskich aspiracji niepodległościowych. Nie miało to jednak nic wspólnego z antysemityzmem, albowiem nigdy krytyka ta nie prowadziła do rozpalania narodowej nienawiści. Nigdy też nie uważał Piłsudski Żydów za intruzów na ziemi, którą zamieszkiwali od setek lat; nigdy — wreszcie — nie stosował paragrafów aryjskich w doborze przyjaciół i współpracowników.

W sytuacji, gdy deklamacja zastępuje refleksję, gdy tak łatwo narażać się na zarzut antysemityzmu (nie ominęło to nawet Antoniego Słonimskiego), warto pamiętać, że zdrowy rozsądek nie jest tożsamy z filosemityzmem, a najpiękniejsze deklaracje przeciw antysemityzmowi nie mogą zastąpić trzeźwej analizy korzeni tego groźnego schorzenia. Korzenie te nie tkwią wyłącznie w winach społeczności polskiej. Analiza negatywnych zjawisk, które zachodziły w łonie społeczności żydowskiej, jest równie niezbędna i żadną miarą nie może być poczytana za rasizm, tak jak nie byli rasistami piszący na ten temat Prus, Żeromski, Dąbrowska czy Słonimski.

Nie może też służyć do oskarżania wszystkich Polaków o antysemityzm, oskarżenia równie absurdalne, co wygodne dla komunistycznej elity władzy, którą w taki sposób utożsamia się z narodem.

Ksawery Pruszyński — wychowanek Kresów — pisał przed 30-ma laty:

„Wyrastaliśmy w przekonaniu, że jesteśmy pogrobowcami wielkiej ojezyzny, [...] która trwa, choć podbita, pomiędzy dwoma morzami. [...] Gdyby nam powiedziano, że Gdańsk nie jest polski, zdziwilibyśmy się niezmiernie.

Gdyby nam powiedziano, że Kijów nie jest polski, zdumienie nasze byłoby jeszcze większe. Ale gdyby nam powiedziano, że nasza ojczyzna jest jednolita narodowo, obsiada dorzecze Wisły od Karpat do morza, że nie ma w niej miejsca ani dla ruskich chłopów, ani dla cerkwi, ani dla starej Szomsteinowej, tobyśmy się zapewne zdziwili najwięcej, my, którzyśmy jednak wyrosli jeszcze, ostatni zapewne Polacy, w świecie idei powstania styczniowego, Polski - Litwy - Rusi, którym opowiadano, że przedstawiciele trzech wyznań krocyli na przedpowstańczym pogrzebie pięciu poległych... [...] Po latach nie umiałbym powiedzieć, co przetrwało we mnie z owego dzieciństwa. [...] Otóż najpierw, prawdopodobnie, pewien duch dziejów Polski. Pojmowanie Rzeczypospolitej jako wielonarodowego imperium. Nie odraża od innych ludów, ale przeciwnie, pociąga. Nietraktowanie mniejszości narodowych jako *malum necessarium*, ale jako cennych, poszerzających moją ojczyznę, bogacących wspólny dom składników. [...] Kreślę jeszcze to wspomnienie dlatego, że zapewne takich dzieciństw jak moje już w Polsce nie będzie nigdy. Światy nowe, klasy idące, będą zawsze miały setki sposobności do opisanego kolebek! Mój — nie. A jednak sądzę, że w miarę wyżywiania się nacjonalistycznych szarów ludzkości, w miarę zastanawiania się Polaków nad wystawieniem narodowi swojemu takiego gmachu, by go nie zmiatały co drugie burze dziejowe, myśl polska, myśl młodych Polaków podążać będzie, rad szukając, ku owej dalekiej i niedalekiej przeszłości. Będzie starała się odkryć z gruzów i wykopalisk historii, jak wzniesiono gmach tak wielki, który dał tyle wieków spokoju i tylu pokoleniom zapewnił wolność? Będzie próbowała rozpoznać, jakim to sposobem potrafiła łączyć tak silnie różne cegły, kamienie, bele dębowe, owa budowa? [...] Prędzej czy później pójdzie myśl polska, uważna i skupiona, ku tamtym szlakom i czasom. Wyjdzie na wielkie drogi czarnego szlaku, gdzie dziś wieje zadymka historii. Będzie iść w tej zadymce po wertepach oświeconych słabym kagankiem, potykać się, grzęznąć — i szukać. [...] Aż dojdzie”.

Dziś kroczymy we mgle. Nie wiemy, co przyniesie przyszłość, jak długotrwały będzie aktualny układ sił politycznych, jak długo jeszcze stan posiadania ZSSR będzie nienaruszony. Jedno wszelako wydaje się być bezsporne: będziemy musieli żyć, sąsiadując z innymi narodami. I od nas samych zależy czy potrafimy znaleźć jakąś rozumną formułę koegzystencji, czy też pograżymy się w odmętach plemiennej nienawiści. Jeśli zaś spróbujemy odnaleźć tę formułę tolerancji i zgody, to patronować naszym poszukiwaniom będzie zza grobu redaktor „Robotnika”, wódz socjalistycznej bojówki, partyzant z twarzą nietzscheańską, on — Józef Piłsudski.



Polska skazana była — przez geografę i historię — na sąsiedztwo z Rosją. Jaki miał do Rosji stosunek Piłsudski? Uważał Rosję za najniebezpieczniejszego z zaborców. Bał się Rosji i jej nienawidził. Nienawidził systemu państwowego imperium. Pisał: „Niewola moskiewska tym się różni od wszelkiej innej, że oprócz krzywdy i ucisku naród ujarzmiony znosić musi stale upokorzenia. Rząd carski za przykładem wszystkich despotów Wschodu lubuje się w zewnętrznych przejawach uległości i pokory, w obra-

żaniu godności ludzkiej niewolnika. Nie dosyć mu uderzyć nahażą, chce on jeszcze, by uderzony pocałował narzędzie tortury; mało mu powalić przeciwnika, trzeba jeszcze wymierzyć zwyciężonemu policzek. [...] Bezczelne naigrywanie się z uczuć ludzkich wchodzi w system rządzenia, bo tylko ludzie, pozbawieni godności przez ciągle jej deptanie, mogą znosić tak ohydny niewolę, jak carska”.

O istocie państwa rosyjskiego pisał: „Cechą każdego rządu absolutnego jest usunięcie wszelkiej kontroli społeczeństwa nad czynnością prawodawczą. Stąd, jako naturalny skutek, wynika i osłonięcie grubą powłoką tajemnicy wszystkich kroków przygotowawczych, połączonych z prawodawstwem. Wiadomości o stanie tej lub owej części państwa, sprawozdania z czynności urzędników, projekty reform i wnioski prawne, obrady ciał prawodawczych — wszystko to najczęściej skrytynie jest ukryte dla oka ludzi, do kasty urzędniczej nie należących”.

Strukturę społeczną i prawną Rosji uważał za znakomicie przystosowaną do tej niewolniczej organizacji państwa. Nie widział szans na ewolucję w stronę form demokratycznych. Krytycznie odnosił się także do wewnątrzrosyjskiej opozycji. Rosyjskim liberałom nie ufał. Pogardzał ich kunktatorstwem i ugodowością, przestrzegał przed ich podatnością na wielkorusyjski nacjonalizm.

Pisząc o rosyjskim obozie rewolucyjnym, zwracał uwagę na jego słabość, na właściwą ruchom doktrynerskim głuchotę i niechęć wobec ruchów wyzwoleniczych narodów podbitych, a także na paradoksalne przejmowanie wizerunków narodów podbitych uformowanych przez słowiańską prawię. (W ten sposób zawędrował na łamy rosyjskiej prasy rewolucyjnej pogląd, że powstanie styczniowe było dziełem reakcyjnej szlachty i księży katolickich).

Piłsudski jednoznacznie sprecyzował swój punkt widzenia w artykule „Z powodu jubileuszu Puszkina”, gdzie pisał: „Obca jest nam wszelka nienawiść plemienna i narodowościowa. Bojownicy wolności wszystkich krajów i narodów są naszymi braćmi. Umiemy hołd oddać wszelkiej wielkiej myśli, w jakimkolwiek języku się zrodziła, umiemy uczyć wszelkiego poety i myśliciela, jakikolwiek naród go wydał. Ale w przypadku obecnym mamy do czynienia wcale nie z poetą, który wcielał ducha wolności w słowo i przez to stał się drogim dla wszystkich uciskanych i wyzyskiwanych. Przeciwnie, jak to powiedzieliśmy, Puszkina z walką przeciwko niewoli nic wspólnego nie miał, a nawet niekiedy tę samą niewolę pochwalał. Rzeczą jest więc naturalną, że żaden świadomy robotnik polski w obchodzie puszkiniowskim udziału wziąć nie może”.

Z dzisiejszej perspektywy ten sąd o Puszkynie może wydawać

się przesadnie jednostronny i wąsko-polityczny. Wszelako wówczas nie chodziło o sprawę literacką, o hołd dla geniusza poezji. Była to impreza czysto polityczna — szło o hołd dla zaborcy, o umocnienie jego panowania, o jeszcze jedno pognębienie kultury polskiej.

Piłsudski był zdania, że tylko Rosja słaba, Rosja nie-imperialna, może być państwem demokratycznym. Wychodząc z tych przesłanek, nie poparł sił kontrrewolucji rosyjskiej, albowiem nie wierzył w siłę bolszewików i trwałość ich władzy. Nie dopuszczając do bolszewizacji Polski, nie zapobiegał bolszewizacji Rosji (co bardzo miał mu za złe Marian Zdziechowski, który — jeden z pierwszych — pojął istotę systemu bolszewickiego).



Piłsudski nie dopuścił do bolszewizacji Polski. Symbolem tego był „cud nad Wisłą”. Jakże wiele wody musiało w Wiśle upłynąć, zanim zrozumiałem istotę tego wydarzenia. Ileż to lat powtarzałem sobie sam taki — mniej więcej — wywód: rosyjska rewolucja zaczęła gnić po śmierci Lenina. Stalinizm osądzać należy najsurowiej, ale nie z pozycji antykomunistycznych. Wojna polsko-sowiecka była wojną międzynarodowej Rewolucji z burżuazyjną Polską. Rozważając ten konflikt nie mam powodu sądzić, iż to co plemienne ważniejsze jest od tego co społeczne: polscy robotnicy walczyli o socjalizm, w czym im Armia Czerwona pomagała; ze strony polskiej nie była to wojna o wolność narodową, lecz o kapitalistyczny kształt państwowości.

W ostateczności gotów byłem uznać analogię z sytuacją hiszpańskiego chłopca, który bronił swej feudalnej ojczyzny przed niosącą reformy na bagnietach armią napoleońską. Obecnie cały ten problem jawi mi się odmiennie: zwycięstwu nad bolszewikami w 1920 roku zawdzięczamy dwadzieścia lat niepodległej myśli polskiej, którą do dziś żywią się kolejne generacje. Tak, dzisiejszy opór przeciw sowietyzacji jest możliwy w niemałym stopniu dzięki tej szansie czerpania z dorobku kulturowego II Rzeczypospolitej, która istniała dzięki militarnemu zwycięstwu Piłsudskiego nad Budionnym. Kto wie, czy gdyby w bitwie pod Radzyminem zwyciężyła Armia Czerwona, gdyby Polską zaczął rządzić rewolucyjny Komitet Tymczasowy — czy dziś nie zamieszkiwałbym na Kołymie lub w Biro-Bidżanie, czy mówiłbym po polsku, czy kolejne pokolenia polskiej inteligencji nie karmiłyby białych niedźwiedzi syberyjskich, czy kultura polska mogłaby uniknąć hekatomb, która spotkała kulturę rosyjską w stalinowskim imperium.

Właśnie z dzisiejszej perspektywy dwudziestolecie międzywojenne — nie myślę zresztą tego czasu idealizować — było w his-

torii ostatnich dwustu lat okresem *pieriedyszki*, swobodnego oddechu, który wyzyskano na zbudowanie nowych zrębów kultury narodowej.

Nie wolno o tym zapominać nawet wtedy, gdy nam dowodzą, że dla wielu zwycięstwo nad bolszewikami oznaczało zaniechanie reformy rolnej i innych reform społecznych. A już szczególnie nie powinni o tym zapominać reprezentanci myśli lewicowej, ci wszyscy, którzy (m.in. autor tych rozważań) przyznają się do tradycji lewicy ruchu robotniczego — tradycji, która zrodziła również Tymczasowy Komitet, Dzierżyńskiego i Marchlewskiego.



Antysowiecka polityka Piłsudskiego była w pewnej mierze kontynuacją jego starej linii politycznej. Jak i uprzednio, nie ufał żadnej Rosji: carskiej, liberalnej i rewolucyjnej. Czy dziś, w naszej, odmienionej, sytuacji należy rozumować analogicznie? Z pewnością warto uświadamiać sobie determinanty i tradycje rosyjskiej myśli politycznej; tak myśl oficjalną jak i opozycyjną należy krytycznie rozszyfrowywać. Ale zgubne jest przeciwstawianie mieliznom, fałszom i mitom rosyjskiej myśli — polskiego szowinizmu. Mogą mnie razić pewne sformułowania czy wątki w twórczości Sołżenicyna, ale załatwienie tego świętego XX-go wieku mianem „Moskal” jest groźnym świadectwem duchowego zniewolenia. Dzisiaj patrzymy na Rosję nie tylko z nienawiścią, ale i z nadzieją; nie tylko z gniewem, ale i z podziwem. Dla „sprawy polskiej” działania Sołżenicyna, Sacharowa, Amalrika mają znaczenie trudne do przecenienia.

Alternatywa wobec której stał Piłsudski brzmiała: stawka na rosyjską opozycję *versus* rachuba na irredentę narodów ujarzmionych. Był to centralny dylemat polskiej myśli niepodległościowej. Takiej alternatywy nie ma współczesny polski inteligent. Stoi natomiast wobec dylematu: wsłuchiwać się w odgłosy paryskiej kawiarni i amerykańskich *happening*’ów lub przeżuwać pseudo-patriotyczną papkę à la Zbigniew Żafuski, czy też bacznie pochylić się nad rosyjską kulturą podziemną, nad literaturą czeską i słowacką, nad kinematografią węgierską, nad produkcją umysłową Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Idzie tu nie o konkretne działania polityczne, choć i na to zapewne przyjdzie czas. Już dziś natomiast ważne jest nastawienie myślowe, priorytety intelektualne, typ edukacji narodowej. Ważne jest wykształcenie wśród polskiej inteligencji gotowości do współżycia z sąsiadującymi narodami i umiejętności odczytywania kultury tych narodów.



Z powyższych uwag wynika, że najbardziej podoba mi się „wczesny”, niepodległościowo-socjalistyczny Piłsudski. Logiczną konsekwencją tego „wczesnego” okresu był czyn legionowy, który przyniósł Polsce niepodległość. Wywalczyli tę niepodległość ludzie wychowani w PPS, Związku Walki Czynnej i Legionach, zwolennicy idei republikańskich i demokratycznych, których uwięzieniem była konstytucja marcowa. Było to, oczywiście, możliwe dzięki sytuacji międzynarodowej: wojnie światowej i rewolucji rosyjskiej. Ale bez tego subiektywnego elementu, który wnieśli Polacy w układ sił międzynarodowych, nie byłoby powodów dla zaprzątania możliwych tego świata „sprawą polską”. Nie podobna — po latach — nie widzieć w tym wielkiego wkładu legionistów i ich Komendanta w kulturę polską, w Polskę.

Ale nie można też nie dostrzegać, że już wtedy rozpoczęły się negatywne procesy związane z „opuszczeniem czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość”. Z początku było to przerwienie ciężaru działań na militaria. W okresie Związku Walki Czynnej Piłsudski pisał już niemal wyłącznie o problematyce wojskowej. Z czasem próbuje przeobrazić PPS w niepodległościową organizację paramilitarną. Wprowadza politykę tajnych konwentykli, która później doprowadzi do uformowania się legionowej sytuacji i niebezpiecznej kombatanckiej mitologii. (Moczar miał wzory, kiedy budował w ZBoWiDzie własną ekipę polityczną). Przeciw tym poczynaniom wystąpiła grupa działaczy socjalistycznych z Feliksem Perlem, dawnym współredaktorem „Robotnika”. Tak zaczął się konflikt Piłsudskiego z niepodległościowym polskim socjalizmem.

Konflikt ten trwał do Jego śmierci, przechodząc różne fazy i rozmaite nasilenia. Sympatia moja w tym sporze była i jest po stronie antagonistów Marszałka.

Nie napisałem — i nie zamierzałem tego zrobić — laurki dla Józefa Piłsudskiego. Dla mojej — tylekroć okłamywanej — generacji najważniejsza jest prawda. Starłem się napisać prawdę o doświadczeniach z początku naszego wieku, bo uważam je za najważniejsze. Z tych doświadczeń wyrosła Niepodległość. Wszelako pisząc o swoim, bardzo osobistym, widzeniu postaci Piłsudskiego i jego roli, nie chciałem zapominać o stronach mrocznych. I tak: przewrót majowy był złamaniem zasady konstytucyjnej. Konflikty z sejmem przygotowały hańbę Brześcia. Brześć, ten rzadko przedtem w naszych dziejach spotykany sposób walki z opozycją, był fragmentem niszczenia kultury politycznej narodu. Z ducha Brześcia wyrosła Bereza, Ozon i groźny obyczaj elity

władzy, która zaczęła traktować państwo i naród jak swój prywatny folwark.

Brześć, Bereza i Ozon są dzisiaj wzorami dla wrogów demokracji w Polsce, a nie dla walczących o wolność. Mitologizując te poczynania, sakralizując wszystkie okresy i wszystkie aspekty działalności Marszałka nie oddaje się „sprawie polskiej” dobrej przysługi. Zakłamania służą zawsze wrogom wolności.



Piłsudski zmarł w 1935 roku. W ostatnich latach odsunął się od niego wielu dawnych towarzyszy; otaczał go, wciąż zwiększający się, „rój pochlebców i cwaniaków”. A przecież przywódca PPS, kto wie czy nie również niedawni więźniowie brzescy, żegnali „Ziuka” idąc w pogrzebowym kondukcje. Dlaczego więc wzięli udział w tym pożegnaniu? Żegnali zapewne swoją młodość, kawał własnego życia. Ale chyba nie tylko... Żegnali człowieka, który dał Polsce i Polakom poczucie godności — tak niezbędne dla zdrowia narodu, jak tlen dla zdrowia ludzkiego organizmu.

Dlatego właśnie Piłsudski do dziś pojawia się jako problem osobiście odczuwany przez polskich inteligentów, pamiętających tamten czas. Odnaleźć go można w powieściach Newerlego i Brandysa, eseistyce Kisielewskiego i Mieroszewskiego, w „Dziennikach” Lechonia czy „Alfabcie wspomnień” Słonimskiego.

Oby częściej trafiał do umysłów i wielogodzinnych nocnych sporów moich równieśników. Oby, tak jak on, potrafili żyć w godności.

BARTŁOMIEJ

Powyższy esej uzyskał I-szą nagrodę na Konkursie ogłoszonym w 1973 r. przez Instytut im. J. Piłsudskiego w Londynie pt. „Józef Piłsudski w oczach młodych pokoleń Polaków i Polek”. Esaj został nadesłany z Kraju. Drukujemy go za uprzejmą zgodą Instytutu im. J. Piłsudskiego. (REDAKCJA).

Materiały do refleksji i zadumy

I

Od dziesiątków lat co czwartku kupuję *The Listener*. To jest tygodnik BBC, który publikuje najlepsze i najciekawsze reportaże — utrwalając w druku to co zostało wypowiedziane do mikrofonu w różnych programach BBC.

The Listener niczego nigdy nie odwołuje ani nie prostuje — ponieważ BBC nie podaje nigdy wiadomości, która nie jest sprawdzona przynajmniej z trzech niezależnych źródeł. Dzięki tej metodzie i tradycji najwyższej klasy dziennikarskiego reportażu — BBC cieszy się wyjątkowym zaufaniem swych słuchaczy tak w Wielkiej Brytanii jak i poza jej granicami.

Fakty i cyfry, które podaję poniżej zaczerpnąłem z artykułu Laurence Martin'a pt. „Vladivostok and the will for Power” (*The Listener* z 27 lutego 1975).

Artykuł Martin'a można by streścić w jednym zdaniu: Sowiety podtrzymują dialog i dyplomację konferencji na szczycie — równocześnie jednak działają bardzo energicznie w kierunku całkowicie sprzecznym z duchem *détente*. Na strategiczne bronie atomowe Sowiety wydają 150 % więcej niż Stany Zjednoczone.

Czy te gigantyczne wydatki przynoszą jakieś konkretne zyski polityczne? Martin słusznie zauważa, że Zachód a w szczególności Ameryka nie akceptowałyby potulnie obecności floty sowieckiej dosłownie wszędzie — gdyby za tą flotą nie stała druga, a być może pierwsza, nuklearna potęga świata.

Sowiety usztywniają stanowisko producentów ropy naftowej. Sowiety wspomagały również Arabów w roku 1973 i w czasie tej wojny przesunęły do Egiptu głowice atomowe.

Nigdzie nie czytałem wiadomości o wyposażeniu armii egipskiej przez Sowiety w głowice atomowe w czasie wojny w roku 1973 dlatego cytuję za *The Listener*: „... now apparently confirmed Soviet movement of nuclear warheads to Egypt during that war...”.

W każdej sprawie zawsze najtrudniej jest o precedens. Jeżeli Sowiety zrobiły to raz — nie ma powodu przypuszczać, że nie zrobią tego drugi raz w analogicznej sytuacji. Jeżeli wyposażą w głowice atomowe armię egipską — nie ma powodu przypuszczać, że nie wyposażą w głowice atomowe zaprzyjaźnionej Syrii. Sprawa nabiera specjalnego posmaku jeżeli się zważy, że Syria i PLO (*Palestine Liberation Organization*) zamierzają utworzyć wspólne dowództwo wojskowe.

Nie wiadomo również co stało się z owymi głowicami atomowymi, które Sowiety przekazały armii egipskiej w roku 1973. Czy po wojnie wróciły do Sowieców czy też spoczywają w silosach egipskich.

W chwili gdy piszę te słowa (druga dekada kwietnia br.) Kambodża dogorywa a w Wietnamie sytuacja jest katastrofalna. Równocześnie Kongres U.S. odmówił proponowanych przez prez. Forda kredytów dla Kambodży. Podobnie jak w okresie wojny wietnamskiej oglądamy codziennie na ekranach telewizyjnych agonie Phnom Penh — falangi uciekinierów, stopy zabitych — tłumy obdartych i wygłodniałych dzieci, przepełnione szpitale. Czy żadnemu z amerykańskich senatorów nie przemknę przez myśl, że europejscy sojusznicy Ameryki patrząc na tragedię Kambodży — mogą sobie pomyśleć: to jest los, który czeka nas jeżeli kiedyś ruszą czołgi sowieckie. Jeżeli Stany Zjednoczone nie spieszą z wojskową pomocą swoim sojusznikom w Azji — jaką mamy pewność, że w razie niebezpieczeństwa pospieszą z pomocą swoim sojusznikom europejskim?

Lecz każdy medal ma dwie strony. Podobnie i medal amerykańsko-europejski ma dwie strony *The Guardian* ma rację dopatrując się źródeł obecnego izolacjonizmu amerykańskiego w kompleksie wietnamskim. Ów izolacjonizm najlepiej streszcza popularne choć ordynarne powiedzonko amerykańskie: „*If the sons of the bitches don't want us as world policemen — why don't we save a buck or two?*” (Jeżeli sukinsyny nie chcą nas jako policjantów świata — to dlaczego nie mamy na tym zaoszczędzić paru dolarów”).

Na temat Wietnamu — podobnie jak na temat Watergate — napisano tysiące artykułów i setki książek. Jednak znakomita większość autorów pominęła zasadniczy aspekt „kompleksu wietnamskiego”. Agresywny komunizm jest wrogiem nas wszystkich. Celem NATO jest zbiorowa obrona nie przed Japończykami czy Niemcami lecz przed agresją komunistyczną.

W czasie wojny wietnamskiej — Amerykanie tak ci, którzy byli za wojną — jak i ci, którzy byli zdecydowanie przeciwko tej wojnie — zgodnie odczuwali i odczuwają do dziś, że zostali w czasie tych krwawych zmagani porzuceni przez swoich sojuszników, którzy nie mieli niczego do zaoferowania Ameryce poza krytyką, często niesłuszną a zawsze zjadliwą.

Nie jestem i nigdy nie byłem entuzjastą polityki zagranicznej dr. Kissingera. Skłonny jestem również przypuszczać, że konferencja na szczycie w Władystoku nie była sukcesem z punktu

widzenia Ameryki. Niepokoić musi postawa sekretarza stanu, który w pewnym momencie wybuchnął: „co na miłość boską oznacza przewaga” (*what in the name of God is superiority?*).

Nie tak dawno temu przewaga była jasnym i precyzyjnym terminem. *Superiority* oznaczała, że Ameryka przewyższa Sowiety w każdej dziedzinie a w szczególności w dziedzinie atomowej. Dzisiaj po SALT I i po SALT II — termin *superiority* utracił swą pierwotną jednoznaczność. Bardzo trudno jest bowiem porównywać równorakie gatunki broni atomowej. Wydaje mi się, że najobiektywniejszym wskaźnikiem w tej sprawie są cyfry budżetów zbrojeniowych. W okresie stałego kurczenia się amerykańskiego budżetu zbrojeniowego, sowiecki budżet zbrojeniowy wzrósł od 20 do 25%. Sowiety wydają 150% więcej na swój arsenał atomowy niż Stany Zjednoczone.

Jest rzeczą wiadomą, że recesja, inflacja, bezrobocie i inne objawy depresji gospodarczej są dziś uniwersalne. Nie zdajemy sobie natomiast sprawy z faktu, że reakcje społeczne na owe objawy — muszą być głębsze w bogatej Ameryce niż w krajach, które mierzone standartami amerykańskimi w ostatnim ćwierćwieczu bogatymi nigdy nie były. Weźmy dla przykładu bezrobocie. Anglia ma około 800 tysięcy bezrobotnych na około 50 milionów ogółu mieszkańców. Bezrobocie jako problem nie schodzi ze szpalt prasy brytyjskiej, ponieważ Brytyjczycy uważają, że bezrobocie przekraczające cyfrę pół miliona jest katastrofą.

W Kalifornii, którą tak Amerykanie jak i Europejczycy — od dziesiątków lat przywykli uważać za raj na ziemi, bezrobocie wyraża się cyfrą 10%. W Anglii podobne bezrobocie oznaczałoby, że około 3 miliony ludzi byłoby bez pracy. W Wielkiej Brytanii rząd, który by dopuścił do wzrostu bezrobocia na taką skalę nie utrzymałby się przy władzy nawet przez miesiąc.

W obecnej sytuacji trudno się dziwić Kongresowi U.S., że wzbraniał się udzielić dalszych kredytów dla Kambodży i Południowego Wietnamu — ponieważ pomoc należy się w pierwszym rzędzie milionom Amerykanów, którzy są bez pracy. Izolacjonistyczny slogan głoszący, że polityka zagraniczna jest niemożliwa i niekonieczna jest oczywiście bez sensu. Polityka zagraniczna jest nie tylko możliwa lecz i konieczna — lecz nie ulega wątpliwości, że globalna polityka pochłania gigantyczne sumy. Światowa polityka zagraniczna kosztuje i niesie z sobą ryzyko *involvement*. Bulas w swym znakomitym słowniku tłumaczy słowo *involvement* jako „wplątanie, uwikłanie”, *involvement* oznacza zaangażowanie. Lecz warto pamiętać o pierwotnych znaczeniach tego słowa, ponieważ Amerykanie po doświadczeniach wietnamskich boją się wplątania i uwikłania. Badania opinii publicznej wykazały, że ponad 70% Amerykanów nie życzy sobie „wplątania” i „uwikłania” w Kambodży. Obie izby Kongresu US odzwierciedlają w tym wypadku przekonania i opinie szerokich mas społeczeństwa amerykańskiego.

Artykuł Martina w *The Listener*, nosi tytuł: „Vladivostok and the will for Power”. Wydaje mi się, że owa wola siły stanowiła

w przeszłości fundament każdej imperialnej potęgi. Wydaje mi się również, że byłoby błędem dopatrywać się przyczyn zaniku owej *will for power* w rosnącej cyfrze bezrobotnych czy w kryzysie energetycznym, który stanowi jeden z objawów powszechnego kryzysu gospodarczego.

Mimo kryzysu Ameryka jest niezmiernie bogata i byłoby ją stać zwalczać komunizm w Wietnamie i w Kambodży milionowymi zastrzykami gotówki i bezpośrednią pomocą militarno-technologiczną.

Sowiecki imperializm, któremu nie zbywa na „woli siły” opiera się na ideologii komunistycznej — tej samej, w imię której walczą o władzę komuniści portugalscy, komuniści wietnamscy i Khmer Rouge w Kambodży.

Był czas, że i Ameryka miała światową ideologię. Był czas że prez. Kennedy głosił, że Stany Zjednoczone udzielą wszelkiej pomocy każdemu zagrożonemu narodowi, który zdecydowany jest bronić swej wolności i niepodległości.

Zanik „woli siły” w Ameryce jest zjawiskiem złożonym. Kongres US wzbrania się uchwalić kredyty dla Kambodży i dla Południowego Wietnamu — nie dlatego, że nie ma pieniędzy — tylko dlatego, że dawna skala oceny utraciła swą moc obowiązującą. Od czasów Kennedy'ego zmianie uległa filozofia społeczna i klimat ideologiczny.

W Kambodży, w Wietnamie, na Środkowym Wschodzie i w pewnych krajach Europy jak Portugalia — jesteśmy świadkami największego odrotu Ameryki w jej dziejach. Jeden z wojskowych komentatorów brytyjskich wyraził opinię, że ten odwrót można tylko porównać do odrotu Napoleona spod Moskwy.

Trudno jest być zbyt pesymistycznym w ocenie masowego odrotu strategicznego Ameryki. 27 marca agencje prasowe doniosły, że według najnowszych badań opinii publicznej społeczeństwo amerykańskie jest przeciwne *involvement* St. Zjednoczonych w Indochinach, na Środkowym Wschodzie i w Europie. Amerykanie byłiby gotowi chwycić za broń tylko i wyłącznie w obronie zagrożonej Kanady.

Z polityki dr. Kissingera nie pozostało nic prócz... *détente* — oczywiście jeżeli ktoś wierzy w tę szaradę. Osobiście nie wierzę w *détente* — lecz nie straciłem wiary w Stany Zjednoczone. Niewiara w Amerykę byłaby bowiem równoznaczna z niewiarą w wolny świat.

II

W marcowym numerze *Kultury* ukazał się niezmiernie interesujący i ważny artykuł Jerzego Bonieckiego pt. „A bal na pokładzie 'Titanica' trwa...”.

Artykuł ten stanowi rzadki przykład jasnego i logicznego przedstawienia skomplikowanych i trudnych zagadnień bez deformujących popularyzatorskich uproszczeń.

Z owej grupy zagadnień powiązanych ze sobą i ustawicznie

oddziałyujących na siebie — wybieram problem wzrostu, ponieważ na ten temat pisałem wielokrotnie na łamach *Kultury*.

Problem wzrostu, który jak podkreślałem jest „świętą krową” systemu kapitalistycznego, czy systemu ekonomii mieszanych — najłatwiej jest zilustrować cyframi wzrostu ludności.

W roku 1600 ludność globu osiągnęła 500 milionów. Podwojenie tej liczby zajęło około 300 lat. Następne podwojenie dokonało się już tylko w obrębie 120 lat. Następny okres podwojenia jest jeszcze krótszy. W bieżącym roku, po upływie zaledwie 45 lat liczba ludności ziemi wyniesie 4 miliardy.

Jeżeli ludność będzie wzrastać jak dotychczas, tzn. o 2% rocznie okres podwojenia skróci się do 35 lat. Innymi słowy, w pierwszej dekadzie XXI wieku ziemię będzie zamieszkiwało 8 miliardów ludzi.

Prace i studia cytowane przez Bonieckiego a zwłaszcza „*The Limits to Growth*” — wykazały, że w systemie globalnym wszystko i wszyscy są powiązani współzależnościami — tak, że nie wystarczy przyhamować wzrostu w jednej dziedzinie, tylko trzeba to uczynić we wszystkich sektorach globalnego systemu jak ludność, kapitał, żywność, zasoby surowcowe, zanieczyszczenie otoczenia (pollution) itd. Zmniejszenie tempa rozwoju tylko w jednym sektorze nie uchroni nas przed katastrofą.

W tych sprawach nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy krajami demokratycznymi a komunistycznymi. W krajach obu systemów „cielcem” do którego wszyscy się modlą jest dochód narodowy brutto (GNP) — a wzrost gospodarczy leży u podstaw tak kapitalistycznej jak i komunistycznej ekonomii.

Osobiście jestem przekonany, że autorzy prac cytowanych przez Bonieckiego mają rację — że tempo wzrostu we wszystkich sektorach systemu światowego musi być zmniejszone i że równocześnie konieczna jest zmiana kierunku tego wzrostu.

O czym Boniecki nie wspomina to fakt, że jeżeli cytowani autorzy mają rację — to zachodni świat potrzebuje innej kultury i innej filozofii społecznej — ponieważ zachodnia kultura stanowi nadbudowę systemu kapitalistycznego z jego wiarą we wzrost ekonomiczny, z jego wiarą w wolną inicjatywę i wiarą w postęp. Filozofia postępu — oparta na przekonaniu, że większość zmian to są zmiany na lepsze — stała się podstawą nie tylko myśli liberalnej lecz również myśli socjalistycznej. Rewolucja przemysłowa — kolejne etapy walki klasy robotniczej — to wszystko wskazywało, że postęp trwa nieprzerwanie i że ewolucja społeczna zmierza we właściwym kierunku.

Prof. Zbigniew Brzeziński, który „*Limits to Growth*” nazwał *the pessimist manifesto*, w jednej ze swych prac zwrócił uwagę na kryzys kulturalny, w szczególności w Stanach Zjednoczonych.

Oczywiście postęp nie musi oznaczać rabunkowej gospodarki surowcowej i szybkiego wzrostu ekonomicznego. Przyjmując jednak za ideał zerowy lub wydatnie zredukowany wzrost ekonomiczny trzeba by zrezygnować z bardzo wielu rzeczy.

Zyjemy na Zachodzie w okresie — kiedy wolność przestała być hasłem bojowym — pomimo, że sfera wolności jednostki kurczy się z każdym rokiem. Centralnym ideałem społecznym jest dziś równość — wyrażona w sprawiedliwym podziale bogactw narodowych. Równość tak pojmowana nie jest pojęciem statycznym. Kilka dni temu jeden z czołowych przywódców brytyjskich związków zawodowych — w dyskusji radiowej oświadczył, że musimy budować Anglię, która produkowałaby coraz więcej, eksportowała coraz więcej i była zdolna płacić coraz wyższe stawki robotnikom.

Trudno się dziwić robotnikom. Pierwsza faza rewolucji przemysłowej i technologicznej, która trwała do końca drugiej wojny światowej — przyniosła ogromne zyski kapitalistom i minimalne płace robotnikom. Dopiero po wojnie rząd Labour Party i rządy socjalistyczne w innych krajach europejskich radykalnie zmieniły sytuację. Robotnicy przemysłowi — jak górnicy — stonkowo od bardzo niedawna są dobrze płatni i związkom zawodowym byłoby bardzo trudno „sprzedać” robotnikom koncepcję zerowego wzrostu ekonomicznego.

Tu leży przyczyna, że problematyką poruszoną przez Bonieckiego zajmują się uczeni i intelektualiści lecz nie politycy. Polityk, który by tezy „*The Limits to Growth*” — włączył do swej platformy wyborczej nie zostałby wybrany ani do parlamentu, ani do kongresu US.

Bezrobotny amerykański — względnie robotnik zagrożony bezrobociem — żyje nadzieją, że za rok czy za półtora roku recesja minie, zakłady przemysłowe ruszą pełną parą — bezrobocie zmaleje do minimum, a zarobki robotnicze wybitnie wzrosną. Kto może się dziwić 8 milionom robotników bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych, że tak myślą a nie inaczej.

Socjologowie i ekonomiści, specjaliści zainteresowani zatruciem rzek i powietrza, sami nie mogą niczego zmienić. Trzeba by podjąć na wielką skalę proces re-orientacji społeczeństw. Nie wystarczy gdy „cielcowi” GNP przestaną bić pokłony grupy uczonych i intelektualistów. Kult GNP — który wyraża się w przekonaniu że pieniądz rozwiązuje wszystkie problemy jest filozofią w której wzrosły pokolenia na uprzemysłowanym Zachodzie. Owa filozofia musiałaby zostać zdyskredytowana w oczach ludzkich. Trzeba by ułożyć program re-edukacji młodzieży w szkołach i na uniwersytetach. Kto da na to pieniądze? Na pewno nie ci, którzy uważają, że „*The Limits to Growth*” jest manifestem pesymizmu. Lecz ci, którzy tak myślą jak prof. Brzeziński stanowią większość w Kongresie US.

Więc jakie jest wyjście? Jeżeli autorzy prac omawianych przez Bonieckiego mają rację — a mamy na myśli w pierwszym rzędzie „*The Limits to Growth*” — wówczas fakty potwierdzą ich teoretyczne wnioski. Fakty przekonają ludzi. Wymowa faktów jest bezsporna. Często jednak, gdy fakty zaczynają mówić — na zmianę kierunku jest już za późno. Ufajmy że tym razem tak nie będzie.

III

W owym skomplikowanym współczesnym świecie — na dalekim marginesie znajduje się Polska. Polskę można by porównać do statku podwodnego, który posiada na razie dostateczną ilość tlenu i żywności, lecz którego mechanizm umożliwiający wydobyć się na powierzchnię uległ awarii.

Polska Ludowa jest państwem i równocześnie nie jest państwem. Suwerenność w klasycznym tego słowa znaczeniu nie odgrywa w tym wypadku roli podstawowej. W Europie — wyłączając Rosję — żadne z państw nie jest w klasycznym tego słowa znaczeniu suwerenne. Państwo nie musi być w stu procentach suwerenne — jednak naród musi posiadać konstytucyjne środki wyrażania swojej woli. Państwa EWG — podpisując Traktat Rzymski — zrezygnowały częściowo ze swej suwerenności — niemniej Francuzi, Niemcy czy Anglicy posiadają konstytucyjne środki wyrażania swojej woli.

Lecz wpierym chciałbym powiedzieć kilka słów na temat opinii publicznej. W Polsce Ludowej nie ma opinii publicznej — tak jak ów termin rozumiany jest w Anglii. Opinia publiczna jest potęgą tam, gdzie istnieje niezależna prasa i niezależne środki masowego przekazu. Byłoby jednak błędem mniemać, że bez niezależnego radia i telewizji nie może być autentycznej opinii publicznej. Niezależną opinią publiczną tworzą niezależnie myślący ludzie. Tam gdzie nie ma niezależnie myślących ludzi — nie ma i opinii publicznej.

Niezależnie myśleć może tylko człowiek poinformowany, to znaczy człowiek odróżniający ziarno od plewy. W Polsce Ludowej inteligentowi trudno jest dociec prawdy. Rozmowy z krajowcami przekonały mnie, że tylko mały procent inteligentów zna całą prawdę o Jałcie, całą prawdę o Katyniu itp. Wszyscy inteligenci, z którymi rozmawiałem — bez wahania winę za Katyń przypisują Rosjanom. Jednak tylko minimalny odsetek moich rozmówców orientował się w materiale dowodowym, na którym oparte jest oskarżenie Rosjan za mord katyński.

Młodzi krajowcy przebywający czasowo w Anglii mają możliwość poznania prawdy o Katyniu, o Jałcie, o początkach Polski Ludowej — prawdy o krwawych i haniebnych „wolnych wyborach”, które odbyły się 19 stycznia 1947. Lecz młodzi ludzie wolą przeczytać Orłosa, Odojewskiego czy Miłosza niż książki historyczne dotyczące genezy i rozwoju państwa w którym żyją.

Z wiadomości jakie nadchodzą z Kraju wynika, że inflacja w Polsce rośnie w niepokojący sposób. Jeżeli założymy, że inflacja w Polsce i w Anglii rośnie w tempie 20 % rocznie — to są to dwa nieporównywalne zjawiska. Anglia — inflacja czy nie inflacja — jest krajem bardzo bogatym i nie ma trudności w zaciąganiu gigantycznych długów za granicą. Ponadto płace robotnicze w Anglii rosną znacznie szybciej niż inflacja tak, że górnik brytyjski, mimo inflacji, może za swą tygodniówkę kupić dziś znacznie więcej niż rok temu.

Polska znajduje się w znacznie gorszej sytuacji niż Wielka Brytania. Posiada bowiem bardzo ograniczone możliwości zdobywania kapitału za granicą a płace realne robotników polskich maleją a nie rosną.

Inflacja w Polsce oznaczała zawsze wzrost cen artykułów żywnościowych — ponieważ Polskę nie stać na subsydiowanie artykułów żywnościowych na taką skalę jak w Anglii. Recesja w Polsce — jak w każdym innym kraju — zależy od recesji w świecie. Inflacja jest tylko jednym z objawów tego powszechnego kryzysu. Na razie nic nie wskazuje na to, że recesja minie na rok czy za dwadzieścia miesięcy — przeciwnie, kryzys się pogłębia a bezrobocie w tak wysoko uprzemysłowanych krajach jak Stany Zjednoczone czy Anglia stale wzrasta.

Gierek i jego KC — zdają sobie doskonale sprawę co w Polsce oznaczały poważny wzrost cen żywności. Lecz z pustego nie tylko Gierek lecz nawet i Salomon nie naleje.

Nie bawimy się w żadne przepowiednie — nie życzymy nawet Polsce Ludowej ostrego kryzysu gospodarczego — stwierdzamy tylko, że jeżeli kryzys będzie się pogłębiał — jeżeli w bieżącym roku nie dopisze urodzaj zbóż czy kartofli — konsekwencje recesji w Polsce będą głębsze i trudniejsze do opanowania niż w krajach bogatych jak Francja czy Anglia.

Byłoby wskazane by w każdym większym skupisku inteligencji było przynajmniej dwóch lub trzech inteligentów z otwartą głową, mających do siebie zaufanie. Nie proponuję utworzenia obecnie podziemnej czy tajnej organizacji. Chodzi mi natomiast o to, by w każdym większym zakładzie pracy istniał potencjalny załóżek przywódców, którzy w chwili kryzysu potrafiliby zmobilizować choćby częściowo inteligencję i upolitycznić jej wystąpienie. Jeżeli za rok czy za 10 miesięcy wybuchną strajki robotnicze na większą skalę — korespondenci zagraniczni doniosą swym agencjom i organom prasowym w Paryżu czy w Londynie, że robotnicy w PRL bronią tylko swojej kurczącej się na skutek kryzysu stopy życiowej. Odcięcie się inteligencji od akcji robotników powoduje w takiej sytuacji, że „Sprawa Polska”, zwłaszcza w oczach cudzoziemców, zredukowana jest bez reszty do ceny kiełbasy.

Inteligenci krajowi nie mają chyba złudzeń i wiedzą, że inteligencja w PRL nigdy nie wystąpi zbiorowo, nie zorganizuje wielkich pochodów czy manifestacji, nie mówiąc o strajkach. Ze strony inteligentów krajowych pada zawsze patetyczne i retoryczne pytanie: co my możemy zrobić?

Odpowiedź brzmi: niewiele. Wpływ inteligentów na postawę klasy robotniczej jest znikomym. Inteligenci muszą uznać robotników za największą siłę społeczną w kraju i muszą zdobyć poparcie klasy robotniczej. Owo poparcie mogą zdobyć tylko poprzez czynne solidaryzowanie się z robotnikami w chwilach kryzysu. W roku 1968 wrzało na uniwersytetach. Lecz w grudniu 70, gdy wrzało na Wybrzeżu studenci uniwersyteccy pokornie i potulnie pojechali na święta do domu.

Moje rozmowy z krajowcami doprowadziły mnie do wniosku, że istnieją dwie Polski. Istnieje Polska Ludowa urzędowa i partyjna. Obok niej istnieje niepomiernie mniejsza Polska ludzi, którzy pragnęliby niezależności, wolnych wyborów, demokratyzacji itd. Polacy obu Polsk nienawidzą Rosji i Rosjan — ale to jest wszystko co ich łączy.

W ostatnich miesiącach widziałem na telewizji brytyjskiej kilka filmowych reportaży z Polski. Lecz tak samo jak w periodycznych reportażach z Polski — w wielkich dziennikach brytyjskich jak *The Guardian* — tak i w żadnym z owych reportaży nie ma nawet zawołanej sugestii, która wskazywałaby, że Polacy pozbawieni niemal od lat 40-tu prawa do wolnych wyborów cierpią z tego powodu. Niemal codziennie w prasie brytyjskiej znajdujemy artykuły lub wzmianki o tym, że Murzyni w Rodezji domagają się wolnych wyborów. Wszyscy Brytyjczycy popierają to żądanie i od lat rząd brytyjski zabiega energicznie by temu żądaniu uczynić zadość.

Międzynarodowa sytuacja Polski byłaby korzystniejsza i łatwiejsza gdyby Polacy należeli do rasy czarnej. Mielibyśmy całą Zachodnią Europę za sobą bez większego wysiłku z naszej strony. Lecz byłoby niezgodne z prawdą kolor skóry uważać w tym kontekście za element decydujący.

Polacy nie domagają się wolnych wyborów natomiast czarni Rodezjczycy domagają się wolnych wyborów gromkim głosem, tak w kraju jak i za granicą. W Wielkiej Brytanii każdy wie, że istnieje problem rodezjski natomiast nikt nie wie, że istnieje problem polski.

Sprawa Polska musi być obecna na arenie międzynarodowej. Na to by ożywić Sprawę Polską trzeba się skupić w obecnym okresie na jednym bezspornym postulacie. Nie możemy w tej chwili domagać się unieważnienia Jałty, ponieważ taki postulat nie znajdzie zrozumienia wśród obcych. Natomiast należy domagać się głośno i uporczywie wolnych wyborów pod kontrolą międzynarodowej komisji. To jest postulat, który zrozumie każdy Brytyjczyk i każdy Amerykanin. Nikt na Zachodzie nie będzie kwestionował słuszności tego postulatu.

Wolne wybory w Polsce są w tej chwili nierealne — lecz demokratyczne wybory w Rodezji są również nierealne — niemniej Brytyjczycy solidaryzują się z żądaniami czarnych Rodezjczków. Chodzi o to, by przynajmniej jeden procent inteligencji w Kraju zdał sobie sprawę, że wskrzesić Sprawę Polską na arenie międzynarodowej mogą tylko Polacy w Kraju. Jeżeli w czasie poważniejszego strajku i demonstracji wśród tłumu robotników pojawi się choćby kilku inteligentów z transparentami głoszącymi: „Żądamy wolnych wyborów do Sejmu”, „Żądamy niezależnych Związków Zawodowych” — wówczas korespondenci prasy zagranicznej doniosą o tym wydarzeniu. Fotografie tego rodzaju transparentów w prasie zachodniej — dokonają więcej dla Sprawy Polskiej niż setki artykułów w prasie emigracyjnej.

Wiadomo, że emigranci są za demokracją w Polsce, lecz Bry-

tyjczycy i Amerykanie wiedzą, że większość emigrantów opuściła kraj trzydzieści kilka lat temu i nie ma sprawdzianu, że ich głos jest głosem Polski.

Emigracja polityczna jest potrzebna i ma ważne zadania do spełnienia. Lecz są zadania, które wypełnić może tylko inteligencja krajowa i nikt jej nie może w tym zastąpić. Tylko inteligencja krajowa może przekonać Zachód, że Naród Polski nie zrezygnował ze swego prawa do samostanowienia. Tylko inteligencja krajowa może przekonać opinię wolnego świata, że samostanowienie nie jest mrzonką starych żołnierzy polskich, przebywających na obczyźnie — lecz przeciwnie, jest silnie i świadomie odczuwanym pragnieniem Narodu Polskiego w Kraju.

Polacy w Kraju muszą przekonać wolny świat, że Naród Polski mimo, że jest w niewoli — nie utracił poczucia podmiotowości. Wszelka praca nad budową programu musi się zacząć od wskrzeszenia podmiotowości — ponieważ dla narodów, które utraciły swą podmiotowość — programy działania budują i narzucają inni. Dlatego tak ważne są wystąpienia i akcje, które mogą być odczytane: „My, Naród Polski” — w przeciwieństwie do „My, Bierne Masy PRL”. Podmiotowość musi być wskrzeszona i utrwalona w Kraju i nie może być importowana z zagranicy. Choćby najlepiej zorganizowana emigracja polityczna nie może przemawiać jako „my, Naród Polski” — ponieważ emigracja stanowi tylko małą część narodu polskiego.

Większość inteligencji w Polsce przez „program” rozumie receptę na poprawę sytuacji w ramach Polski Ludowej. Tylko mniejszość zdaje sobie sprawę z faktu, że prawdziwą poprawę przynieść by mogła realizacja postulatów słusznych i koniecznych, choć dziś nierealnych. Zwracam się do tej mniejszości by przy sposobności, która z całą pewnością niedługo się nadarzy — przemówiła głośno w imieniu Polski. Nawet w PRL za niesienie w pochodzie manifestacyjnym transparentu z napisem: „Domagamy się Wolnych Wyborów” — powtarzam, nawet w Polsce Ludowej — za czyn taki nie grozi szubienica na stokach Cytadeli. Grozi aresztowanie i może więzienie — lecz w naszych tysiącletnich dziejach nie mieliśmy jeszcze Polski o którą nie trzeba było ustawicznie walczyć.

Czechosłowaccy inteligenci w rozmowach z zagranicznymi korespondentami powracają uporczywie do „Wiosny Praskiej”. Zachowując swą anonimowość podtrzymują w ten sposób w opinii Zachodu przekonanie, że Czesi i Słowacy są demokratami, którzy niecierpliwie oczekują chwili kiedy będą mogli powtórnie podjąć dzieło demokratyzowania ustroju swego kraju.

W porównaniu z Czechami i Słowakami o Polakach głucho w prasie zachodniej.

Warszawę odwiedza okresowo wielu korespondentów prasy zachodniej. Zadaniem aktywnych polskich inteligentów winno być — nawiązanie z nimi kontaktów i przedstawienie im nie tylko niesfałszowanego obrazu Polski Ludowej, lecz również dążeń politycznych aktywnie myślącego odłamu społeczeństwa polskiego.

Niech was nie martwi, że stanowicie mniejszość i reprezentujecie mniejszość. Od czasów rozbiorów aż po powstanie Drugiej Rzeczypospolitej aktywni idej niepodległościowej zawsze stanowili mniejszość, niemniej oni byli solą polskiej ziemi. Ludzie myślący stanowią wszędzie mniejszość — niemniej na ich barkach spoczywa wszędzie ciężar reprezentowania i przemawiania również w imieniu tych co nie myślą, względnie boją się myśleć.

Ów jeden procent inteligencji, który odważnie i rzetelnie myśli powinien wcielić w życie ideał sojuszu inteligencji z klasą robotniczą. W przeciwnym wypadku nawet poważny zryw robotników będzie oceniany na Zachodzie wyłącznie jako manifestacja mająca na celu obniżenie cen artykułów żywnościowych, czy zwiększenie płac robotniczych. Tylko inteligenci mogą strajkowi czy manifestacji robotniczej nadać wyraz akcji politycznej.

To jest jedyna metoda wskrzeszenia Sprawy Polskiej na forum międzynarodowym.

Naród w Kraju, a przede wszystkim inteligencja muszą przestać być wielką niemową — ponieważ dziś na Zachodzie nikt nie wierzy w to, że Polacy krajowi milczą, ponieważ muszą. Przeważa opinia, że Polacy krajowi milczą, ponieważ — w przeciwieństwie do dysydentów sowieckich — nie mają nic do powiedzenia.

Czy naprawdę tak jest?

Juliusz MIEROSZEWSKI

JÓZEF ŁOBODOWSKI

ogłasza przedpłatę na tom pt.:

DROGA DO TOBOZO

Książka licząca przeszło 450 stron, składać się będzie z następujących części:

- I. Proza, opisująca pierwsze dwie wyprawy Don Kichota, któremu autor towarzyszy po czterech stuleciach.
- II. Dwadzieścia kilka wierszy oryginalnych o tematyce hiszpańskiej.
- III. Antologia poezji hiszpańskiej w przekładach autora: dziesięciu poetów, dwieście kilkadziesiąt wierszy.

Książka kosztuje w przedpłacie £ 4.

Po ukazaniu się cena będzie znacznie wyższa.

Czeki i postal ordery na imię i nazwisko Józefa Łobodowskiego należy wysłać pod adresem:

11, PALLISER ROAD, LONDON, W.14.

Co robić

Od Redakcji

Wyodrębniamy w osobnym dziale trzy artykuły, otwierając dyskusję na zbyt długo odwlekany temat CO ROBIĆ? Pierwsze dwa artykuły: Mariana Kowalskiego i Krajowca — pochodzą z kraju; trzeci jest Aleksandra Litwina — emigranta z ostatniej fali. Dalsze — już nadesłane nam artykuły — zamieścimy w numerze czerwcowym. Następnie, w miarę napływania głosów dyskusyjnych, będziemy je drukowali co jakiś czas w dziale pod tym samym tytułem.

Dyskusji nadadzą, rzecz jasna, określony bieg jej uczestnicy. Nie zamierzamy się do niego wtrącać aż do końca, do momentu redakcyjnego podsumowania i wyciągnięcia wniosków. Okaze się wówczas, czy i w jakim stopniu przedstawiciele opozycji politycznej nad Wisłą i emigranci polityczni posiadają rozeznanie sytuacji nad krajem, w bloku sowieckim i na świecie, oraz wizję przyszłości Polski, dróg prowadzących do jej „wybicia się na niepodległość”. Niezależnie od wyników dyskusji, będzie ona — jak sądzimy — pożyteczną a nawet konieczną konfrontacją.

Dla uniknięcia nieporozumień i niepotrzebnej straty czasu, już teraz jednak chcemy wyjaśnić lub uściślić kilka punktów, które uderzają w pierwszej, drukowanej niżej serii artykułów. Zwłaszcza w artykule Mariana Kowalskiego.

Kowalski zarzuca Mieroszewskiemu „znieszczałające i upraszczające połączenie w jedną homogeniczną grupę ULB trzech krajów o różnych kulturach, rozmaitej przeszłości i odmiennych sytuacjach bieżących”. Jeszcze pół kroku a dowiedzielibyśmy się, że Mieroszewski wysuwa projekt federacyjny. Nic podobnego. W jego artykule mowa o „obszarze ULB” którego „homogeniczność” polega po prostu na tym: Ukraińcy, Litwini i Białorusini są historycznie najbardziej związani z Polską i mają zbieżne z nią

interesy wobec Rosji; dążą do narodowego samostanowienia i w walce o nie są wzajemnymi i naszymi sojusznikami.

Za „szkodliwe i mało sensowne” uważa Kowalski „bezwzględnie potępienie (przez emigrantów) wszystkich przywódców partyjno-rządowych w Polsce”. Pomijając już fakt, że sam sobie później przeczy zalecaną nam zasadą Komentarza Negatywnego wobec polityków krajowych, powinien chyba zastanowić się czy można walczyć z jakimkolwiek ustrojem w drodze „różnicowania postaw i poglądów” jego *najwyższych* reprezentantów. Nie można, a w każdym razie nie prowadzi to do niczego z wyjątkiem konfuzji. Warto też pamiętać dość ważną prawdę, że ludzie sprawujący po wojnie władzę w kraju nie są reprezentantami orientacji prorosyjskiej, lecz rzecznikami orientacji proswieckiej. To zróżnicowanie jest o wiele istotniejsze od „różnicowania postaw i poglądów” w łonie Biura Politycznego.

Żądanie by emigracja wykonywała pracę koncepcyjno-programową byłoby w pełni uzasadnione, gdyby żądający zaopatrywali systematycznie emigrantów w informacje i materiały. Łatwiej jednak załamywać ręce nad „oderwaniem emigracji od rzeczywistości krajowej”, niż zająć je regularnym dostarczaniem informacji oderwanym. *Kultura* zna tę sprawę z własnego, gorzkiego doświadczenia.

Kowalski staje w obronie intelektualistów krajowych, oskarżonych w artykule XYZ *Pokusy i przestrogi* o „upadek” i „zdradę powołania”. Powiada że często „zrobienie czegokolwiek wymaga kompromisów i pobrudzenia swoich białych rękawiczek”. I naturalnie powołuje się na przykład profesora Manteuffla. Dla całości obrazu byłoby dobrze podumać także nad przykładami — powiedzmy — profesorów Chałasińskiego czy Jabłońskiego.

Wreszcie „zapatrzanie się emigracji na samą siebie”, którego „najjaskrawszym przejawem jest stosunek niektórych pisarzy do ogłaszania ich utworów w Polsce”. Nie mamy nic przeciwko drukowaniu w kraju, pod warunkiem że odbywa się ono z zachowaniem godności i niezależności. Ale pisarz, który za druk książki w kraju płaci cenę duchowej neutralności jeśli nie kapitulacji, autocenzury lub nawet przerwania swej działalności literackiej na emigracji, taki pisarz jest dla nas żalnym (żeby nie powiedzieć więcej) dziwolągiem. A w większości wypadków pisanej umowie z wydawcą krajowym towarzyszy taka właśnie umowa niepisana.

Artykuł Krajowca wymaga z naszej strony wyjaśnienia innego rodzaju. Chodzi o „istną a niespodziewaną ekskomunikę Bromkego” w replice Mieroszewskiego, o „stosowaną również na emigracji arbitralną cenzurę merytoryczną”. Cała rzecz polega na nieporozumieniu. *Kultura*, znając od dawna poglądy profesora Bromke i zdecydowanie ich nie dzieląc, zgodziła się by je

obszernie i dokładnie wyłożył na naszych łamach. Zrobił to w ogromnym, jak na objętość naszego miesięcznika, artykule. Zaprezentowaliśmy naszym czytelnikom filozofię polityczną Bromkego, ustosunkowaliśmy się do niej piórem naszego naczelnego publicysty. Gdyby *Kultura* była jedynym na emigracji pismem, mielibyśmy może obowiązek dalszego goszczenia profesora Bromke. Ale nie jest. Sam Bromke oświadczył że nie brak mu na emigracji miejsca do druku, nic więc nie stoi na przeszkodzie by dalej głosił swoje poglądy. My zaś, jak każde pismo o wyraźnej linii politycznej, mamy prawo i obowiązek jej pilnować. Taka najzupełniej normalna procedura nie może dotyczyć autorów nadsyłających nam swoje artykuły polityczne z kraju, z przyczyn których nie trzeba długo tłumaczyć: nienormalna jest sytuacja krajowych publicystów politycznych. Krajowiec nie musi czekać aż „zostanie zdjęte zapowiadane przez Mieroszewskiego *embargo* dyskusyjne”. Nie zostanie zdjęte, lecz głosy Krajowca i krajowców w dyskusji Bromke-Mieroszewski będą na łamy *Kultury* dopuszczane; niezależnie od tego po czyjej opowiedzą się stronie.

REDAKCJA

O potrzebie programu

Emigracja polityczna na dużą skalę jest w historii Polski zjawiskiem nienowym i w ciągu ostatnich dwustu lat, od upadku Konfederacji Barskiej, występującym z krótkimi tylko przerwami. Żaden naród europejski nie posiada pod tym względem tak obfitych doświadczeń. Do najważniejszej z fal wychodzących, tzw. Wielkiej Emigracji, przyrównywali się nie raz działacze polscy na obczyźnie po roku 1945. W sensie liczbowym ostatnia fala była potężniejsza niż wszystkie poprzednie razem wzięte — a także bardziej rozsiana, zróżnicowana poglądowo, i zamożniejsza. Z perspektywy krajowej wolno jednak wątpić, czy odegrała ona rolę polityczną odpowiadającą jej obowiązkowi narodowym i możliwościom.

Przypomnijmy na początek, dla nabrania perspektywy, kilka dat granicznych. Od chwili, kiedy opuściła Polskę większość współczesnych działaczy i publicystów, uważających się za emigrantów politycznych, minęło już ponad 35 lat. Dzieci ludzi, którzy w roku 1939 byli zbyt młodzi, aby zapamiętać rzeczywis-

tość wolnej Polski, dochodzą już wieku dorosłego; innymi słowy, od tego czasu wyrosły już dwa pokolenia. Przymierzając ten odcinek czasu do wieku XIX stwierdzimy, że w 35 lat po wyruszeniu na Zachód Wielkiej Emigracji było już po Powstaniu Styczniowym, po ostatnim wydarzeniu, w którym owa emigracja odegrała ważniejszą (choć uboczną) rolę. Dodajmy, że tempo przemian wszelkiego rodzaju jest w XX wieku znacznie szybsze; o tyle szybsze, że i emigracja z lat 1945-6 jest teraz odleglejsza od punktu wyjścia, niż np. emigracja z 1831 roku w okresie wojny austriacko-pruskiej. Na fakt stale rosnącego oderwania emigracji, jej zatrąty wycucia rzeczywistości krajowej, wpływają przede wszystkim dwa czynniki: zasadnicze zmiany w systemie gospodarczym i układzie społecznym, jakie nastąpiły w Polsce, oraz znikomy udział personalny emigrantów czy byłych emigrantów w wydarzeniach krajowych (zestawmy go np. z ciągłą ingerencją personalną emigracji w sprawy krajowe w latach 1833-63: Zaliwski, Mierosławski, agenci Czartoryskiego, itd.).

Grupki i jednostki, które zdecydowały się wyjechać lub pozostać za granicą w ciągu ostatnich lat 18 nie tworzą żadnego zespołu, a co ważniejsze są najmniej aktywne w tej materii, która dla roli emigracji politycznej zdaje się być zawsze fundamentalna: w tworzeniu propozycji alternatywnych do tego, co się obecnie dzieje w kraju.

Zastanówmy się krótko, jakie są racje bytu i funkcje emigracji politycznej? Inaczej mówiąc: co może usprawiedliwić fakt, że ktoś podający się za polskiego patriotę i deklarujący chęć do pracy dla dobra Polski, decyduje się na stały pobyt za granicą? Dwa są główne typy możliwych uzasadnień: 1) Utrata nadziei, że sytuacja w kraju będzie kiedykolwiek mogła odpowiadać naszym życzeniom czy wymaganiom; 2) Nadzieja na skuteczniejszą za granicą aktywność na rzecz pożądaných zmian w kraju, chęć swobodnego rozwijania działalności umysłowej i organizacyjnej. (To, że ktoś emigruje z obawy przed prześladowaniami za wyrażane poglądy lub działalność może wchodzić w skład pierwszego lub drugiego uzasadnienia). Łatwo dostrzec, że tylko uzasadnienie typu drugiego upoważnia, moralnie i intelektualnie, do nawoływania rodaków w kraju do czynnego lub biernego oporu*. Ale koniecznym warunkiem rzetelności takiego aktywiz-

* Możliwe jest, obok różnych odmian i odcieni, jeszcze i inne stanowisko: mianowicie domaganie się wierności ideałom zupełnie niezależnie od możliwości ich urzeczywistnienia, a nawet przy braku wiary w ich realizację. Taki heroiczny pesymizm, czy choćby wierność niezależna od nadziei, zasługują na najwyższy szacunek i są nierzadko kośćcem postawy moralno-politycznej Polaków, którzy dochowują wierności ideałowi niepod-

mu czy optymizmu jest posiadanie i ujawnianie określonego programu polityczno-ideowego.

Rolę emigracji politycznej można scharakteryzować ogólnie jako *zastępowanie* rodaków we wszystkim tym, czego w kraju zrobić nie wolno lub nie można. Emigracja winna więc dbać:

- o kontynuowanie przerwanych przez wrogię siły tradycji kulturowych i politycznych;
- o zachowanie ciągłości cennych instytucji narodowych;
- o zbieranie i dostarczanie krajowi informacji, których ze względu na cenzurę lub na niedostępność wynikającą z ograniczonych kontaktów zagranicznych uzyskać nie można;
- o publikowanie tekstów, których druk jest w kraju niemożliwy;
- o dyskutowanie tematów, które są w kraju zakazane lub mogą być poruszane tylko częściowo;
- i wreszcie, *last not least*, o wypracowanie alternatywnych koncepcji ideowo-politycznych i ściśle z nimi związanych prognoz i programów działania.

Wiele z tych funkcji emigracja polska spełnia. Ciągłości instytucji zachować przez tyle lat i w obecnym układzie stosunków międzynarodowych nie mogła, i nie wolno mieć o to do niej pretensji; przeciwnie, należy tłumaczyć upartym, że obstawanie przy rozmaitych ministerialnych itp. fikcjach jest i bezcelowe i ośmieszające. Kontynuacja pamięci narodowej jest zadaniem spełnianym z imponującym poświęceniem przez stowarzyszenia, instytuty i wydawnictwa (z *Zeszytami Historycznymi* Instytutu Literackiego na czele). Pod tym względem nakład wysiłku i stosunek środków do osiągnięć są godne podziwu i naśladowania. Bezcenną rolę informacyjną spełnia przede wszystkim Radio Wolna Europa (w coraz mniejszym zaś stopniu BBC i Głos Ameryki). Rolę RWE trudno przecenić; ataki na tę rozgłośnię, zagłuszanie jej audycji są — obok licznych dowcipów na ten temat — najlepszym świadectwem jej znaczenia. Likwidacja RWE przyniosłaby fatalne skutki nie tylko dla społeczeństwa, dla którego jest najważniejszym źródłem nieocenzurowanych wiadomości i odrutką na rodzaje się z ignorancji mity — ale także dla aparatu partyjnego, który jest stale karmiony bzdurami, preparowanymi przez własne organy propagandy i podgryzające się wzajem konkurencyjne grupy.

łegłej Rzeczypospolitej, chociaż są przekonani, że Rosja i komunizm zatrzymują w rozgrywce o władzę nad światem. Ale taka postawa nie może stanowić uzasadnienia dla emigrantów: męstwo bez nadziei z dala od pola bitwy jest tylko pozą i miejsce takich ludzi jest w kraju, choćby po to, by dawali przykład i świadectwo.

O roli *Kultury* jako wolnej trybuny intelektualnej i Instytutu Literackiego jako wydawcy tekstów wielu najwybitniejszych współczesnych pisarzy polskich mówiono wielokrotnie. *Kultura* jest pismem tak cenionym i tak zasłużonym, że lepiej jej już nie chwalić, ale stawiać przed nią coraz wyższe wymagania. Rządziej chciałoby się w niej widywać jednostronne, brzmiące jak „*Tribuna Ludu*” à rebours, artykuły ukazujące rzeczywistość polską w kategoriach koszmaru. Zamiast skarg p. Grażyny Nowak, która współzawodniczy z Wiesławem Górnikiem w opisywaniu nizin moralnych, na które staczą się wyjeżdżający za granicę Polacy (a zwłaszcza Polki), chciałoby się częściej czytywać artykuły na tematy społeczno-kulturalne, które trudno jest poruszać w kraju. Przykładem takiego tematu są zmiany w postawach społeczno-moralnych Polaków, wynikłe ze zniszczenia przez partię całej infrastruktury dobrowolnych, spontanicznych stowarzyszeń. Organizacje charytatywne, naukowe, turystyczne i kulturalne zostały do tego stopnia zastąpione instytucjami państwowymi lub ściśle przez państwo kontrolowanymi, że wytworzył się praktyczny monopol państwowy na dobroczynność, szlachetność, wiedzę, czystość i oświatę. Skostnienie stosunków międzyludzkich i znieczulica moralna są tego nieuchronnym wynikiem, zwłaszcza w warunkach masowej migracji ludności. Po co komu troszczyć się o los współobywateli, o dolę starych ludzi, o poziom cywilizacyjny miasta czy wsi, skoro sprawami tymi zajmuje się urzędowo i zazdrośnie aparat państwowy? Prasa często opisuje objawy, ale bodaj tylko Jan Szczepański potrafił, chociażby ogólnikowo, wskazać na zależność zobojętnienia moralnego od zmian w formach współpracy społecznej.

Publicyści emigracyjni powinni też stale pamiętać, że w omawianiu bieżących zagadnień krajowych najważniejsza jest *rzeczowość*, nie zaś ukazywanie odwrotnej niż oficjalna strony medalu. Wytykanie błędów, marnotrawstwa i głupoty jest doprawdy mniej pilne, niż ogarnianie całości problemów — bo przeciętny Polak jest zarazem słabo poinformowany i aż przesadnie podejrzliwie nastawiony do wszystkich decyzji władz, wszystkich nowych inicjatyw, polskich wyrobów i pomysłów, rzeczywistych czy urojonych osiągnięć.

Najważniejszym a zarazem w najmniejszym stopniu wypełnianym zadaniem emigracji jest jednak wytworzenie alternatywnych programów politycznych dla Polaków; dotyczy to szczególnie okresu po roku 1956. Jedynym właściwie autorem, który program taki naszkicował, był Zbigniew Brzeziński — ale zrobił to mimochodem, w ramach amerykańskiego układu odniesienia. Zresztą od jego „*Alternatives to Partition*” minęło już dziesięć lat i sytua-

cja tak międzynarodowa jak wewnętrzna polska uległy znacznym zmianom.

Zanim zajmę się konsekwencjami tego zaniedbania, zastanówmy się nad jego przyczynami. Myślę, że są one dwojakie i dotyczą z jednej strony postawy emigrantów wobec faktu własnej emigracji, a z drugiej — ich postaw wobec rodaków w kraju i wobec rządu warszawskiego.

Uważam za bezsporne, że emigracja polityczna winna pełnić rolę uzupełniającą, służebną wobec całości narodu, wobec tych milionów, którzy o miejscu i przyszłości Polski stanowią. Jednakże bardzo wielu emigrantów zachowuje się tak, jak gdyby sam fakt ich „emigracyjności” określał sens ich życia i działania i nie potrzebował dalszych uzasadnień. Takie stanowisko łączyć się może albo z półświadomą biernością i czekaniem na rozwój wydarzeń, albo też z przekonaniem, że emigracja sama w sobie ma niewielkie możliwości wpływania na bieg wypadków i że wobec tego dalekosiężne programy są jej niepotrzebne. Zinstytucjonalizowanie emigracji, milczące uznanie jej za cel sam w sobie, jest zjawiskiem o wiele powszechniejszym, niż to sobie sami wychodzący uświadamiają.

Przejawem takiej postawy jest często protekcyjny, paternalistyczny stosunek do „krajowców”, których gani się za oportunizm i tchórzostwo (jakże łatwo wysuwać takie oskarżenia z bezpiecznej odległości...). Niejeden publicysta *Kultury*, udzielając nam rozmaitych zaleceń i rad, zdradza przy tym ignorancję co do praktycznego sensu własnych postulatów. Rzecz jasna, trudno jest komuś, kto opuścił Polskę 35 lat temu, uświadamiać sobie w pełni własne oderwanie od krajowej rzeczywistości — wypadałoby jednak zdawać sobie sprawę, że np. „praworządność” jest obecnie w Polsce pojęciem zupełnie pustym, że podziały pogłądowe nakładają się coraz ściślej na podziały społeczno-zawodowo-geograficzne, że jednomyślność społeczeństwa w sprawach nawet tak zasadniczych jak inwazja Czechosłowacji jest, niestety, mitem (polscy intelektualści, którzy nie mają u emigrantów dobrej prasy, byli jedyną grupą, która w przytłaczającej większości zareagowała negatywnie na to haniebne wydarzenie), że system wielopartyjny to dla przeciętnego Polaka zupełna abstrakcja, itd.

Najjaskrawszym chyba przejawem owego zapatrzenia się emigracji na samą siebie jest stosunek niektórych pisarzy do ogłaszania ich utworów w Polsce. Problem ten byłby niepojęty dla Mickiewicza czy Słowackiego (którzy uważali, że muszą się tłumaczyć z faktu swojej emigracji): polski pisarz winien pisać dla polskich czytelników i wszelkimi sposobami starać się do nich docierać — zwłaszcza, jeżeli uważa się za działacza politycznego. Czym innym jest niezgadanie się na skreślenie wewnątrz utwo-

rów, a czym innym certowanie się o wybór, kolejność ogłaszania, formę uzyskanego zezwolenia itd. Wyrazem postawy politycznej pisarza-emigranta jest już sam fakt, że jest emigrantem politycznym. Stawianie oporu wobec publikowania w kraju jest równoznaczne z pogardliwym traktowaniem czytelnika polskiego: jako mało ważnego i głupiego. W rzeczywistości czytelnik ten, dostając do ręki utwór pisarza emigracyjnego, pomyśli sobie przede wszystkim: a więc musieli ustąpić, nie mogą go zignorować. A także: oto pisarz polski, który z politycznych powodów przebywa za granicą; co *jeszcze* ma mi on do powiedzenia? Obawy, że czytelnik ten zostanie wprowadzony w błąd, że ulegnie sugestii, iż fakt ogłoszenia w kraju oznacza aprobatę reżymu czy oficjalnej ideologii, są zupełnie absurdalne i są smutnym świadectwem egocentryzmu niektórych literatów emigracyjnych.

Sprawa stosunku emigracji do władz krajowych jest o wiele bardziej złożona i nie da się omówić w ramach artykułu, czemu innemu w zasadzie poświęconego. Poprzestanę więc na kilku stwierdzeniach ogólnych, które wydają mi się mało dyskusyjne, a potrzebne są dla podbudowania dalszych rozważań.

1. Przecistawiając się kierunkowi politycznemu, realizowanemu przez partię, musimy ustalić teoretyczną płaszczyznę sporu. O ile możliwe jest *istnienie* Polski jako państwa niezależnego, a w każdym razie swobodnie dobierającego sobie sojuszników, to, przy naszym położeniu geograficznym i istniejącym podziale świata zarówno przetrwanie Polski po roku 1945 jak i jej ewentualne niezależnienie się w przyszłości są niemożliwe bez *zewnątrznego* poparcia któregoś z wielkich mocarstw. Dlatego też wszyscy współcześni polscy myśliciele i działacze polityczni z konieczności reprezentują określone „orientacje”, tj. muszą stawiać na określone sojusze i zależności. Można to czynić uczciwie, albo nieuczciwie, tj. stawiając na pierwszym planie albo interes Polski, albo zewnętrznego mocodawcy. Myślę, że ludzie, sprawujący po wojnie władzę w kraju winni być w zasadzie traktowani jako reprezentanci orientacji pro-rosyjskiej — a więc innej, niż reprezentowana przez emigrację. Tylko takie traktowanie zapewnia zarazem rzeczowość, sprawiedliwość i elastyczność.

2. Bezwarunkowe potępienie wszystkich przywódców partyjno-rządowych w Polsce (jakiego jaskrawym przykładem była „czarna lista”, ogłoszona przez *Kulturę* po wypadkach grudniowych 1970 roku a obejmująca *całe* Biuro Polityczne i rząd PRL), jest szkodliwe i mało sensowne. Nie wszyscy — okazuje się to od czasu do czasu, zwykle w nieprzewidzianych okolicznościach — przywódcy komunistyczni w Polsce są moskiewskimi agentami albo cynicznymi karierowiczami. Nie znamy ich prawdziwego oblicza, tak jak nie znaleźmy prawdziwego oblicza wielu przy-

wódców czeskich lub węgierskich. Z oczywistych względów maskowanie poglądów i postaw jest wśród nich regułą. Potępienie ich ryczałtem sprzyja nie różnicowaniu tych postaw i poglądów, ale przeciwnie: wzmacnianiu wspólnoty interesów, zwieraniu szeregów. Tracimy w ten sposób potencjalnych, choćby cząstkowych, sprzymierzeńców.

3. Polacy w kraju nie mogą żyć *poza* systemem, nie mogą udawać, że partii i rządu nie ma. Muszą z administracją państwową i kierującym nią aparatem partyjnym mieć do czynienia tym więcej, im większą wykazują aktywność. Na bierności i zacofaniu Polski emigracji przecież nie zależy — a każdy postęp ekonomiczny czy technologiczny dokonywa się ostatecznie w ramach kompetencji określonego ministra, dyrektora czy wojewody — chociażby się dokonywał wbrew oporowi takich czy innych grup partyjnych. I nie jest tak, że ci najgorsi skupieni są na samej górze: różnica między członkiem Biura Politycznego a sekretarzem powiatowym nie jest różnicą moralno-polityczną. Nie byłoby zresztą sensu przeprowadzać rozgraniczenia między stanowiskami, których objęcie kompromituje samo przez się, a takimi, które automatycznego potępienia nie powodują. Granica jest bowiem całkowicie płynna. Nawet szef KBW może odegrać bardzo pozytywną rolę, jak gen. Komar w 1956 roku.

4. Gdyby zaś nastąpiły w Polsce te zasadnicze zmiany, o których niejasno a usilnie marzymy i o których często i zbyt lekko wspominają publicyści emigracyjni — skąd wzięłoby się odnowiony aparat administracyjny? Gdzie znalazłyby się tysiące ludzi, posiadających wprawę i umiejętność kierowania terytoriami, gałęziami przemysłu, koncernami handlowymi? Emigracja ich nie dostarczy. Przypomnijmy, na jak olbrzymie trudności natrafiono przy restaurowaniu aparatu państwowo-administracyjnego w Niemczech po zaledwie 12 latach hitleryzmu, albo w Japonii po kilku latach polityki ekspansjonistycznej. I w Polsce trzeba będzie pracować z tymi ludźmi, których mamy.

Nie znaczy to oczywiście, aby należało zrezygnować z osądzania i najsurowszego potępienia sprzedawczyków, oszustów i głupców. Ale oceniać nie wedle ich stanowisk, tylko wedle działań. Z wyjątkiem przypadków, kiedy mamy do czynienia z niewątpliwymi agentami, oceny należy ograniczać wyłącznie do poszczególnych posunięć, i decyzji — aby niechęć nie wplątać się w międzyfrakcyjne rozgrywki udzieleniem ogólnej aprobaty czy dezaprobaty danemu osobnikowi. Wysunąłbym nawet ogólną Zasadę Komentarza Negatywnego: na emigracji nie należy chwalić żadnego polityka krajowego, bo to będzie z pewnością wykorzystane przeciwko niemu, i ograniczyć się wyłącznie do komentarzy negatywnych.

Tylko oceniając konkretne postęпки możemy przymierzać działania partii, rządu i poszczególnych polityków krajowych do naszego własnego programu. Ale gdzie ten program? Gdzie kryteria, oparte o coś więcej niż proste odruchy gniewu czy radości — odruchy dyktowane najcenniejszą nawet tradycją, ale nie wizjami przyszłości? Takich programów nie widać.

W sformułowaniu całościowych i dalekowzrocznych programów, przeznaczonych dla Polaków w kraju i na obczyźnie, nikt emigracji nie zastąpi*. Tworzenie wizji ideowych związanych z planami działania bywało zawsze — od napoleońskich legionów poprzez Towarzystwo Demokratyczne Polskie do Polskiej Partii Socjalistycznej — chlubną funkcją wychodźców. Nie tylko cenzura, dominacja sowiecka i narzucany przez partię monolityzm polityczny uniemożliwiają wykonanie tej roboty w Polsce. Sam fakt, że zakres dostępnych w kraju informacji i naocznych obserwacji politycznych, gospodarczych i społecznych jest tak ograniczony, utrudnia nawet intelektualistom składanie całościowych obrazów współczesnego świata i jego perspektyw rozwojowych. Na przykład Stefan Kisielewski jest uczciwym, mądrym i błyskotliwym publicystą politycznym, ale dość było przeczytać jego wypowiedzi na tematy amerykańskie — od rządów Nixona do rowerzystów pedałówujących rzekomo po autostradach — aby się przekonać, jak zawężone jest jego pole widzenia.

Wypracowanie kilku — bo trudno liczyć i niebezpiecznie stawiać na jednomyślność — alternatywnych programów myślenia i działania politycznego jest przede wszystkim koniecznością psychologiczną, jeżeli chcemy uniknąć ostatecznego ugrzęźnięcia narodu w biernej rezygnacji, cynizmie, lub bezmyślnej negacji. Emigracja musi wyłonić nie operetkowe partie, ale grupy koncepcyjne, które byłyby substytutem swobodnego wielopoglądowego życia politycznego w kraju. Oportunizm, obojętność i zmateriałowizowanie, niechęć młodzieży do jakiegokolwiek aktywności ideowo-politycznej i do podejmowania odpowiedzialności społecznej i administracyjnej, wyrażanie się patriotyzmu w tępy szowinizm, stawianie przez robotników postulatów ekonomicznych w oderwaniu od politycznych — te wszystkie zatrważające zjawiska związane są z prostym faktem nieistnienia, nawet w świadomości elity intelektualnej, konkretnych i opartych na rzeczowym rozważaniu prognoz i planów działania, które mogłoby wyprowadzić Polskę z obecnego stanu satelitarnego.

Przypominam: już dwa pokolenia znają *tylko* ten ustrój, prze-

* Warto zauważyć, że sam temat długodystansowego planowania politycznego nie jest nigdy w Polsce poruszany: jedni nie robią tego ze względu na cenzurę, drudzy nie chcą straszyć i jeszcze bardziej zrażać społeczeństwa.

żarty zakłamaniami — i jeżeli się im nie pokaże konkretnych możliwości osiągnięcia innego, scynicznie lub zatracą się w rozpaczliwym szamotaniu. Słuszne narzekania na brak więzi między robotnikami a inteligencją należy uzupełnić uwagą, że współdziałanie obu tych warstw, i dawniej sporadyczne (z wyjątkiem okresów bezpośredniego zagrożenia narodowego), bywało zawsze oparte na określonych wizjach ideowych: socjalizmie PPS'u, nacjonalizmie Narodowej Demokracji, akowskim demokratyzmie niepodległościowym.

Publicyści i działacze emigracyjni, wszyscy w ogóle emigranci polityczni, muszą sobie czym prędzej uświadomić, że tylko posiadanie programu, tylko określone założenia i prognozy uprawniają do oceniania ludzi, postaw i zachowań w kategoriach politycznych. Mało sensowne jest atakowanie Polaków za zbytnią ustepliwość wobec partii a partii za przesadny serwilizm wobec ZSSR, albo krytykowanie współemigrantów z powodu imperialistycznych zakusów na Wschodzie, jeżeli się krytyki nie opiera na jasno określonych przewidywaniach rozwoju wydarzeń. Pisanie o wolnej Polsce, sejmie, wyborach, itp. (patrz np. artykuł J. Mieroszewskiego w nr. 4 *Kultury* z 1974 r.) bez wyjaśnienia, *кто* i *jak* tę Polskę wyzwoli, kto przeprowadzi wolne wybory, kto i jaką ustali ordynację wyborczą, kto zorganizuje partie, kto zapobiegnie rabunkowi mienia społecznego i masowym samosądom — jest tylko cczą deklamacją, mile głaszczącą ucho, ale pozbawioną możliwości oddźwięku zarówno u zmęczonych starszych jak i u owych dwu młodszych pokoleń.

Nie jest zamierzeniem niniejszego artykułu taki program wy-suwać; jako stały mieszkaniec Polski nie jestem do tego odpowiednio przygotowany. Chciałbym tylko — bijąc na alarm i domagając się od emigracji przyjęcia bardziej czynnej intelektualnie postawy — sformułować parę warunków wstępnych, które alternatywne programy polityczne dla Polaków powinny spełniać. Muszą one mianowicie zawierać odpowiedzi na następujące pytania: kto zakwestionuje czynnie obecny *status quo*? albo kto się swojej pozycji w ramach *status quo* wyrzeknie? Ponieważ jest nie do pomyślenia, abyśmy sami wywalczyli na ZSSR niepodległość — kto nam w tym pomoże? Jeżeli Rosjanie mają nam niezawisłość przyznać — jak ich do tego skłonić? A dalej: kto przejmie władzę w kraju? Skąd weźmiemy kadry kierownicze? Po tylu latach rządów totalitarnych, jakie mamy podstawy do przypuszczenia, że wytworzony ustrój będzie demokratyczny (jak się to zwykle beztrząsowo zapowiada) a nie jakiś inny? Skoro chcemy, by był demokratyczny, co należy w tym celu robić już teraz? Jak przywrócić zostanie zaufanie do niezawisłości sądów?

Odpowiedzi na te pytania będą, rzecz jasna, miały charakter

częściowo programowy (tj. będą zawierały postulaty), a częściowo prognostyczny (będą zawierały przepowiednie rozwoju wydarzeń). Innymi słowy, aby opracować jakiś program ideowo-polityczny, trzeba przyjąć określone hipotezy na temat przyszłości. Jak wiadomo, hipotezy tego rodzaju mają charakter częściowo samopotwierdzający, tj. praktyczne przyjęcie danej hipotezy zwiększa prawdopodobieństwo, że tak właśnie a nie inaczej rzeczy się będą miały. Warto zauważyć, że w omawianym wypadku Polski hipotezy pesymistyczne są samopotwierdzające w stopniu wyższym, niż hipotezy optymistyczne. Tak np. jeżeli przyjmiemy, że przyszły bieg wypadków nie otworzy możliwości uformowania się w Polsce demokracji parlamentarnej — to oczywiście nie będziemy w tym kierunku podejmować żadnych działań i możliwość taką zredukujemy prawie do zera. Natomiast przyjęcie hipotezy optymistycznej, chociaż skłonni nas zapewne do jakichś kroków, które wytworzeniu się takiego systemu będą sprzyjały, nie zagwarantuje bynajmniej jego powstania. (Dodajmy, że postawa bierna, oznaczająca rezygnację z prób wpływania na bieg wydarzeń, ma w omawianych warunkach skutki takie same, jak postawa pesymistyczna).

Uogólniając powiemy, że jeżeli stanem wyjściowym jest sytuacja zła, z której chcemy się wydostać zakładając możliwość zmiany, hipotezy optymistyczne są z punktu widzenia ich prawdopodobieństwa z reguły bardziej ryzykowne. Nie jest to argument za ich unikaniem, ale za jasnym zdawaniem sobie sprawy z ich niepewności.

Dążąc do zmiany sytuacji w Polsce musimy pamiętać, że jakakolwiek zmiana *radykałna* i *trwała* wymaga przesunięć na ustalonej w Jałcie i Poczdamie mapie podziału świata na strefy wpływów — choćbyśmy mieli na uwadze „tylko” tzw. finlandyzację Polski; a także, że sama nasza wiara w możliwość takich przesunięć nie wpływa na ich prawdopodobieństwo. Mamy, jak wiadomo, narodową skłonność do *wishful thinking*, dlatego też powinniśmy stale analizować swoje świadome czy nieświadome założenia prognostyczne, stawiając sobie pytania, nierzadko drażliwe:

Jakie zmiany na lepsze są możliwe *bez* opuszczenia przez Polskę bloku komunistycznego? Czy i na ile zmiany takie utrwaliłyby jej przynależność do tego bloku? Czy możliwa jest *zasadnicza* ewolucja ZSSR? Jakie jest prawdopodobieństwo osiągnięcia przez wewnętrzne konflikty narodowe w ZSSR punktu wybuchowego? Jakie okoliczności dodatkowe zdają się niezbędne, aby system sowiecki uległ rozbięciu? Czy podnoszenie stopy życiowej w ZSSR, które stanowi zasadniczy cel wewnętrzny polityki odprężenia, doprowadzi do złagodzenia konfliktów na zasadzie eko-

nomizacji potrzeb i wzrostu zmaterializowania, czy też odwrotnie, stworzy bazę psychologiczno-społeczną dla rosnących aspiracji narodowych i wolnościowych? Skoro podział świata, ustalony w ogólnych zarysach 30 lat temu, zasadniczo się utrzymał (z przesunięciami na korzyść ZSSR), jak będzie przebiegać uchylanie tego stanu rzeczy? Czy pomnożenie centrów potęgi militarnej, np. rozbudowa potencjału wojskowego Iranu albo remilitaryzacja Japonii, przyniosą zasadniczą zmianę? Czy Europa Zachodnia osiągnie kiedykolwiek taki stopień zjednoczenia i prężności, by zdolna była samodzielnie działać we własnych interesach wobec ZSSR? Czy w ogóle jakakolwiek ingerencja Zachodu w sprawę Europy Środkowo-Wschodniej jest w przyszłości prawdopodobna? Skoro USA nie interweniowały w latach czterdziestych, kiedy miały wyraźną przewagę wojskową, jakie warunki muszą zaistnieć, aby kiedyś zachowały się inaczej? Czy wzrastające tendencje izolacjonistyczne w Stanach Zjednoczonych ulegną odwróceniu i w jakich okolicznościach (np. pogłębiającego się kryzysu gospodarczego)? Czy w interesie Polski leży polepszanie się stosunków między NFR a NRD, albo wręcz zjednoczenie Niemiec? Czy jakakolwiek istotniejsza ewolucja systemu politycznego w Polsce jest możliwa, dopóki NRD jest państwem totalitarnym i satelitą ZSSR?

Pytania te dadzą się mnożyć — ale żadnego nie wolno pominać. Jest oczywiste, że dyskutować je można tylko na emigracji. Do prób odpowiedzi na nie — z wyjątkiem tych, które dotyczą wewnętrznych zagadnień krajów bloku komunistycznego — powinni być lepiej przygotowani naukowcy i publicyści emigracyjni, niż krajowi. Mówię „powinni”, bo w rzeczywistości niewiele i tylko wycinkowo, nie zaś w ramach szerszych koncepcji i programów, na te tematy się pisze. Poniżej chcę przykładowo omówić dwa zespoły problemów, w kraju całkowicie zakazanych, które pojawiają się w publikacjach emigracyjnych niby dość często, ale prawie zawsze w ujęciach wąskich i szablonowych. Mam na myśli sprawę dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej i sprawę stosunków między Polską a ZSSR.

W specjalnym artykule (*Kultura*, 1974, nr 9) Juliusz Mieroszewski postuluje, aby Polacy na emigracji wyrzekli się jednoznacznie roszczeń do przedwojennych ziem wschodnich Polski, ponieważ Rosja uważa nasze zainteresowanie tymi obszarami za wyraz tradycyjnego polskiego „imperializmu” a utrzymywanie sytuacji, w której ziemie te stanowią kość niezgody między Rosją a Polską jest sprzeczne z interesami zarówno Polaków, jak Białorusinów, Litwinów i Ukraińców.

Nie neguję, że prostoduszne zapędy rewizjonistyczne mają mało sensu, ale niektóre składniki rozumowania Mieroszewskiego

zdają mi się anachroniczne, a pewne sformułowania ryzykownie wieloznaczne, dopuszczające interpretacje sprzeczne może z intencją autora.

Z punktu widzenia ZSSR zrzeczenie się roszczeń do ziem wschodnich jest gestem bez znaczenia, bo Moskwa uważa sprawę za zamkniętą. Mogłaby zostać otwarta tylko w wypadku jednoczesnego rozpadnięcia się bloku wschodniego (unieależnienie się Polski) i samego ZSSR (ustalenie nowych granic); wówczas jednak Polacy rozmawialiby nie z rządem rosyjskim, ale z Ukraincami, Białorusinami i Litwinami.

Połączenie przez Mieroszewskiego w jedną homogeniczną grupę „ULB” trzech krajów o różnych kulturach, rozmaitej przeszłości i odmiennych sytuacjach bieżących jest zniekształcającym uproszczeniem. 1) Ukraina, najludniejsza poza Rosją część ZSSR, jest terenem najczęstszych czystek aparatu partyjnego i administracyjnego. W oczach Moskwy Ukraińcy są najgroźniejszym z narodów, domagających się swobód i niezależności. Bierny opór narodowy jest na Ukrainie dosyć silny, ale masowe rusyfikowanie się ludności miejskiej bardzo niepokoi inteligencję ukraińską, której stan liczbowy i zakres oddziaływania zdają się kurczyć. Na obszarze Ukrainy Zachodniej zdarzają się przejawy spontanicznej sympatii rosyjsko-polskiej, wymierzonej przeciwko Ukraińcom, którym Rosjanie lubią wytykać np. polski wygląd i tradycje Lwowa; nigdzie indziej analogiczne tendencje nie występują. Nastawienie Ukraińców wobec Polaków jest bardzo złożone, pełne sprzeczności, oparte na wielu frustracjach i resentymentach. Starsi nieraz z żalem wspominają czasy przedwojenne. Jeżeli nawet nie lubią Polaków, to czują dla nich skrywany podziw. Niechęć z powodu przedwojennej dyskryminacji Ukraińców w Polsce ustąpiła miejsca irytacji, że Polakom lepiej się dzieje i mają osobne państwo; poczucie sukcesu z powodu odebrania Polsce ziem ruskich łączy się z rozgoryczeniem, że i tak Ukraina jest w rękach Rosji. Ogólnie biorąc, jest to teren najostrzejszych i najtrudniejszych do załagodzenia zadrażnień, które z samym przesunięciem granicy tylko częściowo się łączą.

2) Białorusini, naród o najmniej wyrobionym poczuciu odrębności etnicznej i kulturowej, nie stanowią dla Rosji zagrożenia. Przy szczupłości inteligencji rusyfikacja postępuje szybko. Sympatie propolskie są żywe a kultura polska uważana jest za bardzo atrakcyjną; podobno liczba ludzi znających polski rośnie mimo wszystkich utrudnień. Białorusini są skłonni do zbliżenia z Polakami, mało u nich widać resentymentów, a o polskiej swobodzie i stosunkowym dobrobycie mówią z podziwem, nie z zawścią. Są jednak bardziej od Ukraińców i Litwinów zastraszeni.

3) Litwa broni swojej odrębności kulturowej najusilniej i najskuteczniej. Polaków jest tu najwięcej, tworzą oni zwarte skupiska ludności wiejskiej, sporo jest ich w mniejszych miastach. Znajomość polskiego rośnie; młodzi Litwini uczą się go często ponoć z przekory. Oficjalny stosunek do Polaków jest chłodny: Litwini obsesyjnie podkreślają *swój* wkład do wspólnej przeszłości i lituanizują co i kogo się da (Mickiewicza i Smuglewicza, Radziwiłłów i Tyszkiewiczów). Jednakże, przeciwnie niż Ukraińcy, przyznają się bez żenady do dawnej wspólnoty. Animosje powoli błędną, więzi religijne i historyczne są silne i skłonność do kontaktów z Polakami oczywista. Dyskryminacja ludności polskiej jest tu stosunkowo najmniejsza.

Zadeklarowanie, że nas dawne terytoria Rzeczypospolitej nie obchodzą, byłoby zdradą naszej historyczno-kulturowej odpowiedzialności — zarówno wobec pozostałych tam Polaków, jak i wobec Litwy, Białorusi i Ukrainy, które nie są suwerennymi państwami i są w gorszym, bardziej od Moskwy zależnym położeniu, niż Polska. To, że nie mamy wobec tych trzech narodów czystego sumienia, że wspólna wielowiekowa przeszłość była dla nas pomysłniejsza, niż dla nich — nie uprawnia nas teraz do umywania rąk i zostawiania sprawy w rękach Rosji. Byłoby to niepoważnym naśladowaniem wielkich mocarstw, które ponad głowami małych państw decydują o ich losach. Równałoby się też zignorowaniu znamiennego faktu, że dawne ziemie polskie zachowały w ramach ZSSR do pewnego stopnia swoją odmienność (np. nieporównanie większa liczba czynnych kościołów).

Jeżeli chcemy ruszyć sprawę ziem wschodnich z martwego punktu, musimy na nią spojrzeć pod kątem nie przeszłości, ale teraźniejszości i widocznych dziś tendencji rozwojowych, a więc ująć ją w kategoriach innych, niż nacjonalizmu i granic państwowych.

Dla większości współczesnych Polaków problem dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej ma dwa aspekty: *terytorialny* i *ludzki*. Jako *terytorium* Wileńszczyzna i Wołyń, Lwów i Grodno, Krzemieniec, Nowogródek i Żółkiew — to tylko część naszej *historii*; ale historia jest bezcennym dziedzictwem i narodowi o tak dramatycznych losach jak polski rezygnować z dostępu do niej nie wolno. Dlatego też postulować powinniśmy możliwość swobodnego odwiedzania tych ziem, odświeżania ich w pamięci ludzkiej, odnawiania związków z osiągnięciami kulturowymi przeszłości. Granica nie powinna tu być istotna, tak jak nie jest istotna dla Francuza, który bez trudu może odwiedzić grobowiec Karola Wielkiego w Akwizgranie, nie martwiąc się, że miasto, które sam nazywa Aix-la-Chapelle, nosi oficjalnie miano Aachen. Bierzmy przykład z Europy Zachodniej, nie dajmy się

zdusić stereotypom. Tylko swobodny ruch ludności poprzez nieprzekraczalną dziś granicę pomoże uporać się z widmami przeszłości i kompleksami teraźniejszości. I tego emigracja powinna domagać się głośno — jak my domagamy się po cichu.

Aspekt *ludzki* jest bardziej bolesny i trudny. Trzy miesiące po ukazaniu się artykułu Mieroszewskiego obiegła świat wiadomość o piętnastu intelektualistach warszawskich, którzy podpisali list, domagający się szanowania praw Polaków w ZSSR i możliwości ich swobodnego kontaktowania się z Polską. Nie muszą powtarzać treści tego apelu. Nie był to dokument rewizjonistyczny, ani antyrządowy; był to jednak akt odwagi. Emigracja zaś i w tej sprawie przyspała*. Przykro pomyśleć, że najznakomitszy polski pisarz emigracyjny, Czesław Miłosz, tak związany z Litwą, nigdy się losem Polaków „za kordonem” nie zainteresował.

Przejdźmy do zagadnienia stosunków między Polską a ZSSR — zagadnienia, które w kraju omawiane jest tylko w obrzędowej formie frazesów o „przyjaźni i wzajemnej pomocy”, a na emigracji poruszane jakby półgębkiem, w sposób sporadyczny i wycinkowy. Da się ono przedstawić w formie paradoksu lub, jeśli kto woli, dialektycznej jedności przeciwieństw: im bardziej Warszawa zależna jest od Moskwy, tym mniej to wygodne dla ZSSR — ale każdy wzrost niezależności jest dla ZSSR niebezpieczny. Emigracyjne wypowiedzi ukazują zazwyczaj tylko jedną stronę splotu przeciwieństw, sugerując fałszywy obraz rzeczywistości.

Jest jasne, że koszty utrzymywania w Warszawie rządu satelitarne są dla Rosji znaczne. Im bardziej oczywisty jest fakt zależności tego rządu od Moskwy, tym silniejsze nastroje antyso-

* Wydaje się, że poziom wiedzy emigracji o stosunkach na Ukrainie, Litwie i Białorusi nie jest wysoki. Nawet doskonale zazwyczaj poinformowane Radio Wolna Europa w audycjach z 10 i 11 grudnia, poświęconych listowi piętnastu, niezupełnie ściśle sytuację przedstawiło. Dlatego też postuluje powołanie przy jednym z emigracyjnych instytucji naukowych — najodpowiedniejszym symbolicznie byłoby Instytut Józefa Piłsudskiego — Ośrodka Dokumentacji Ziemi Wschodnich. Ośrodek zająłby się gromadzeniem danych o życiu społecznym i ekonomicznym, kulturalnym i religijnym, dawnych ziem polskich po roku 1939 — o losach ludzi, zabytków, osiedli. Dotychczas nikt takich informacji nie gromadzi i ulegają one zatraceniu lub rozproszoniu; w ZSSR są one w znacznej części niszczone. Ci, którzy te ziemie odwiedzają, i ci, którzy stamtąd wyjeżdżają, wiedzieliby dokąd posiadane materiały kierować. O istnieniu Ośrodka musiałoby oczywiście powiadomić radio. Nie powinien się on zajmować sprawami wyłącznie polskimi, ale brać pod uwagę całą ludność i dorobek tamtych ziem. Sądzę, że emigrację stać na ufundowanie jednego etatu dla naukowca, który by gromadzone materiały porządkował i co jakiś czas przygotowywał odpowiednie sprawozdania dla radia i pism emigracyjnych. Wskazane byłoby nawiązanie łączności z ośrodkami litewskimi i ukraińskimi, ponieważ ruch turystyczny z Zachodu obejmuje głównie ludzi tych narodowości.

wiekie w Polsce, a zarazem tym większa odpowiedzialność mocodawców za utrzymanie się ich wasali przy władzy. Im bardziej niezależna polityka rządu polskiego, tym większa jego własna odpowiedzialność wobec społeczeństwa i mniejsze obciążenie rachunku ZSSR. Ostentacyjny rusofilizm (który jest często okazywany w celach niewątpliwie prowokacyjnych, aby zmusić Rosjan do popierania „przyjaciół”) jest nie tylko głupi — bo jeszcze bardziej antagonizuje społeczeństwo, ale i ryzykowny dla ZSSR, bo zmusza Moskwę do udzielania pomocy w wypadku poważnych kłopotów gospodarczych czy politycznych. W interesie Moskwy wydaje się więc leżeć ukrócenie przesadnej prorosyjskości, którą okupują np. podręczniki szkolne.

ZSSR nie dostrzega jakoś jednak słuszności tych prostych i niezbitych argumentów. Dlaczego? Otóż i Rosjanie, jak i Amerykanie, mają najwidoczniej swoją teorię „dominowych klocków”, przewracających się jeden za drugim: obawiają się, nie bezpodstawnie, że przykład Polski — i tak wysforowanej przez inne demoludy — podziąła gorsząco na Budapeszt, Pragę a może nawet i Sofię. Jeszcze bardziej muszą się takiego obrotu sprawy obawiać w Berlinie Wschodnim. Sprawa polska jest znowu, jak w XIX wieku, sprawą międzynarodową, nieodłączną od losów innych krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Więcej: jest kluczem do sytuacji politycznej w tej części świata. To jest ciężkie brzemie naszej historii, którego zrzucić nie możemy — lepiej więc nosić je z dumą, niż udawać, że go nie ma.

Obawy rosyjskie, które zmieniają położenie Polski w zamknięty paradoks, są tym bardziej nieuchronne, że argumenty za zwiększeniem samodzielności Warszawy nie są włączane w ramy jakiegoś ogólnego projektu politycznego, który nie implikowałby rozbioru imperium ZSSR. Jak dotychczas nikt takiego projektu nie potrafił opracować i jego możliwość wydaje się wątpliwa. Wątpliwa przede wszystkim ze względu na historyczną sztywność systemu rosyjsko-sowieckiego, który ewoluuje z trudem i w którym procesy polityczne przebiegają drogą nieregularnych wstrząsów i kataklizmów. Jak wiemy, przez ponad pół wieku nie potrafiono nawet wypracować systemu rotacji kadry kierowniczej.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że ZSSR znajduje się w stanie permanentnego kryzysu na trzech płaszczyznach: politycznej — ze względu na brak ustalonych reguł gry, gospodarczej — ze względu na bałagan organizacyjny i sprzeczności między wymogami ideologii a ekonomii, narodowej — ze względu na stały konflikt między bezwzględną dominacją Rosji a aspiracjami innych narodowości. Trudno przewidzieć, jakie drogi wyjścia z tych kryzysów będą wybierać przywódcy sowieccy: wygląda na to, że

sami nie wiedzą, ani nie mają ustalonego sposobu uzgadniania swoich poglądów. W tej chwili zdają się mimo wszystko skłaniać do utwierdzenia totalitarnej sztywności, co może ich z czasem zmusić do powrotu do awanturniczej polityki militarnej.

Lenin napisał, jeszcze przed Rewolucją Październikową: „Nie ma wolności Polski bez wolności Rosji”. Wtedy nie miał racji; obawiam się, że ma ją teraz.



Już po naszkicowaniu powyższego dotarł do mnie, ze znacznym opóźnieniem, spowodowanym z jednej strony troskliwością naszych władz a z drugiej popularnością pisma, październikowy numer *Kultury* 1974 r., z obszernym artykułem X.Y.Z. „Pokusy i przestrogi”. Studium to wzbudziło duże zainteresowanie; jego druk był jeszcze jednym przykładem tego, jak nieoceniona *Kultura* pomaga nam w kraju porozumiewać się wzajemnie. Nawet znajome myśli nabierają innego wymiaru, kiedy się je widzi w druku — jakby zyskiwały namacalność.

Tak się składa, że artykuł X.Y.Z. uzupełnia powyższe rozważania, bo dotyczy kryzysu powojennej *krajowej* myśli politycznej. Wiele twierdzeń powinno wywołać polemikę; niektóre budzą sprzeciw; korzystając z okazji, chciałbym z paroma z nich podyskutować. Cieszę się bardzo, że autorzy tak ładnie i słusznie przedstawili rolę Radia Wolna Europa i *Kultury*: moja krytyka niedowładu „programowego” emigracji również, jak łatwo zauważyć, nawiązuje do dorobku tych instytucji, jest kontynuacją ich wysiłków. Niepotrzebnie jednak autorzy sumitują się że, być może, nieświadomie a krzywdząco pomijają jakieś „twórcze ośrodki koncepcyjne” na emigracji. Jeżeli nawet takie ośrodki istnieją, sam fakt, że w kraju nic o nich nie wiemy, przekreśla ich znaczenie — a brak poinformowania o nich obciążałoby konto emigracji.

Autorzy stosują pewną zasadę, którą warto podkreślić, aby nie uszła uwadze. Otóż rozróżniają oni wyjątkowo starannie między warszawskim a moskiewskim ośrodkiem władzy. Aż nadto często przyjmuje się milcząco, że władze warszawskie są po prostu przekąźnikiem dyrektyw centrali — i pomija fakt, że są one nie tylko w pewnym (zmiennie ograniczonym) stopniu samodzielne, ale że ich interesy i aspiracje są częstokroć sprzeczne z moskiewskimi.

Niektóre twierdzenia historyczne X.Y.Z. budzą wątpliwości, Autorzy zdają się przypisywać powojennym rządóm lubelskiemu i warszawskiemu większą swobodę manewrowania, niż miały one w rzeczywistości. To samo dotyczy możliwości politycznych Mi-

kołajczyka. Fakt, że rozwój wydarzeń we wszystkich krajach Europy Wschodniej następował według tego samego wzorca, świadczy przeciwko takiej diagnozie. Nie wiem też, a autorzy nie podają żadnych dowodów, na ile słuszną jest ich interpretacja afery Świątły i przejścia władzy przez Gomułkę jako posunięcie zaplanowanych przez Moskwę. Niektóre późniejsze wydarzenia, jak np. nagła wizyta Chruszczowa w Warszawie podczas obrad plenum KC w 1956 roku, stają się w tym świecie trudno zrozumiałe. Wobec braku argumentów trudno tu polemizować.

Problem genezy zmian, zaszytych w Polsce w roku 1956, ma jednak znaczenie o wiele szersze, tak teoretyczne jak i praktyczne. Opis ukrytych sprężyn wypadków październikowych, podany przez X.Y.Z. jest klasycznym przykładem zastosowania „spiskowej” koncepcji historii. Wedle tej koncepcji wydarzenia polityczne są głównie rezultatami przebiegłych intryg i zakulisowych machinacji. Ten sposób widzenia historii rozkwita żywiłowo na glebie braku informacji faktycznych; jego najbardziej rozpowszechnionymi wytworami są mity o wszechwładzy masonerii albo międzynarodowego Żydostwa. Ujęcie nowoczesne zawdzięcza wiele marksizmowi. Z jednej strony jest bowiem żywiłową reakcją na oficjalną wersję wydarzeń historycznych, wersję opartą o branie pozorów za fakty i pomijającą niemal zupełnie znaczenie powiązań personalnych; z drugiej strony przejmuje od marksizmu negowanie przypadków i pomniejszanie roli poglądów tak jednostek jak i całych grup. Wszystkie posunięcia i decyzje ujmowane są w kategoriach rywalizacji i cynicznej walki o władzę.

Twierdzenia tych, którzy uprawiają „spiskową” metodę bywają nierzadko prawdziwe i mogą pełnić ważną funkcję ostrzegawczą — nie ulega jednak wątpliwości, że sugerowany przez nią całościowy obraz świata jest fałszywy. Co ważniejsza, jednostronne stosowanie tej metody opisu i interpretacji wydarzeń politycznych wywołuje skutek niezamierzony: mianowicie wzmacnia pozycje i poprawia szanse tych, którzy właśnie takie potajemno-spiskowo-cyniczne sposoby działania uprawiają, zmniejsza natomiast rolę różnic w poglądach i postawach moralno-politycznych. Przekonywa bowiem „spiskowców” o skuteczności ich poczynań, a społeczeństwo — o jego bezradności w sieci tajemnych a chytrych matactw. Przykładem tejże metody i takich właśnie skutków może być wydana przed laty książka Witolda Jedlickiego „Chamy i Żydy”. Odegrała ona, moim zdaniem, rolę negatywną, sprzeczną z intencjami autora: ułatwiła wspólnotę działania, tak w sposobach jak i w celach, tzw. „partyzantów” — którzy nigdy, a już na pewno w chwili wydania książki, nie tworzyli grupy tak spójnej — i skoordynowała akcję przeciw „Żydom”, dostarczając „argumentów” i gotowego „materiału

dowodowego” np. samego Jedlickiego propaganda moczarska mianowała szybko byłym sekretarzem Starewicza).

Mniejsza jednak o te szczegóły, być może dyskusyjne. Istotne jest, że koncepcja „spiskowa”, nieoględnie stosowana, przynosi takie same rezultaty, jak uznanie za prawdziwe słynnego zdania *Czeka znajeł usio*: paraliżuje chęć działania, przekonując z góry o jego bezcelowości. Niestety, z publikacji emigracyjnych wyłania się niekiedy sprzeczny obraz rzeczywistości krajowej, której ludzie, z jednej strony, nie wykorzystują rzekomo znakomych możliwości działania, a w której, z drugiej strony, wszystko co się dzieje jest z góry ukartowane, a każde ustępstwo reżymu jest tylko prowokacją. Taka sprzeczność między opisem sytuacji a postulatami pogłębia tylko nastroje zniechęcenia i cynizmu. Węszanie podstępów w każdej działalności już nawet nie inicjowanej, ale akceptowanej czy tolerowanej przez partię i rząd, ma sens tylko wtedy, jeżeli połączone jest z ukazywaniem konkretnych, praktycznych alternatyw albo zabiegów ubezpieczających.

Drugie ostrzegawcze światło chciałbym zapalić nad ostrymi ocenami autorów, potępiających krajowe środowiska intelektualne. Nie dlatego, bym chciał bronić karierowiczów, tchórzy, cynicznych koniunkturalistów i groszorbów — ale dlatego, że chcę ich odróżnić od tych minimalistów, którzy szli na kompromis i pracowali nad zachowaniem i poszerzeniem dorobku kultury narodowej. Nie twierdzę, że się z minimalistami solidaryzuję; apeluję tylko o zrozumienie dla ich stanowiska.

Słowa „zdrajca”, „sprzydawczyk”, „oportunistyczna świnią” trochę zbyt łatwo przechodzą nam przez usta. Zdrajcą nazywano Wielopolskiego; zdrajcą okrzykiwano Piłsudskiego i podczas wojny z bolszewikami, i po pokoju ryskim. Przy wątpliwości naszych tradycji parlamentarnych istotnie trudno zdobywać się na łączenie bezkompromisowości z szacunkiem dla ludzi, reprezentujących inne poglądy. Trudno — ale to konieczne, jeżeli chcemy odbudować polską myśl polityczną.

Autorzy „Pokus i przestróg” uznają zapewne, że zarzut nie tolerancji jest w stosunku do nich niesłuszny. Cieszyłbym się, gdyby tak było; ale w takim razie powinni byli wyraźniej napisać, jakie kryteria stosują, oskarżając intelektualistów polskich o „upadek” i „zdradę powołania”? Nie przeczę, że bardzo wielu na taki osąd zasłużyło — ale jeżeli się chce od ogólników przejść do konkretnej oceny roli środowiska intelektualnego po wojnie, trzeba uściślić, jakiemu rodzajowi postępowania uważa się za naganne. Więc na przykład czy Tadeusz Manteuffel, wieloletni dyrektor Instytutu Historii PAN i redaktor oficjalnej, akademickiej „Historii Polski”, zasługuje na ryczałtowe potępienie? Ponieważ Profesor Manteuffel był w okresie stalinowskim prezesem Polskiego

Towarzystwa Historycznego i kierownikiem Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego, jego podpis figuruje pod niejednym oświadczeniem i rezolucją, z których zawstydzającą treścią się nie zgadzał. Firmował też swoim nazwiskiem wydawnictwa, zawierające teksty wręcz obrzydliwe (np. rozdział o wojnie polsko-bolszewickiej wymienionej „Historii Polski” PAN’u). Nikt jednak nie mógł Manteufflowi zarzucić, by robił cokolwiek dla własnej kariery, albo by komukolwiek wyrządził krzywdę. Przyczynił się w walnie do tego, że historiografia polska, mimo bardzo niesprzyjających warunków, stała się po wojnie jedną z najżywiej się rozwijających i najwartościowszych gałęzi naszej humanistyki.

Przypadek Manteuffla nie jest wcale wyjątkiem, ale trudno pisać o żywych. Były okresy i są dziedziny, w których zrobienie *czegokolwiek* wymaga kompromisów. Dla wielu z nas są one nie do przeknięcia, ale musimy sobie zdawać sprawę, że często zawdzięczamy swoją kulturalną egzystencję i możliwość pracy w wybranej dziedzinie tym, którzy zdecydowali się pobrudzić swoje białe rękawiczki.

Należy również pamiętać, że przyjmowanie postawy minimalistyczno-kompromisowej, albo maksymalistyczno-nieugiętej (albo jakiejś postawy pośredniej) jest zazwyczaj związane z oceną aktualnej sytuacji politycznej i przewidywaniami jej przyszłego rozwoju. Wielu ludzi mogło całkiem uczciwie i z żalem dojść do przekonania, że szanse na jakąkolwiek zasadniczą zmianę w położeniu Polski są w najbliższej przyszłości zerowe; mogli też uznać przystosowanie się i próby ratowania tego, co się da uratować, za swój moralny obowiązek. Kiedy spojrzymy na intelektualistów polskich z perspektywy tego, jak im się mogła rysować rzeczywistość i przyszłość Polski w latach bezpośrednio powojennych — uświadomimy sobie, że nie byli oni wcale w położeniu lepszym, niż ich koledzy włoscy, niemieccy czy sowieccy — jak to twierdzą X.Y.Z. Prawda, że nie czuli się osamotnieni w swoim społeczeństwie, kiedy szło o negatywne nastawienie wobec narzuconego systemu. Ale też jaśniej, niż społeczeństwo, rozumieli wymowę dwu faktów: zignorowania przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone interesów polskich w Jałcie i Poczdamie, oraz bezwzględności metod działania ZSSR. Wielu z nich (pamiętam rozmowy na ten temat z Pawłem Jasenicą w połowie lat sześćdziesiątych) było zdania, że Zachód marnie sobie radzi w rozgrywce z Rosją i że szanse na zwrot w sprzyjającym komunizmowi rozwoju wydarzeń są słabe. A przecież intelektualiści polscy dosłownie *zderzyli się* z tymi faktami bezpośrednio po okresie obrzymiego wysiłku, jakim był dla nich czas wojny. Mobilizowała ich wówczas wiara w odbudowę niezależnej i demokratycznej Polski. Po straszliwym upuście krwi — jak wiemy, ta warstwa

ucierpiała najbardziej — intelektualisci znaleźli się w rzeczywistości sprzecznej z nadziejami, dla których poświęcały się, za ich wezwaniami, miliony Polaków. Środowisko intelektualne, tym bardziej zmęczone im bardziej ofiarne, stanęło twarzą w twarz z problemami, które nie dawały się ujmować w prostych kategoriach moralno-politycznych do których przywykło.

W takiej sytuacji decyzja częściowego kompromisu w imię ratowania kultury i gospodarki narodowej, w imię zapewnienia kontynuacji bytu narodowego, zasługuje na bardzo ostrożną i wyważoną ocenę. Zresztą i X.Y.Z., na str. 10 swojego szkicu, kiedy piszą o zdrowym rozsądku społeczeństwa, który uchronił je przed skrajnymi reakcjami, dostarczają argumentów przeciwko własnym jednostronnym osądom. Aby nie było nieporozumień: jestem za postawą bezkompromisową, ale z zachowaniem szacunku dla tych, którzy z uczciwych pobudek wychodząc przyjmują postawę częściowego kompromisu. Innymi słowy — jestem za wielopartyjnością.

Najbardziej wątpliwą częścią obszernego artykułu X.Y.Z. jest zakończenie, w którym autorzy szkicują swoje sugestie, jak mogą się w przyszłości ułożyć stosunki między Polską a ZSSR:

„Jeśli troska o utrzymanie pokoju jest rzeczywiście myślą przewodnią polityki sowieckiej, wówczas nie może ona nie dojść do oczywistej konkluzji, że jedynym sposobem utrwalenia pokoju na naszym kontynencie jest przywrócenie suwerenności państwom, które znalazły się w jej strefie wpływów. Jest rzeczą zrozumiałą, że polityków sowieckich straszy widmo zjednoczonej Europy podejmującej „krucjatę” przeciwko komunistycznej Rosji, i tych obaw nie wolno lekceważyć. ... Staje się rzeczą oczywistą, że tylko Polska suwerenna i silna może stać się tym czynnikiem w zjednoczonej Europie, który będzie skutecznie powstrzymywał wszelkie ewentualne zapędy do wtrącania się w sprawy wewnętrzne Rosji i jakiegokolwiek zakusy na jej istnienie. ... Jesteśmy zdania, że tylko w niepodległej Polsce znajdzie Związek Sowiecki sojusznika, który będzie gwarantem pokoju” (s. 50, 51).

Rozumowanie to uważam za niebezpiecznie naiwne i oparte na fałszywych przesłankach. Jawnie błędne jest przede wszystkim założenie, że myślą przewodnią polityki sowieckiej jest utrzymanie pokoju. „Walka o pokój”, prowadzona przez Moskwę od blisko trzydziestu lat, służy za zasłonę dymną polityce utrzymania zagarniętych zdobyczy i zapewniania sobie, bez większego ryzyka, możliwości dalszej ekspansji. Pokój jest środkiem, nie celem — środkiem skutecznym, bo Moskwa istotnie umocniła się na zdobytych pozycjach a gromkie hasła pokojowe nie przeszkodziły w zbrojeniach (nie muszą przecież, jak Zachód, liczyć się z opinią ludności). Zresztą można się było wielokrotnie przekonać, że Rosjanie gotowi są do zmiany środków działania jeżeli tylko uznają to za korzystne. Deklamowanie o pokoju nie powstrzymało

ich ani od prowokacji koreańskiej, ani od najazdu na Węgry, ani od interwencji w Czechosłowacji. Pokojowe współistnienie jest, nawet według oficjalnej doktryny, formą walki klasowej i konfliktu ideologicznego.

Również rozprawianie o rzekomym okrażeniu czy zagrożeniu ZSSR, o niebezpieczeństwie „krucjaty” przeciwko komunistycznemu imperium — jest chwytem propagandowym bardzo skutecznym i wywołującym mnóstwo zamieszania wśród prostodusznych liberałów amerykańskich i zachodnioeuropejskich. I, jak widzimy, nie tylko wśród nich. W gruncie rzeczy żaden z przywódców sowieckich w te banialuki nie wierzy. Wiedzą oni doskonale, że demokracje Zachodu są z samej swojej natury nieruchawe do wojny, że sam ich ustrój polityczny — nie mówiąc już o przeważających od dziesięcioleci nastrojach — sprawia, że nie są w stanie rozpocząć jakiegokolwiek większej akcji wojennej. Tylko bezpośrednie i niewątpliwe zagrożenie może je skłonić do przyjęcia wojowniczej postawy, tylko agresja zmusić do wojny. Obawiam się, że X.Y.Z. ulegli wieloletniej kampanii propagandowej na temat rzekomego zachodniemieckiego rewizjonistycznego militarizmu.

Następna fałszywa przesłanka utożsamia ZSSR z Rosją — jak gdyby to państwo było monolitem, a nie zlepkiem utrzymywanych siłą w posłuchu a marzących o uniezależnieniu narodowości, jak gdyby kiedykolwiek mogło się dla nas stać obojętne, co dzieje się po drugiej stronie Bugu. Jak gdyby rzeczywiste niebezpieczeństwo dla całości imperium zatrzymywało się na jego granicy — podczas kiedy naprawdę przenika ono cały jego zgangrenowany przez fałsz i uciemnienie system.

Uznanie za „nieuchronne” powstanie zjednoczonej i zintegrowanej Europy jest przykładem optymizmu, który radbym podzielić, ale dla którego brak w chwili obecnej solidnych podstaw. Jeżeli tak się stanie — nie stanie się prędko. Stany Zjednoczone są obecnie i będą jeszcze przez wiele lat jedynym państwem, na którego pomoc możemy w jakimś tam stopniu liczyć, ponieważ nasza opozycyjna postawa wobec ZSSR może Ameryce ułatwić zadanie trzymania w szachu niebezpiecznego przeciwnika. Natomiast aby oczekiwać współpracy czy pomocy ze strony Europy Zachodniej — musimy sami jej coś oferować. Nie jesteśmy pod tym względem pozbawieni atutów, ale to już osobny temat.

Związkowi Sowieckiemu możemy zaś oferować nie gwarancję pokoju — bo jej nie potrzebuje (a pozbawiona broni termojądrowej Polska i tak jej zapewnić nie może), ani gwarancji ochrony przed zakusami innych państw — bo się takich zakusów nie obawia — ale możliwość złagodzenia napięcia u jego zachodnich granic. Utrzymywanie Polski w obecnej pozycji płaszczyzny się

satelity* jest igraniem z ogniem — bo jest hodowaniem w strategicznym punkcie obozu trzydziestu milionów gniewnych i wrogo nastawionych ludzi.



Potrzeba nam programów działania. Programów, ujmujących w całość wielorakie i sprzeczne składniki współczesności, ukazujące wizje przyszłości i plany ich stopniowej realizacji. Programów, które zawierałyby konkretne zadania dla wszystkich warstw społeczeństwa, które by wszystkim warstwom ukazywały, co mogą zyskać na zasadniczych zmianach w ustroju i pozycji międzynarodowej Polski.

Narzekania na to, że robotnicy nie ruszyli się w 1968 a studenci pozostali bierni w 1970 roku wskazują na fakty przykre, ale zrozumiałe. Zamiast biadać, lepiej zastanowić się nad przyczynami. Myślę, że były one trojakię. 1) Monopol państwa na środki masowego przekazu i surowa kontrola policyjna nad stowarzyszeniami i zebraniem prawie uniemożliwia szybkie porozumiewanie się między środowiskami i miejscowościami, i bardzo utrudnia wypracowanie częściowo chociażby uzgodnionych postulatów. 2) Świadomość częstego stosowania przez władze prowokacji i obawa przed pułapkami hamuje działanie i minimalizuje wpływ ewentualnych grup konspiracyjnych. 3) Brak jest wspólnych, znanych całemu społeczeństwu, wdrożonych haseł programowych.

Jak emigracja może w tych sprawach pomóc? Informując i ułatwiając nam porozumiewanie się wzajemne. Dążenia robotników i studentów nie są rozbieżne — przeciwnie, są pokrewne i często wyrażane podobnymi hasłami. I jedni i drudzy protestują gwałtownie przeciwko samowoli partii, zakłamaniu i tajności życia publicznego. Informacje i komentarze rozgłośni zachodnich powinny uwydatniać te zbieżności i pokrewieństwa, czynnie integrować sposoby odczuwania, nastroje i aspiracje różnych grup społecznych. I do tego niezbędne są ogólne koncepcje polityczne; należałoby co ważniejsze wydarzenia dyskutować wszechstronnie pod kątem widzenia takich całościowych programów.

Jeden element wspólny odczuciom i myślom wszystkich warstw społeczeństwa polskiego jest oczywisty: to chęć odzyskania przez naród prawa do samostanowienia. I tu dygresja: nowy

* Zdanie X.Y.Z. o „cichym solidaryzowaniu się” władz krajowych „z niechęcią wobec Rosji postawą społeczeństwa” jest w tej chwili zupełnie nieaktualne — bo przywódcy partyni i rządowi prześcigają się teraz w lizuzostwie i wiernopoddańczych gestach wobec ZSSR. Ale to jeszcze sytuację pogarsza, bo silniej antagonizuje społeczeństwo jednocześnie przeciwko Rosji i przeciwko zależnym od niej warszawskim władzom. Jest to polityka krótkowzroczna, samobójcza i niebezpiecznie prowokacyjna.

i bardzo ciekawy kwartalnik emigracyjny, ukazujące się w Szwecji socjaldemokratyczne pismo *Aneks*, zamieściło w jednym z numerów pięć interesujących głosów dyskusyjnych na temat możliwości rewolucji w Europie Wschodniej. Uderzające jest, że w dyskusji sprawy opresji rosyjskiej i uczuć narodowych odegrały tylko zupełnie uboczną rolę. Łatwo to wytłumaczyć: dyskutowali socjologowie, a socjologia, ze względu na swoją genezę i dzieje, jest nauką o słabych tradycjach zajmowania się problematyką narodową i chwiejnym w tej dziedzinie aparacie pojęciowym (odwrotnie niż historia, w tym względzie najsilniejsza). Pięknie to ilustruje przypomniany w tejże dyskusji przez Leszka Kołakowskiego przykład Róży Luksemburg, która, zanalizowawszy klasowo społeczeństwo polskie w przededniu wybuchu I wojny światowej doszła do logicznego i „niewątpliwego” wniosku, że odbudowa Polski jest niemożliwa, bo nie leży w interesie żadnej klasy.

Przypominając, że hasła narodowe stanowią najważniejszą i wspólną część samorzutnej, żywiłowej ideologii opozycyjnej Polaków — nie musimy wcale bić w nacjonalistyczne bębny ani wpadać w antyrosyjski czy jakikolwiek inny szowinizm. Dość wykazywać, że — poza deptaniem narodowej godności i bezpośrednim wysyskiem, który aż przesadnie rysuje się w świadomości wszystkich — dominacja ZSSR oznacza: ciągłe przeciwstawianie się gruntowniejszym reformom gospodarczym, utrudnianie handlu zagranicznego, uniemożliwianie przebudowy systemu kontroli państwowej, narzucanie stylu powszechnej tajności, wykrzywanie sensownych proporcji w rozwoju przemysłu, itd.

Nie ma w Polsce takiej grupy społecznej — poza głupimi biurokratami partyjnymi — która by dobrze nie wyszła na zmniejszeniu się tej dominacji. Oto racjonalne jądro dla wszystkich możliwych programów. Oto stwierdzenie, przemawiające do wszystkich Polaków.

Marian KOWALSKI

Parę uwag w kwestii socjalizmu

(GLOSSY CZYTELNIKA Z KRAJU)

W listopadowym numerze *Kultury* (1974 r.) pojawiła się arcyciekawa dyskusja między Adamem Bromke a Juliuszem Miroszewskim. Dyskusja była nie banalna i żywa w dużym stopniu dzięki Bromkemu, który wniósł do niej wiele świeżych nadziei

i ujęć, dotyczących nastrojów i przemian psychicznych w Kraju (a także w Rosji), podczas gdy Mieroszewski operował raczej arsenałem klasycznych i klasycznie sformułowanych argumentów antytotalistycznych. Mimo jednak tej bardziej świeżej (przynajmniej na łamach *Kultury*) postawy Bromkego, w ostatecznych konkluzjach przyznałbym rację nie jemu, lecz mniej z autopsji znającemu dzisiejszą Polskę Mieroszewskiemu. Dlaczego?

Moim zdaniem Bromke popełnia zasadniczy błąd, właściwy zresztą nie od dzisiaj myśleniu politycznemu adeptów szkoły Dmowskiego. Mianowicie w swych rozważaniach o narodzie i jego losach pomijają oni zupełnie sprawy społeczno-ustrojowe i wynikającą z nich dynamikę, czy też brak dynamiki zbiorowej. Błąd ten pojawił się zresztą niegdyś u samego Dmowskiego, kiedy polityk ten nie przewidział i nie docenił Rewolucji Rosyjskiej oraz jej politycznych konsekwencji. Dzisiaj, po sześćdziesięciu niemal latach, Adam Bromke ze zdumiewającą wiernością kopiuje ten błąd swego mistrza, traktując naród polski jako niezmienny na przestrzeni dziesięcioleci liczman w taktycznej grze sił na linii „Ost-West”. Ze sprawą ustrojową załatwia się Bromke w kilku zdaniach, pisząc nader beztrzesko: „Najmłodsze pokolenie urodzone i wychowane już w nowej rzeczywistości w dużej mierze uważa ją za naturalną. Generalnie więc socjalizm nie jest dziś w Polsce kwestionowany. Upaństwowienie przemysłu i gospodarka planowana, reformy społeczne i szerokie udostępnienie oświaty — są ogólnie akceptowane”. Nie potrzebuję chyba dodawać, że zdania te są co najmniej grubym uproszczeniem jeśli nie zgoła zafałszowaniem sprawy i dowodzą nader w istocie powierzchownej znajomości krajowych stosunków. A z tego podstawowego mankamentu w założeniach wynika cała dalsza abstrakcyjność bardzo na pozór logicznych wywodów Bromkego.

Zanim jednak przejdę do tej zasadniczej dla mnie (a przez obu zresztą partnerów niezbyt docenianej) sprawy, pozwolę sobie, skorom już przy głosie, na parę uwag, dotyczących pewnych szczegółów wspomnianej dyskusji. Niektóre z argumentów użyte są gołosłownie, „na wiarę” (czytelnika oczywiście), co niezbyt służy dojściu do prawdy, choć ułatwia słowną szermierkę. Na przykład (drobiazg ale charakterystyczny), Mieroszewski zapewnia nas, że w Polsce nikt z Bromkem nie rozmawiał szczerze. Dlaczego, na Miły Bóg?! Jakem Krajowiec przysięgam, że w Polsce dzisiejszej, inaczej niż w Rosji, uwielbia się „długie nocne rodaków rozmowy”, zwłaszcza z Polakami zza granicy. Sam przegadałem z Bromkem w Warszawie parę nocy, nader szczerze, choć się z nim nie zgadzałem, znam też sporo osób, które postąpiły podobnie. Po cóż służyć dyskusję argumentami nieistotnymi, w dodatku uderzająco niesłusznymi?

Z kolei kamyczek do ogródka Bromkego. Bromke przestrzega usilnie przed mieszaniem się w wewnętrzne antagonizmy narodów ZSSR, czyli popieraniem „odśrodkowych” aspiracji Litwinów, Białorusinów, Ukraińców. Realnie rzecz biorąc, przykazanie to tyczyć się musi Polaków na emigracji, bo w Kraju, zamkniętym przed Wschodem na cztery spusty i pozbawionym niemal zupełnie etnicznych mniejszości terytorialnych (nie liczę tu spraw Śląska, np. Opolszczyzny) nikt nie ma ani możliwości ani konkretnej okazji do zajęcia się problemami „braci Słowian”, nikt zresztą, zwłaszcza wśród ludzi nowego pokolenia, nie odczuwa potrzeby zajęcia się tą problematyką: nawet 150-tysięczna mniejszość białoruska w Białostockim zanika sama z siebie — młodzi nie chcą tam mówić po białorusku, uważając tę mowę za symbol sowietyzmu i degradacji, polskość „zwycięża” tu automatycznie, wbrew nawet tajnym chętkom Sowieckiej Ambasady. W tej sytuacji zalecenia Bromkego tyczą się zapewne Polaków emigracyjnych, a to wcale nie wydaje się słuszne. Dlaczegoż ci Polacy, zarazem obywatele „wolnego świata” mieliby w tej materii kopiować postawę polskich posłów do carskiej Dumy sprzed lat kilkudziesięciu, postawę, powiedzmy to sobie, ani nie najpiękniejszą ani, w perspektywie późniejszych wydarzeń historycznych, nie najrozumnniejszą. Im szerszy front walki na forum światowym, tym lepiej — pokazało się to zresztą na przykładzie propagandowych i konkretnych osiągnięć rosyjskich Żydów.

Inny fragment dyskusji, budzący wątpliwości, to z kolei argumentacja Mieroszewskiego, iż paktowanie z „krokodylem” czyli z dozorcami więzienia nie ma celu, „... że demokratyzacja i liberalizacja w dziedzinie ustroju społecznego — były zawsze wywalczone przez opozycjonistów — nigdy przez konserwatystów czy lojalistów”. Twierdzenie to, na pozór efektowne i trafne, niekoniecznie wytrzymuje konfrontację z tajemnymi a skomplikowanymi i nieraz paradoksalnymi stosunkami na szczytach komunistycznych monopartii. Warto przypomnieć, że pierwszą otwartą a drugoczą krytykę Stalina i jego systemu przeprowadził nie żaden opozycjonista, liberał czy „dysydent” lecz szef sowieckiej Partii Nikita Chruszczow, on również uwolnił miliony ludzi z obozów pracy przymusowej. A działało się to w okresie postalinowskiego zastraszenia, gdy bynajmniej jeszcze oznak jakiegokolwiek oporu w społeczeństwie sowieckim nie było widać. Podobnie wydarzenia polskie 1956 (które doprowadziły do takich konkratów jak wyjazd Rokossowskiego i rosyjskich doradców, uwolnienie prymasa Wyszyńskiego etc.), lub „wiosna praska” 1968 inspirowane były niewątpliwie przez część dogmatycznego przedtem kierownictwa partyjnego. A więc „bunt dozorców” okazuje się czasem skuteczniejszy od buntu więźniów. Są to sprawy ta-

jemne i mało przez historyków zbadane, tym bardziej przestrzec należy przed pochopnymi uogólnieniami, które bynajmniej „historycznymi” nie są. Zresztą historia tyczy się zawsze wydarzeń minionych, historycy nie potrafili dotąd wydedukować z tych wydarzeń bezbłędnej formuły przyszłości — gdyby było inaczej, to historycy a nie politycy kierowaliby światem.

I wreszcie ostatnia ze spraw „ubocznych”, dosyć smutna. Mieroszewski w zakończeniu swego artykułu dokonuje istnej a niespodziewanej ekskomuniki Bromkego, stwierdzając, że ani drukować go w *Kulturze* ani polemizować się z nim już nie będzie. Dlaczego?! Toż polemizować można i trzeba nawet z diabłem! Jeśli poglądy Bromkego są namacalnie szkodliwe, bo proponuje on program działania praktyczny, już w najbliższej przyszłości możliwy do prób realizacji (podczas gdy Mieroszewski ustawia swe tezy ponadczasowo nie precyzując bezpośrednio politycznych kroków realizacyjnych), to tym bardziej z poglądami takimi dyskutować można i trzeba. A poza tym, zakładając niewątpliwą dobrą wolę i czystość pobudek obu dyskutantów, trudno pogodzić się z myślą, że jednemu z nich odebrane ma zostać prawo repliki. Smutne by było przypuszczenie, że i na Emigracji stosowana ma być arbitralna cenzura merytoryczna, tak dalece wypaczająca czy raczej uniemożliwiająca wszelkie publiczne dyskusje w Kraju.

A teraz do rzeczy, czyli do owego socjalizmu, który zresztą obaj Polemiści traktują dosyć marginesowo i nieobowiązująco, podczas gdy z perspektywy krajowej chciałoby się zawołać: „dla Was to jest igraszka, nam chodzi o życie!”. Socjalizm — słowo maczuga, słowo bumerang, słowo obrotowe i wieloznaczne, słowo — argument dla wszystkich i przeciw wszystkim. Mieroszewski bardzo słusznie pisze, iż: „... naczelnym obowiązkiem intelektualistów emigracyjnych jest walka o przywrócenie sensu słowom”, podczas gdy „komuniści realizują orwellowską ideę *newspeak*’u — nadając słowom odwrotne znaczenie od ich pierwotnej treści”. Bardzo pięknie, ale sam Mieroszewski niezbyt dba o to, aby precyzyjnie odkłamać i na swój użytek zdefiniować słowo „socjalizm”, koło którego panuje niebываły zamęt pojęciowy a jednocześnie pobożna i przesadna a nieraz snobistyczna trwoga. Mieroszewski, owszem, wielokrotnie wspominał, że jest zwolennikiem „socjalizmu”, nigdy jednak w sposób zadawalający nie wyjaśnił, co przez to słowo rozumie. Pamiętam, że kiedy zarzuciła mu to w liście pewna Czytelniczka, autor „Ewolucjonizmu” ogromnie się rozgniewał, stwierdzając, że wielokrotnie już swoje pojmowanie socjalizmu wykladał. Otóż, jako wieloletni i przysięgły czytelnik prac znakomitego publicysty, stwierdzam, że w tej

dziejnie istnieje dla mnie w jego poglądach niewątpliwa luka, której w sposób wyczerpujący i zadawalający nigdy nie wypełnił. Mógłbym mu zadać szereg pytań, na pewno by go mocno zaambarasowały. Na przykład: czy w socjalizmie ma być wolny rynek podaży i popytu czy też gospodarka czysto interwencyjna; czy swobodne, konkurujące ze sobą przedsiębiorstwa, czy też planowanie centralne; czy system płac żywiłowy i oddolny czy też podporządkowany ogólnopaństwowemu budżetowi; czy waluta wymienna na złoto i dewizy czy też traktowana jedynie jako instrument wewnętrznej regulacji rynkowej; czy państwowy monopol handlu zagranicznego, czy też usamodzielnienie w tej dziedzinie przedsiębiorstw? Pytania takie można by mnożyć w nieskończoność, nie licząc politycznych. Oczywiście Mieroszewski odpowie z gniewem, że nie jego rzeczą jest wchodzić w detale, lecz że idzie mu o socjalizm *demokratyczny*. Tymczasem owe „detale” decydują właśnie o obliczu i stopniu wolności naszego życia, a „socjalizm demokratyczny” to również pojęcie wieloznaczne, niesłychanie rozciągliwe i pod każdą szerokością geograficzną inaczej rozumiane. O „socjalizmie demokratycznym” mówią i Szwedzi i Jugosłowianie i Anglicy i Niemcy, a rzecz w każdym wypadku wygląda zgoła inaczej. Poza tym nasuwa się pytanie, czy sama decyzja wprowadzenia socjalizmu też ma być powzięta w sposób demokratyczny, np. przez głosowanie? Jak wiadomo Lenin uważał, iż socjalizm jest ideą słuszną, logiczną i historycznie nieuniknioną, przewidywał jednak, że niedobici a wyposażeni w swobody polityczne „wrogowie klasowi” mogą, osiągając np. większość w parlamencie, udaremnić wprowadzenie tej idei w życie. Stąd właśnie zapobiegawcza leninowska idea „dyktatury proletariatu”, czyli koncepcja terroru partyjnego, likwidującego wszelką opozycję. Co by np. Mieroszewski powiedział, gdyby w Polsce, cudownie nagle wyswobodzonej politycznie, urządzono plebiscyt w sprawie przyszłego ustroju i gdyby w tym plebiscycie Polacy zdecydowali, że socjalizm to jednak pomysł niedobry i że trzeba wymyślić coś innego. Czy Mieroszewski-socjalista podporządkowałby się w tym wypadku Mieroszewskiemu-demokracie?

Oczywiście, powie ktoś, że snując takie oderwane supozycje, można dojść do absurdu. Aby właśnie uniknąć takich absurdów, spróbujemy dopowiedzieć sobie pewne sprawy w konfrontacji z naszym realnym polskim życiem. Jądro nieporozumienia i źródło pomyłek widzę w następujących słowach Mieroszewskiego: „Zwalczamy komunizm tylko dlatego, że jest totalizmem. Gdyby komunizm przestał być ustrojem totalnym, autor tych słów przestałby być antykomunistą”.

To już jest kompletne nieporozumienie i *contradictio in*

adiecto. Kto kiedy widział nietotalistyczny komunizm przy władzy i w jaki sposób mógłby on powstać, jeśli gospodarka komunistyczna warunkuje sobą totalizm polityczno-ideowy i przeciwnie, dzięki niemu tylko może istnieć: dwa te elementy stanowią całość nierozłączną i organicznie spójną. Co jest u nas istotą komunizmu? Widzę tu dwa najważniejsze elementy. Pierwszy to bezklasowość czyli równość wszystkich w wyłączeniu, tak, aby żadna grupa ludności nie mogła się wyodrębnić, nie mogła uzyskać własnego oblicza i wpływu na strukturę Kraju. Drugi element to zupełnie nie znana nie doceniona i nie rozumiana na Zachodzie organiczna kumulacja władzy politycznej z gospodarczą. Bezklasowość wynika ze specyficznej interpretacji tezy Marksa, iż „wolny jest ten, kto posiada środki produkcji”. Skoro środki produkcji posiada tylko państwo, a wszyscy są jedynie urzędnikami państwowej produkcji w takim razie nikt nie jest wolny, ergo nikt nie może zagrozić władzy państwowej (w Polsce wyjątkiem od tej reguły są niektóre grupy nieskolektywizowanych chłopów, ciekawie też prezentowała się wobec rzekomo dotąd niezłomnej zasady rewolta robotników portowych 1970 — o czym dalej). Zaś władza państwowa, władza polityczna, jest zarazem władzą zarządzającą gospodarką i produkcją: jedno przenika się i utożsamia z drugim. W krajach „burżuazyjnych” władza polityczna dysponuje pewnym zespołem środków wpływania na gospodarkę i produkcję, samą jednak produkcją i ekonomią zajmują się nie politycy lecz fachowcy: dyrektorzy, menagerowie, bankierzy, technokraci, właściciele, udziałowcy etc. Tymczasem w komunizmie jedni i ci sami ludzie kierują wszystkim, produkcja utożsamia się z polityką i odwrotnie, a że pracodawca jest jeden, więc cały zatrudniony w produkcji ogół wypełnia zarazem jego politykę, świadomie czy nie. Ta ogólna współzależność stanowi podstawę bezklasowej i, w intencjach, bezgrupowej strukturalnej jedności społeczeństwa. W zasadzie bowiem wszyscy są u nas w tej samej sytuacji, 34 miliony Polaków żyje z państwowej akumulacji, z państwowych dostaw, a że obieg pieniądza jest zamknięty zaś gospodarka pozbawiona rezerw, więc na przykład po trzech dniach wojny (zakładając, że nie będzie ona atomową...) wszyscy po społu stajemy się bezradnymi nędzarami, może najwyższej jakiś zapobiegliwy chłopina dawnego typu ocali coś, zakopawszy przezornie do ziemi...

Czy więc można będzie oddzielić kiedykolwiek komunizm od totalizmu i *vive-versa*? Nie będę się wypowiadał w tej abstrakcyjnej materii; na zasadzie natomiast doświadczeń historycznych stwierdzić można na pewno, że tak pojęty „socjalizm” ogromnie się przysłużył i walenie dopomógł rosyjskiej skłonności do totalizmu, stając się skutecznym instrumentem zarówno umacniania

jedności wewnątrz państwowej jak i paraliżowania a następnie ujednolicania i uzależniania krajów całej „strefy”. W Rosji carskiej, choć zacofanej i dalekiej od stopnia rozwoju mieszczańskiego Zachodu, istniały jeszcze jakieś materialnie niezależne grupy społeczne: obok arystokratów i ziemian pojawiali się z czasem zamożni kupcy, inteligencja techniczna (rola polskich inżynierów w Rosji — ciekawy temat), jakieś w końcu mieszczaństwo. Po czym straszliwa machina niszczycielska Rewolucji zniwelowała wszystko, pozostawiając jedynie aparat władzy a na przeciw olbrzymie, jednolite społeczeństwo funkcjonariuszy produkcji. (I w ten to gigantyczny a na nowej zasadzie spójny aparat interweniować chce Adam Bromke, mając do owego celu polityczno-taktyczny kijaszek zmaistrowany w dawnej idyllicznej epoce pana Dmowskiego. Nadmiar optymizmu, zaiste...).

Juliusz Mieroszewski lubi mawiać, że „ani w Rosji ani w Polsce nie należy przywracać tego co było”. Księżycowe to wręcz zmartwienie, jakby ktoś darowywać nam chciał lub odbierać przyszłowiowe, w dodatku nie istniejące, Niderlandy. Jeśli chodzi o nasz Kraj, to najwięksi mocarze i czarodzieje kuli ziemskiej nie potrafiliby sprawić, abyśmy powrócili do Polski sprzed 39 roku, Polski na innym terytorium, z kompletnie różną od dzisiejszej ludnością, nie mówiąc już o absolutnych przemianach stosunków politycznych, własnościowych, strukturalnych, psychologicznych. Zasadniczego dzieła dokonali Niemcy, likwidując polską gospodarkę i własność ziemską na ziemiach przyłączonych do Reichu (Wielkopolska, Śląsk, Pomorze) i gdzie indziej, mordując Żydów, niszcząc inteligencję, burząc miasta. Reszty przemian dokonali Rosjanie, przesiedlając ludność na nowe ziemie i komuniści polscy, dokonując rewolucyjnej przebudowy techniczno-produkcyjnej, tworząc nowe przemysły na nowych ziemiach i nowe zawody: funkcjonariuszy produkcji. Nie ma już dawnych właścicieli ziemskich, przemysłowców czy mieszczan, którzy mogliby tu rościć sobie pretensje do władania czymkolwiek. Wszystko jest inaczej, na nowo, rozbudowane czy przebudowane, nie zgłosi się kandydat na posiadanie czy zarządzanie nie tylko Nowej Huty, huty „Warszawa” lub Stoczni imienia Warszawskiego, ale w ogóle żaden: żaden, bo nie ma już tych ludzi, tego świata, takich fachowców, takich stosunków. Dlatego też zmartwienie, aby nie wróciło „to co było” nie jest żadnym polskim zmartwieniem, jest abstrakcyjną fikcją. My w Kraju mamy inne zmartwienia: jak UWŁASZCZYĆ z powrotem społeczeństwo, jak przywrócić Polsce grupy społeczne niezależne, dynamiczne i wpływowe, jak tchnąć nowe, indywidualistyczne ambicje w wykorzenione i wyrównane społeczeństwo ślepych funkcjonariuszy produkcji? Oto jest prawdziwe „zmartwienie” wszystkich, znających stan obecny i snujących marzenia,

jak by tu, wychodząc z dzisiejszego konkretnego (boć innego nie ma), dojść kiedykolwiek do Polski sensownie odrodzonej. W swoim czasie młody Gombrowicz, będąc po raz pierwszy w Paryżu martwił się, że we Francji Polak nie ma najmniejszego znaczenia, nikt o nim nie wie i wiedzieć nie chce. „Musiałby być bardzo bogaty, ale skala bogactwa pozwoliłaby zabłysnąć zaledwie kilku ludziom z Polski”. Jak zaś zrobić z dzisiejszych krajowców ludzi którzy by mogli w świecie „zabłysnąć”? Oto kwadratura koła, którą rządzący chętnie prezentują u nas rządzonej, wskazując, iż jedyne wyjście z sytuacji to trwać w tym co jest, czyli w bezklasowym „socjalizmie”.

I rzeczywiście, obawa przed zmianą na jeszcze gorsze, na coś nieodwołalnie gorszego paraliżuje niejednych, częstokroć wyraża się ona właśnie w kurczowym trzymaniu się słowa „socjalizm” i lęku przed utratą tego magicznego zaklęcia. Trwoga ta udaremnia niejednokrotnie próby sprecyzowania jakiegoś nowego programu społeczno-ekonomicznego, bowiem zarzut „zdradzania socjalizmu”, choć nie wiadomo, co znaczy (bo ani słowo „socjalizm” ani słowo „zdrada” nie mają tu jednoznacznego sensu) okazuje się skuteczny uczuciowo. Jednocześnie, mimo wszelkich oficjalnych zachwyty nad rozwojem gospodarczym dzisiejszej Polski, trwa w społeczeństwie głęboko zakorzeniona świadomość wątpliwości życia materialnego owego zbiorowiska „akumulacyjnych dziedzin” (z gwarancją do trzech dni), która to wątpliwość w razie jakiegokolwiek kataklizmu uczynić by mogła z Polaków między Bugiem a Odram grupę ludzką niezdatną do życia i absolutnie już nikomu nie potrzebną. Kataklizmem zaś takim, w pojęciu wielu ludzi, okazać się może również zniszczenie dzisiejszego aparatu i porządku politycznego, będącego zarazem aparatem i porządkiem produkcyjnym. Ta obawa, plus dodatkowa świadomość, że kapitalizm czy neokapitalizm nie da się żadną miarą zbudować bez... kapitału, sprawiają, iż społeczeństwo produkcyjnych urzędników czuje się bezsilne wobec paraliżująco-destrukcyjnej funkcji słowa „socjalizm”, którym rządzący potrafią manewrować w sposób zręczny, wyzyskując jego przyrodzoną obrotowość i wieloznaczność. (Mało natomiast używa się w Polsce słowa „komunizm”, nie ma też oficjalnie Partii Komunistycznej). W rezultacie niejednokrotnie krajowe bunty i ruchy reformistyczne znajdowały się w impasie, pozbawione konkretnych haseł i propozycji (1968, 1970). W religijnej wręcz trwodze, aby nie znaleźć się w obozie „wrogów socjalizmu” nawet tak konkretne pretensje mający ludzie jak robotnicy portowi z grudnia 1970 dali się w rezultacie zbyć pół środkami i nie wykroczyli poza kręgi systemu, w dowolny sposób określane i firmowane słowem „socjalizm”.

Sądzę, że sprawa odczarowania tego szantażowego słowa jest jedną ze spraw najważniejszych — bez tego odczarowania orwellowska dialektyka owego hasła storpedować może wszelkie krajowe próby zmian i reform, nawet jeśli byłyby one możliwe. Rozumiem zresztą, że orwellizm semantyczny czyli dowolne żonglowanie nazwami o zmiennej treści panować może w Kraju, ale dlaczego miałby on sprawować swe niekontrolowane rządy i w swobodnym piśmiennictwie emigracyjnym? W ciekawym choć nazbyt buńczucznym, nadesłanym z Kraju artykule „Polityczna opozycja w Polsce” (*Kultura*, listopad 1974) czytam zdanie: „Jakiej to mianowicie koncepcji ustrojowej przeciwstawia się opozycja? Socjalizmowi? Nie, bo wielu z przeciwstawiających się bardzo to słowo szanuje”. Zdanie to jest klasycznym wzorem uniku myślowego, przykładem panującego wśród „intelektualistów” w Kraju mętniactwa i pomieszania pojęć w tej dziedzinie. Szanuje się więc słowo, czy jego treść, a jeśli treść, to jaką, boć możliwe są różnice? Po prostu chodzi tu o wyminięcie problemu i o magię samego słowa, idealistyczną magię, paraliżującą w rezultacie wszelkie konkretne próby zmian czy reform. A znowu w piśmie emigracyjnej młodzieży *Aneks* przeczytałem opinię, że Rewolucja dlatego zawiodła, ponieważ wybierano wodzów-inteligentów a nie Rady Robotnicze, gdyby rządziły Rady, wszystko byłoby całkiem inaczej. Strach pomyśleć, co by się mogło stać, gdyby Autor tych słów zaczął z kolei rządzić Polskę. Może 50 lat musielibyśmy znowu czekać, na odkrycie, że rządy Rad też przyniosły skutki „przeciwnie do zamierzonych” i że lekarstwo gorsze się okazało od samej choroby? Groza!

Zgadzam się z Mieroszewskim, że rola emigracji politycznej będzie w świecie wzrastać — widać to choćby po sprawie Sołżenicyna i najnowszej emigracji rosyjskiej. Warto by więc sprecyzować pewne zadania umysłowo-programowe, jakie przed tą emigracją stają. Za jedno z najważniejszych uważam właśnie „odorwellizowanie” słowa socjalizm i odebranie mu jego paraliżującej reformatorskie działania wszechsugestywności. Jeśli już konieczne posługiwać się mamy tym słowem fasadowym a obciążonym sprzecznymi tradycjami i interpretacjami, to uzgodnijmy wreszcie w jakim dokładnie znaczeniu będziemy go używać i jak się ono ma do krajowego konkretnego. Sądzę, że dosyć już dużo gruntownie znających Kraj ludzi wyjechało ostatnio na Zachód, aby praca taka mogła być dostatecznie udokumentowana i osadzona w rzeczywistości. Protektorat nad tą bezcenną wyjaśniająco-oczyszczającą pracą mogłyby objąć właśnie Juliusz Mieroszewski, dysponujący zarówno szerokimi horyzontami politycznymi jak i społeczno-ekonomicznymi, a od lat wykazujący słabość do posługiwania się rozmaicie przez rozmaitych ludzi rozumianym słowem socjalizm.

Zdaję sobie sprawę, że uwagi powyższe luźno jedynie związane są z dyskusją Bromke-Mieroszewski, z której wybrałem tylko niektóre elementy. O samym meritem politycznego sporu między „ugodowcami” i „wolnościowcami” (sporu, w którym mimo wszystko stoję po stronie autora „Ewolucjonizmu”) napisałbym chętnie kiedy indziej, jeśli oczywiście zapowiadane przez Mieroszewskiego dyskusyjne „embargo” zostanie zdjęte.

KRAJOWIEC

7 stycznia 1975

Czy «polityczna opozycja»?

Z sześciotygodniowym opóźnieniem (wskutek strajku poczty francuskiej) otrzymałem listopadowy numer *Kultury*. Stąd opóźnienie mej reakcji na artykuł „Polityczna opozycja w Polsce”.

Autor artykułu pochodzi „z kraju”. Redakcja zamieściła ten artykuł na naczelnym miejscu, przywiązuje więc do niego szczególną wagę. Ma on być, jak sądzić należy, swego rodzaju drogowskazem organizowania się i działania „opozycji politycznej” w kraju. Według istniejącego zwyczaju artykuły takie nie podlegają krytyce i publicznemu omówieniu. Czy także ten artykuł?

Wypowiedź Bromkego spotkała się w tymże numerze *Kultury* z gwałtowną reakcją redakcji w osobie red. Mieroszewskiego, który nazwał „program” Bromkego „ugodą”, wyłączył Bromkego „z wolnościowego i niepodległościowego nurtu emigracji” i odmówił mu gościny na łamach *Kultury*. Dlaczego artykuł „z kraju” nie spotkał się z reakcją redakcji, lecz, jak śmiem sądzić, raczej z aprobatą?

Szczegółowa analiza, na ile rozmiary artykułu pozwalają, wydaje mi się niezbędną z wielu względów.



Czy „opozycja polityczna” w Polsce ma się przeciwstawiać „socjalizmowi”?

— „Nie, — sądzi Autor — bo wielu z przeciwstawiających się bardzo to słowo szanuje”.

Charakter ideowy polskiej opozycji politycznej wyznacza nakaz:

— „Musi być ona antytotitarna i niepodległościowa”.

A więc opozycja może stać na stanowisku „socjalizmu” i współpracować ideowo i politycznie z systemem. Sprawa na pewno nie jest prosta i wymaga ustosunkowania się do tego postulatu.

Totalitaryzm ustroju sowieckiego nie jest tylko owocem i sprawą woli Lenina i Stalina. Socjalizmu nie można wyzwolić z totalitaryzmu jest mu bowiem „immanentny”. Totalitaryzm jest skutkiem monopolu własności środków produkcji i wymiany, jest prostym wnioskiem z faktu istnienia jedyne centralnego ośrodka dyspozycyjnego. Ten zaś zakłada istnienie tendencji do monopolu dyspozycji, monopolu władzy, monopolu ideologii itd. Nie może być socjalizmu bez tych dominujących tendencji; bowiem współczesny socjalizm zakłada państwowy monopol środków produkcji i wymiany i wynikające z tego wnioski.

Jeśli zechcemy spojrzeć na to zagadnienie z pewną perspektywą, można z góry dojrzeć zarysy przyszłości. Socjalizm to w przyszłości (a także w teraźniejszości) jakaś odmiana stosunków neo-feudalnych, w których państwo odgrywać będzie rolę jedyne suzerena i dążyć będzie do powszechnego poddaństwa ludu.

Takie są tendencje dominujące. Nie znaczy to, że władza w poszczególnych państwach nie może z różnych powodów ujawniać tendencji po części „demokratycznych”. Nie może to być jednakże tendencja dominująca i charakterystyczna dla „socjalizmu”. Bowiem demokracja zakłada istnienie wielu ośrodków dyspozycyjnych. Historyczne doświadczenie wskazuje, że kapitalizm, wskutek decentralizacji dyspozycji, przyniósł wolność największą jaką znała ludzkość, socjalizm zaś, wskutek centralizacji dyspozycji, doprowadził do najcięższej dyktatury totalitarnej w dziejach. Taką jest „prawidłowość dziejów”, o jakiej mówi marksizm.

Jest jeszcze jedna rzecz istotna, o której należałoby choć krótko wspomnieć. Proletariat, „przodująca” klasa socjalizmu, nie jest klasą wolności i tolerancji, lecz klasą przemocy i nietolerancji. Strajk, podstawowe narzędzie przemocy, jest główną bronią walki o cele grupowo-egoistyczne, a nie społeczne. Dlatego proletariat staje się pierwszą ofiarą systemu monopolizmu i centralnej dyspozycji, bowiem centralny ośrodek dyspozycji nie może tolerować ani „walki klasowej”, ani strajku jako narzędzia walki o zmianę w podziale dochodu społecznego.

Popieranie socjalizmu w jakiegokolwiek postaci jest nie tylko popieraniem wstecznictwa i reakcji intelektualnej i socjalnej, nie mówiąc o politycznej, lecz jest w perspektywie popieraniem

neo-feudalizacji świata. Tak więc „antysocjalizm”, jeśli tak można się wyrazić, leży u podstaw postępu i wolności świata i winien być podstawą wszelkich ruchów wolnościowych.



— „Inteligencja twórcza — zdaniem Autora — musi być z natury antytotitarna”.

Warstw społecznych w Polsce jest wiele. Główne z nich to robotnicy fabryczni i inni, chłopci, inteligencja „twórcza”, pracownicy umysłowi. Chłopów i pracowników umysłowych, a właściwie także robotników Autor wyłącza z szeregów „opozycji politycznej” w Polsce. Zalicza do niej tylko inteligencję twórczą i studentów.

Historia nasuwa jednak pewne zastrzeżenia do tej koncepcji.

Inteligencja twórcza może być w swej postawie anty-totalitarna, ale może też być ugodowa, nastrojona „pozytywistycznie” — nawet w dłuższych okresach czasu. Nadto nie inteligencja twórcza dokona przewrotu, chyba że bardzo ograniczonymi jej cele i zadania do spraw czysto „duchowych” — do „działania wychowawczego”, do „obrony duszy narodu”, obrony „najpełniejszej suwerenności osoby ludzkiej” itd., i negatywnie — do nieuczestniczenia w „destruktywnej działalności” systemu, „przeciwstawienia się destrukcji moralnej i kulturowej, niesionej przez totalitaryzm”, „nie uczestniczenia w kłamstwie” itd.

To jest pewien program, ale inteligencja twórcza, wespół z polityczną emigracją może stworzyć co najwyżej pewne przesłanki duchowe dla „wielkiej przemiany”. To wiele, ale nie inteligencja twórcza dokona tej wielkiej przemiany. Z tego trzeba sobie zdać sprawę i wziąć w rachubę doświadczenia historii Polski i innych krajów. A one dają dość różne dowody — bynajmniej nie jednoznaczne, jak sądzi Autor.

Kogo zalicza Autor do inteligencji twórczej? Wylicza ich dość szczegółowo: „Pisarz, poeta, humanista, historyk, reżyser”, a nadto „ekonomista, inżynier, socjolog, psycholog”. Mam co do tego istotne zastrzeżenia.

Inżynierowie i ekonomiści, choć należą do inteligencji twórczej, mają inny statut społeczny. Jeśli pisarz, poeta, humanista, historyk reżyser nie mają nad nikim bezpośredniej władzy, nie mają prawie żadnych kompetencji i socjalnych uprawnień, to inżynier i prawie cała inteligencja techniczna ma bezpośrednią „władzę” nad robotnikiem (jako organizator produkcji), ma też wiele uprawnień. Praca inżynierów jest zhierarchizowana, wielu pełni funkcje kierownicze w aparacie gospodarczym, wielu zaś ma możliwości awansu. Dotąd znamy tylko jeden wypadek w historii

„socjalizmu”, gdy część technokratów poparła w Czechosłowacji polityczne reformy Dubczeka. Inżynierowie i ekonomiści uzyskali w „socjalizmie” dość obszerny margines decyzji i władzy, jakiej dawniej w zacofanej gospodarczo Polsce nie posiadali. Są oni wskutek tego częścią systemu. Chcą oni „rozwoju”, co jest też prawie „ideologią” socjalizmu. Trzeba więc z wielkim zastrzeżeniem odnieść się do dość dowolnego wrzucenia przez Autora do jednego worka różnych oddziałów inteligencji twórczej. I dodajmy, inżynierów jest w Polsce wielokrotnie więcej niż pisarzy i reżyserów.

A studenci? To jest zjawisko całkiem nowe historycznie i społecznie. Nie wiadomo jeszcze, jaką rolę odegrają studenci w przyszłości. Syjam i Birma nie mogą dla nas być przykładem i dowodem, ani nawet maj 1968 we Francji. Jest to po części grupa społeczna zmienna, niestabilna, przejściowa, powodująca się w działaniu nie „interese klasowym” czy „grupowym”, lecz chwilowymi nastrojami. „Polityczna opozycja” w Polsce może i powinna na tę grupę liczyć i na niej się oprzeć w pewnym stopniu — zwłaszcza w jakimś momencie przełomowym, gdy będzie ona mogła odegrać istotną rolę społeczną. Choć muszę zastrzec się — grupa ta, jak pokazuje historia nie tylko Polski, w swym dążeniu do oporu, stara się w zasadzie „naprawić” zło, naprawić socjalizm, uważając go za coś pozytywnego, a nie za zło. Tak było w październiku i w marcu, tak było na Węgrzech czy w Czechosłowacji. W grudniu studenci Gdańska odmówili pomocy stoczniovcem.

I jeszcze jedno — grupa ta, jak pokazuje doświadczenie, ujawnia w pewnym stopniu tendencje anarchistyczne, a więc w proponowanym działaniu nie może być siłą samodzielną i kierowniczą.



Robotników fabrycznych Autor wyłączył z bliżej nie wiadomych przyczyn z „politycznej opozycji” w Polsce. A przecież jest to rzekomo „przodująca” i „rewolucyjna” klasa. Jest to może uzasadnione wobec programu akcji, który wysuwa Autor. Ale historia wskazuje, że bez robotników żadna akcja „inteligencji twórczej” nie ma szans politycznego powodzenia — z wyjątkiem „obrony duszy narodu” czy „działania wychowawczego”.

Jeszcze w 1901-1902 r. napisał Lenin:

„Świadomość klasy robotniczej nie może być świadomością prawdziwie polityczną, jeżeli robotnicy nie są wdrożeni do reagowania na wszystkie i wszelakie wypadki samowoli i ucisku, gwałtu i nadużyć, bez względu na to, jakich klas dotyczą te wypadki” (*Pisma wybrane*, t. I, str. 203).

W innym miejscu powiada Lenin:

„Klasowa świadomość polityczna może być przyniesiona robotnikowi tylko z zewnątrz, tj. z zewnątrz walki ekonomicznej”.

O własnych siłach robotnicy nie są w stanie wykroczyć poza świadomość trade-unionistyczną, zawodową. Świadomość polityczną może wnieść tylko, zdaniem Lenina, inteligencja, awangarda. Łudził się jednak, zgodnie ze swoją ideologią, że można wnieść w szeregi robotnicze świadomość polityczną z zewnątrz, propagandą.

Robotnicy są klasą społecznie degradowaną, wypieraną z produkcji przez postęp techniczno-organizacyjny. Ale tenże postęp zwiększa siłę uderzenia strajku robotniczego — coraz mniejsze liczby robotników może nanieść przemysłowi i w ogóle gospodarce narodowej coraz większe straty zarówno w wielkim przemyśle, jak zwłaszcza przez powstrzymanie się od pracy w węzłowych dziedzinach produkcji, jak elektrownie, środki komunikacji i in.

W PRL dwukrotne wystąpienia robotnicze — w czerwcu 1956 i w grudniu 1970 roku wstrząsnęły systemem dyktatury „proletariatu”, zapoczątkowały październikowe i grudniowe przemiany. Walki w obu wypadkach wybuchły na tle trade-unionistycznym — o płace realne i o ceny. Nie były to wystąpienia o zmiany polityczne; robotnicy nie mieli założonych z góry celów politycznych, tym bardziej ideologicznych; w grudniu nie uzyskali nawet poparcia inteligencji (zwłaszcza studentów gdańskich), nie zamierzali, zwłaszcza w grudniu, atakować ośrodków władzy — to raczej ich atakowano i ich prowokowano.

Ale dlaczego Autor rezygnuje z góry z udziału robotników w „opozycji politycznej” w Polsce trudno pojąć. Przecież zwykła przezorność i chęć skupienia sił powinny raczej narzucić ten cel jako nakaz. Chyba że nie ma się takiego zamiaru i żadnego dotarcia do tej warstwy społecznej.

Rozwój gospodarczy Polski w ciągu ostatnich lat i podniesienie płac, przy celowej polityce władz, na pewno nie sprzyja, nie stwarza warunków dla wystąpień robotniczych i aktualności trade-unionistycznych postulatów. Nie można jednak wyobrazić sobie bezkonfliktowego rozwoju Polski w ciągu bliższych lub dalszych lat. Odpływu fali niezadowolonia nie należy uważać za zjawisko stałe. Polityka władz stała się zrecniejsza, bardziej elastyczna, zróżnicowana wobec różnych warstw społecznych. Jak wynika z oficjalnych danych, najwięcej korzystają z rozwoju ekonomicznego robotnicy, m.in. kosztem pracowników umysłowych, których zarobki nie wzrastają w równym stopniu.

Czy „opozycja polityczna” ma jakiś program robotniczy lub wobec robotników? Ze słów Autora wynika, że żadnego i — na ile się orientuję — nie posiada takiego programu także polityczna emigracja — poza doraźnymi uwagami.



Zdawałoby się, że pracownicy umysłowi mogą i powinni być bazą rekrutacyjną dla „opozycji politycznej”. Ale Autor wyłączył ich ze swych rozważań. Nawet ich nie wspomina. A jest to warstwa społeczna rosnąca wręcz dynamicznie, jej praca jest coraz bardziej doniosła dla rozwoju kraju.

Fizyczna praca wykonawcza jest przez postęp techniczno-organizacyjny wypierana i przeważnie degradowana. W PRL ilość robotników wprawdzie absolutnie rośnie, ale względnie — w stosunku do innych grup społecznych — maleje. Tak np. ilość inżynierów w polskiej gospodarce rośnie pięciokrotnie szybciej niż ilość zatrudnionych robotników, ilość zaś zatrudnionych pracowników umysłowych rośnie czterokrotnie szybciej. Tak więc pracownicy umysłowi stanowią wielką i ważną warstwę społeczną — także ze względu na wykonywaną pracę. Jeśli praca robotnicza jest w zasadzie egalitarna i wykonawcza, to praca umysłowa jest różnorodna i zhierarchizowana, zakłada u podstaw możliwość awansu. Kierownicza kadra przy monopolistycznej gospodarce państwowej jest w zasadzie lojalna wobec władzy, przecież wykonuje funkcje swe z ramienia tej władzy. Możliwość awansu nakazuje lojalność dość powszechnie. Istnieją jednakże grupy jawnie krzywdzone na rzecz centralnego monopolu i na rzecz pracy fizycznej, ale są to niższe w hierarchii grupy, zatrudniane przeważnie przy pracy wykonawczej, a więc nie-twórczej. Należy wziąć nadto pod uwagę, że praca umysłowa jest przeważnie związana z poczuciem społecznej służebności, która nakazuje lojalność wobec „społeczeństwa”, nawet jeśli reprezentuje je centralny monopolista. Jest to jedna ze źródeł socjalizmu.



Czy chłopci są nadal „workiem kartofli” — jak powiedział w swoim czasie Marks? Chłopi krajów rozwiniętych na pewno nie są już dawno bezwładną masą. Tego wymaga nowoczesna produkcja rolna, zwłaszcza farmerska. Potrafią się oni organizować i wysuwać wiele żywotnych dla siebie żądań. Chłopi rosyjscy w obronie swych interesów umieli nawet występować zbrojnie, choć nie umieli dostatecznie ruchu organizować i centralizować.

Polscy chłopci nie mają dostatecznych tradycji buntu. Wprost

przeciwnie — „stronnictwo ludowe” narzucało tradycje lojalizmu. Jedynie w latach trzydziestych chłopci organizowali w niektórych okolicach bunt przeciw warunkom życia i pracy, zwłaszcza grupom zarządzaniom władz — np. lokalne strajki chłopskie w 1932 roku, tzw. „powstanie ropczyckie” w zachodniej i środkowej Małopolsce w 1933 roku, strajk chłopski w 1937 roku. Ale nie były to rzeczywiste rewolty, utrzymane raczej były w majestacie prawa. W PRL bez większego oporu dali się chłopci zagonić do spółdzielni produkcyjnych, co było aktem wywłaszczenia bez odszkodowania. Na nierozsądną politykę uprzemysłowienia kosztem wsi i na gomułkowską politykę cen artykułów wsi odpowiadali raczej obniżeniem produkcji — nigdy buntem. Rozproszenie produkcji rolnej, brak kierownictwa politycznego i brak tradycji walki odegrały tu na pewno istotną rolę. Nowa polityka cen i zatrudnienia w mieście „nadwyżki” sił roboczych wsi przyczyniły się do rozpowszechnienia wielu złudzeń. Młodzi chłopcy-robotnicy nabywają jednak doświadczenia robotników fabrycznych, zwłaszcza strajku. Ale władze stały się także zrezygnierzone i bardziej ostrożne w postępowaniu.

Na wsi pozostaje wiele materiału zapalnego. Światowy ruch cen żywności, surowców i maszyn znajdzie w bliskiej przyszłości odbicie także w Polsce i naruszy dotychczasowy stan względnej równowagi. Chłopom grozi wciąż przymusowa kolektywizacja i jej skutki. Czy chłopci polscy ograniczą się tylko do „alienacji z pracy” czy też odpowiedzą oporem — to zależy nie tylko od woli chłopów, ale od elementów oporu, które wniesione zostaną na wieś z zewnątrz. O tym nie można zapomnieć. Zwłaszcza że władze na pewno zastosują bardziej elastyczną taktykę, a nie tylko metody stalinowsko-bierutowe. Obrona chłopów przed poddańczym losem chłopów rosyjskich jest nie tylko sprawą wsi. Ujarzmienie chłopów jest krokiem do ujarzmienia miasta, narzucenia dalszych stosunków poddańczych.

Czy chłopci sami porwą się do obrony swych pozycji? Jest to mało prawdopodobne, biorąc zwłaszcza pod uwagę sytuację międzynarodową Polski, tradycje kompromisowe ruchu ludowego, politykę władz, obecne nastroje kompromisowe wsi, złudzenia, które nie trudno w tym środowisku szerzyć oraz rozbitcie, które ma swoje regionalne tradycje — zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich, w Wielkopolsce i na średniackim Mazowszu.

Tych zjawisk Autor nie analizuje i nie wyciąga żadnych wniosków. Cóż pozostaje?



W rozdziale „Program działania” Autor stwierdza wprost: „Ponieważ formalna konspiracja wydaje się w kraju niemożli-

wa, a walka zbrojna niedopuszczalna z oczywistych względów, widzi się często bierność jako przeciwieństwo pewnej, choć ograniczonej akceptacji systemu”.

Wszyscy „jakoś system akceptują” przez sam fakt „obowiązków zawodowych” i wszyscy „jakoś go tam zwalczają, a tym samym negują”. Ta sprzeczność „odbiera wiarygodność głosów-nym od czasu wezwaniom do 'pracy organicznej' — co jest wygodnym uzasadnieniem bierności politycznej”.

Autor przypisuje innym własne nastroje bierności. Jego zdaniem „nie ulega wątpliwości, że nie możemy w tej chwili zmienić systemu panującego w Polsce”. A w przyszłości bliższej lub dalszej?

„Zagrożony jest — zdaniem Autora — byt narodu jako wspólnoty kulturowej”. Opozycja polityczna winna „przeciwstawić się destrukcji moralnej i kulturowej, niesionej przez totalitaryzm”. Dlatego na czoło wysuwa się „działanie wychowawcze”. Wychowanie czyni się „programem niepodległościowym”.

PRL nie jest zagrożona powszechną rusefikacją, jak Ukraina czy Litwa i inne republiki sowieckie. Chodzi więc Autorowi o przeciwstawienie się marksizmowi w najszerszym tego słowa znaczeniu. Co może temu przeciwstawić oprócz ogólników i frazesów o „etyce społecznej” i „świadomości narodowej”? Zresztą nic innego nie mówią marksiści w swej propagandzie. W „świadomość narodową” wkładają nacjonalizm — czasem w jego najobrzydliwszej postaci, jak np. stworzenia „Polski jednonarodowej” przez wyrzucenie z Polski Ukraińców i Żydów. A „opozycja polityczna” to akceptuje. O etyce społecznej ma marksizm więcej do powiedzenia od Autora i — powiedzmy otwarcie — niż emigracja powrześniowa, którą Mieroszewski nazywa „emigracją wojskową”. Czy ma ona jakiś sformułowany program, który mogłaby przeciwstawić marksizmowi i temu książkowemu i temu politycznemu?

Autor nie zaleca opozycji konspirowania, bo... „niewiele mogą działać, a muszą w końcu trafić w błoto śledztwa i do więzienia na wiele lat”. Strach pomyśleć — opozycja polityczna, która odrzuca myśl o konspirowaniu, o śledztwie i więzieniu. Aby dodać strachu ewentualnemu konspirowaniu Autor dodaje: „Konspiratorzy do więzienia idą wszyscy”. Sala sądowa jest — jego zdaniem — „miejszem hańby” a nigdy sławy.

Jak więc ma opozycja działać? Autor nakreśla plan działania i wysuwa konkretne rady:

— Chcesz walczyć — to czytaj, dużo czytaj! Rozmawiaj, dużo rozmawiaj, pisz i występuj na zebraniach (a to nie grozi areszt-

tem?) i szukaj, szukaj podobnych sobie". Ale za pisanie i temu podobne czyny można trafić do więzienia!

Autor wysuwa dalsze rady, jak ma działać „opozycja polityczna”:

— Żądaj od krewnych i znajomych książek z zagranicy i pożyczaj je”.

Ale to także grozi sądem i co najmniej konfiskatą, jeśli nie procesem. Na to Autor ma gotową radę:

— A przede wszystkim kup sobie kodeks karny i nigdy go nie przekraczaj”.

A więc „opozycja polityczna” ma działać w ramach kodeksu karnego. Śmieszne? Nie — tragikomiczne! Ta „opozycja” jest moralnie do tego uprawniona, bo „my — opozycja — walczymy o fundamentalne wartości ludzkie”. Frazesy! Zaiste — lepszej opozycji nawet UB by sobie nie życzył.

Niech żyje świętochowszczyzna! Zastrachany liberał wysunął „program” opozycji politycznej w Polsce. A może to porównanie jest krzywdzące dla Świętochowskiego?

Mieroszewski nazywa propozycje Bromkego „księgą ugody”. A jak nazwać ten program?



Autor twierdzi, że „totalitarna dyktatura postawiła na nacjonalizm jako siłę scalającą naród pod swoim panowaniem”. To prawda, że program polskich „narodowców” jest „w gruncie rzeczy tożsamy z programem dyktatury — w ostatniej instancji jednak moskiewską”. A „opozycja polityczna”? Jeśli stoi na gruncie polskości polskich ziem zachodnich i północnych, to uznaje ZSSR za jedyne i głównego gwaranta posiadania tych ziem. I nie pomogą żadne zapewnienia, że „polityczna opozycja w Polsce ma charakter antytotalitarny i niepodległościowy”. W polityce połowiczność nie popłaca. Twierdzenie, że „nas kraj zaskoczył i sterroryzował” nie zmienia postaci rzeczy. Co najmniej 40 % mieszkańców Polski z ziem zachodnich jest żywotnie zainteresowana w utrzymaniu gwarancji sowieckich.

„Program niepodległościowy” opozycji jest więc połowiczny i skazany nieuchronnie na połowiczność. Z tego dylematu trzeba jasno zdać sobie sprawę. Polska musi utrzymać albo „dozgonną przyjaźń” albo niepodległość. Trzeciego wyjścia nie ma. Możliwe że w tym wypadku jest polityka Gierka jedynym logicznym wyjściem racjonalnym — ale możliwym dla Gierka. Biedny ten naród polski, który nawet przyszłościowego programu niezawisłości mieć nie może. Najwyżej „autonomię”, o ile „bratni totalitaryzm” na to pozwoli. A w Czechosłowacji nie pozwolił. I Polska w tym

najeździe dobrowolnie pomogła. Ale chociaż emigracja to skrytykowała. Co pozostaje z niepodległościowego programu „opozycji politycznej?” — przy dobrowolnym uznaniu niezbędności gwarancji starszego brata?

Nastroje beznadziejności towarzyszą Autorowi od pierwszego do ostatniego zdania — głównie dlatego, że nie rozumie on, że gospodarka i życie społeczne krajów socjalistycznych rozwijają się poprzez sprzeczności, co marksiści przyznają wyłącznie kapitalizmowi. Szybki rozwój gospodarczy Polski w ciągu ostatnich lat zrodził niewątpliwie nastroje „pozytywizmu” dużej części ludności wobec panującego systemu. Zwłaszcza gdy go starsze pokolenie porówna z osiągnięciami Polski przedwojennej.

Nie wiem, czy jakkolwiek opozycja polityczna w krajach demokracji ludowej czy w krajach włączonych do ZSSR wysunęła tak kapitulanki program działalności, czy nosi się z takimi nastrojami beznadziejności i braku perspektyw.

Działalność środowisk opozycyjnych winna — zdaniem Autora — „obejść się bez form organizacyjnych — nic tylko luźne towarzyskie kontakty. Nie robić list, nie wymyślać nazw, nie spierać się o punktualność, Broń Boże, nie ustalać prowadzących dyskusję, nie podejmować żadnych postanowień, nie zbierać składek” (sic!). Jednym słowem nic nie robić — tylko prowadzić „działalność wychowawczą” — bez konkretnego programu, o którym Autor woli milczeć i posługiwać się beztreściowymi acz szumnymi słowami.

Aleksander LITWIN



Szanowny Panie Redaktorze!

Z dużym opóźnieniem przeczytałem artykuły A. Bromke i J. Mieroszewskiego zamieszczone w *Kulturze* nr 11/326.

Nie sądzę, by problematykę poruszoną w tych artykułach można było uznać za wyczerpaną poprzez zapowiedź nieudostępniania w przyszłości łamów *Kultury* dla A. Bromke, jak i arbitralne zamknięcie dyskusji przez J. Mieroszewskiego. Nie zamierzam w liście tym polemizować z żadnym z tych publicystów. Sądzę jednak, iż tak w jednym, jak i drugim artykule można znaleźć szereg wartościowych twierdzeń, i uważam kontynuację tej problematyki za wskazaną.

Analiza sytuacji społeczno-politycznej w ZSSR jak i w PRL dokonana przez A. Bromke jest niestety bardzo zbliżona do rzeczywistości. Aktualna świadomość społeczeństwa polskiego znacznie odbiega od wizji J. Mieroszewskiego, stworzonej na podstawie rozmów z przedstawicielami inteligencji polskiej, którzy, jak sądzę, nie są grupą reprezentatywną dla całej warstwy inteligencji, nie mówiąc już o globalnej strukturze społecznej Polski. Stan istniejący obecnie powstał w wyniku działania szeregu czytelników, przy czym pewną rolę odgrywały:

1) Wyniszczenie bądź też odsunięcie od wpływów politycznych grup inteligentnych związanych z Drugą Rzeczypospolitą.

2) Intensywna, trwająca od 30 lat propaganda komunistyczna — postępująca się doskonale opanowaną „techniką orwellowską” (np. często funkcjonujący schemat: patriotyzm = rozwój kraju; rozwój = przemysł; przemysł = PZPR — a więc kochaj PZPR), przy malejącym wpływie ideologicznym ośrodków emigracyjnych (wybaczenie, ale to co robi „Wolna Europa” jest dla większości krajów nie do strawienia).

3) Duży awans społeczny wielkich grup ludności, jak i relatywne polepszenie się warunków życia ludności.

4) Wytworzenie się nowej grupy inteligentnej, silnie związanej z obecnym *status quo*.

5) Potencjalna równość w dostępie do korzystania z szeregu instytucji społecznych jak np. szkolnictwo wszystkich stopni, lecznictwo, i in.

Tak więc ośmielam się twierdzić, iż ponad 90 % ludności kraju, akceptuje obecnie sposób myślenia A. Bromke — co według mnie nie implikuje od razu nierealności postulatu niepodległości Polski, ani też nie wymaga przekształcenia emigracji politycznej w zagraniczną ekspozyturę PAX-u.

Problem leży zupełnie gdzie indziej. Sądzę, iż trzeba wypracować nową formułę emigracyjnej „Ost-Politik”, w znacznej mierze uwzględniającą krajowe realia, a w szczególności przemiany świadomościowe jakie zaszły w Kraju. Stanu faktycznego nie można zwalczać przez ignorowanie, bądź niezauważanie go tylko z powodu, iż brzmi nieprzyjemnie dla ucha. To chyba nie o to chodzi, by rzucać „kłatwy” bądź stosować sankcje towarzyskie wobec tych, którzy zdecydowali się jechać na wakacje do PRL. Trzeba raczej popracować nad tym, by jadący stali się ambasadorami idei niepodległości i demokracji, a nie bezdusznymi zarozumiałcami, zawzięcie kłócącymi się o każdą złotówkę przy sprzedaży sweterka czy kuponu krepiny. Dlaczego odwiedzający Polskę częściej myślą o zorganizowaniu sobie dodatkowego zarobku za pomocą takich czy innych niezgodnych z prawem operacji, zamiast pomyśleć o zabranii ze sobą choćby jednego egzemplarza *Kultury* czy też „1984” Orwella. To że stopa życiowa na Zachodzie jest wyższa, krajanie wiedzą dobrze nawet bez wizyt krewnych. Przywieźcie więc to czego ludzie nie znają, a szukają po omacku żyjąc w określonej rzeczywistości.

Słuszna jest również idea zapraszania krewnych na wakacje na Zachód. Dlaczego jednak tak rzadko podsunie się przybyszowi jakąś „trefną” książkę czy czasopismo, zamiast opiewania uroków życia na Zachodzie. Przecież ci ludzie w większości wracają do Kraju i od początku stykają się z problemami, które już wcześniej dostrzegali, nieraz nie umiając dotrzeć samodzielnie do systemowych źródeł zła. I może właśnie dlatego szereg młodych ludzi po powrocie z Zachodu ma o wszystko i do wszystkich pretensje. Po prostu nie znaleźli oni tego co szukali. I proszę nie pojmować tego zbyt materialnie.

Nie sądzę również, by można w polskich warunkach stawiać znak równości pomiędzy szansą realizacji idei demokracji i niepodległości. Każda z nich może równie dobrze zrealizować się odrębnie. Sądzę, iż obecnie należy czekać (co wcale nie musi oznaczać bezczynności) na następny „zakręt Historii” niż liczyć na ewolucję w takim czy innym kierunku. Trzeba jednak o tym pamiętać, by w odpowiednim momencie trzymany wysoko przez J. Mieroszewskiego sztandar niepodległości i demokracji było komu przekazać. A tym będzie musiał się zająć, jak widzę, A. Bromke.

Tak więc oprócz walki o imponderabilia, zostawmy na łamach *Kultury* także trochę miejsca dla programu pragmatycznego działania.

Łączę pozdrowienia,

CZYTELNIK Z KRAJU

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

*Widmo krąży nad Europą, widmo mauzoleum...
czyli Breżniew u psychoanalityka...*

Moskwa. Plac Czerwony. Mauzoleum Lenina. Grupa hiszpańskich turystów w skupieniu przygląda się zwłokom Lenina. Nagle w ciszy padają słowa:

„My także mamy takiego. Ale nasz chodzi i mówi...”

„Tylko się nie spieszcie z umieszczeniem go w mauzoleum. Pamiętajcie co się u nas potem stało...” — replikuje sowiecki *guide*.

Nie wiem czy sowiecki *guide* pracuje jeszcze w swoim fachu. Nie wiem też czy opowieść tę znają lokatorzy Kremla. W każdym razie ilustruje ona dość wiernie nowy, niezwykły nastrój niepewności w jakim przywódcy sowieccy odbierają ostatnie wydarzenia w Zachodniej Europie.

To dziwne, powiecie. Przecież ostatni rok, a zwłaszcza kilka ostatnich miesięcy to nieprzerwany marsz idei komunizmu. Pudło „małych kroków” Kissingera na Bliskim Wschodzie, ofensywa w Indochinach, komuniści u wrót władzy we Francji i Włoszech, a przede wszystkim lewicowy reżym w Portugalii, pierwszym nie graniczącym z ZSSR kraju, w którym komuniści (i to tacy najbardziej prosowieccy) odgrywają zasadniczą rolę, czyż to wszystko nie wydaje się uzasadniać zwycięskiego lub rozpaczliwego (w zależności od gazety) tytułu: „Widmo komunizmu krąży nad Europą”, czyż wszystko to nie powinno wzbudzać euforii na Kremlu, wybuchów korków od szampana, nie mówiąc już o echach odbijania ludowej Stolicznej...?!

Powoli. Moskwa, to jasne, stara się nadążyć i zbijać, póki i ile się da, jak największy kapitał na amerykańskich pomyłkach, połamanej CIA czy na wstydliwie odwracającej oczy Europie Zachodniej... Ale, tak po cichu, w czasie nocnych rozmyślań, Breżniew nie jest zupełnie szczęśliwy. Gdzieś tam w zakamar-

kach podświadomości kończą się znaki zapytania... Dwa długie cienie padają na radosny horyzont europejski.

Po pierwsze, Moskwa, choć oficjalnie entuzjastycznie wita „widmo komunizmu krążące nad Europą”, nie jest pewna, jaki komunizm tu krąży. Po drugie, Moskwa ma powody aby obawiać się czy niekontrolowany marsz batalionów rewolucji nie narusza i nie szkodzi interesom państwa sowieckiego.

Ponieważ chodzi tu o sprawy poważne, przeto postanowiliśmy opublikować dokument niezwykły, którego waga może być porównana jedynie ze wspomnieniami Chruszczowa. Nawet technika jest ta sama. Dotarła do nas mianowicie taśma z nagraniem psychoanalitycznego seansu Breżniewa. Wyobraźmy więc sobie szefa KPZS leżącego na tapczanie u lekarza. Oto jak w kilku rozdziałach, wyglądała spowiedź Breżniewa z jego podstawowych strachów.

1. Polityka: moja własna doktryna...

Panie Doktorze, przecież to jasne. Każda przedwczesna awantura komunistyczna na Zachodzie musi zakończyć się katastrofą, a nie tylko fiaskiem. Ja wiem, że amerykański Kongres jest coraz bardziej izolacjonistyczny, że USA porzucają swych najlepszych przyjaciół, że Schlesinger oświadczył, iż mimo 60.000 *boys* poległych w Wietnamie, utrata Indochin nie oznacza istotnej zmiany w równowadze sił na świecie. Mnie to wszystko nie przekonuje. Po pierwsze, to nieprawda, bo równowaga się zmienia, niestety raczej na korzyść Chin. Po drugie jednak, Europa to nie Indochiny. A co będzie, jeżeli ten zwiariowany Kongres postanowi np. zaaplikować wobec Portugalii moją własną doktrynę, jeżeli potraktuje Portugalie jako coś w rodzaju Czechosłowacji Zachodu? Czy nie będę musiał zrewanżować się Amerykanom za ich lojalną wobec nas postawę w sierpniu 1968? Z jednej strony, nie mogę negocjować swej własnej doktryny, może mi jeszcze być potrzebna, np. wobec Rumunii. Z drugiej strony, biernie przyglądać się *marines* lądującym w Lizbonie, też nie będę mógł... Więc co zostaje? Tylko radzić towarzyszom portugalskim spokój i umiarkowanie. Ach, co za durnie siedzą w Waszyngtonie?! Gdyby interweniowali w porę, jak my w Pradze, skutecznie a nie po partacku, dziś byłoby już po krzyku. A tak...?

Cunhal i jego komuniści u władzy w Portugalii? Przecież to kpina. Durnie, są tacy nawet w moim otoczeniu, widzą w tym wspaniałą okazję zerwania tradycyjnego podziału Europy na Wschodnią, naszą, i Zachodnią, ich. Ale koniec tego podziału jest kuszący tylko dla naiwnych. Lepiej go nie ruszać, bo się wszystko zawali. Kres tego podziału oznacza fiasko super-szczytu w Helsinkach, to znaczy torpeduje ostateczne i uroczyste zalegalizowanie przez cały cywilizowany świat niezmienności naszej dominacji na Wschodzie. I pomyśleć, że mały Cunhal, albo jego nadgorliwcy, mogą to wszystko na finiszu, wykończyć.

Czy komunistyczny rząd w Portugalii wart jest ponownego otwarcia frontu europejskiego i to w chwili, kiedy — zwłaszcza po śmierci Czang Kai-szeka — widmo osi Pekin-Tokio-Waszyngton jest dla nas znacznie aktualniejsze niż widmo komunizmu krążące nad Europą. Niech sobie krąży, mamy czas...

2. Taktyka: kto nam uwierzy?

Panie doktorze, czy wie pan ile lat trwało zanim w ogóle zaczęto wierzyć, że komuniści francuscy czy włoscy nie są u nas na etacie. Przecież do dziś jeszcze, jak czkawka, odbijają się „dwie ojczyzny” Cunhala, „Jestem dumny z miana stalinowca”, Thoreza, nawet Togliatti'ego, chociaż prawie go kanonizowano, trzeba dziś odbrązowiać, bo był za bardzo wierny Stalinowi.

Przecież to jeszcze niedawno Mitterrand zastanawiał się czy Marchais czasem nie działa według moich instrukcji (gdyby tak było to by mówił mniej i mądrzej). Chirac w Moskwie poważnie się u mnie skarżył (i ujawnił to, co gorsza) na niepatriotyczną postawę KP Francji wobec antyamerykańskiej polityki obronnej Giscard'a. Tyle czasu upłynęło zanim świat zapomniał o słynnej rozmowie z 35 roku, a on wszystko ożywił. Jaka rozmowa? A taka:

„Laval: Panie Stalin, komuniści francuscy hamują nasz wysiłek obronny...”

„Stalin: Panie Laval, jeżeli wasi komuniści wam przeszkadzają, to ich rozstrzelajcie”.

Stalin niepotrzebnie tak głośno mówił, ale pamięć ludzka, na szczęście krótka, więc dziś, po ciężkich wysiłkach, na komunistów głośuje co trzeci Włoch, co czwarty Francuz. Otwierając niedawno kongres KP Włoch, jej szef Berlinguer (*marquesino*, młody markiz, jak go nazywają) odczytał depezę od chadeckiego prezydenta państwa. No i wszystko to miałoby zostać zmarnowane przez hurra-rewolucyjnych naiwniaków. W momencie kiedy Berlinguer proponuje „historyczny kompromis” już nie socjalistom a chadekom (to tak jakby we Francji Marchais zaproponował wspólny front Giscard'owi), we Francji i w Portugalii najbardziej atakowani są właśnie... socjaliści.

Czy pan wie co mi powiedział nasz ambasador z Paryża? „Gdyby” — twierdzi Czerwonienko — „wybory we Francji odbywały się nie przed a po ostatnich wydarzeniach w Portugalii, zwycięstwo Giscard'a byłoby piorunujące...”. Mój człowiek z Madrytu napisał, że cała prawica hiszpańska marzy przede wszystkim... o puczu komunistycznym w Portugalii. Taki jawny, a jakże niepewny, gwałt zniweczyłby na długo wszelką wiarygodność komunistycznych zobowiązań, a zarazem wszelką szansę udziału komunistów w jakimkolwiek rządzie po-frankistowskim. I to mimo, że sekretarz generalny hiszpańskiej Kompartii, Carrillo, nie zawahał się wysłać swego własnego syna do odbicia służby

wojskowej... u Franco, aby nie mógł on kiedyś, jak to było z Thorezem, zostać oskarżony o dezerccję...

Dla nas, bolszewików, znacznie ważniejsza jest kolosalna rola komunistów w opozycji we Francji czy we Włoszech, niż u władzy (nie na długo) w Portugalii. Dlatego tak bardzo denerwujące jest gadulstwo parweniuszy. Berlinguer daje słowo, że będzie respektować wybory i Włosi mu wierzą, Marchais obiecuje, że będzie wydawać Sołżenicyna i Francuzi mu wierzą, a tu jakiś portugalski dziwak, zdaje się, że sam premier nawet, mówi „my nie damy utopić rewolucji w urnie wyborczej”, a p. Santos, bliski człowiek Cunhala, w wywiadzie dla pisma hinduskiego (on myślał, że tego w Europie nie czytają), oświadcza, iż socjaliści w Portugalii nie reprezentują ludu i że prawdziwy folkfront w Portugalii to komuniści i wojsko. Nic dziwnego, że nawet umiarkowani uciekinierzy z Lizbony krzyczą, że „Portugalia wpełza w archipelag Gułag”. Im się co prawda tylko zdaje, oni nie wiedzą co to jest prawdziwy Gułag, ale niech wpełzają po cichu, inaczej skutków tego tak szybko nie odrobimy...

3. Gospodarka: Kto za to zapłaci?

Panie Doktorze, to nie ja powinienem leżeć tu na tapczanie, a towarzysz Marchais. On ma rację, kiedy mówi, że komuniści nie powinni pomagać kapitalistom w przewyciężaniu kryzysu, ale jemu się tylko wydaje, że komuniści wiedzą jak z tego kryzysu wyjść. Niektórzy komuniści na Zachodzie palą się do awantury zapominając o błędzie Stalina z 40-tych lat. Nasz ojciec myślał, że zniszczenia wojenne, a potem dekolonizacja, powalą kapitalizm. Tymczasem wprost przeciwnie, plan Marshalla a nawet utrata kolonii dodały bodźca kapitalizmowi i cała strategia musiała ulec zmianie. Dziś znowu niektórym na Zachodzie zdaje się, że kryzys naftowy pchnął kapitalizm w jego ostatnie stadium.

Nie daj Boże. Cała nasza polityka opiera się na założeniu wprost przeciwnym, że mianowicie vitalność kapitalizmu pozwoli nam przez długi czas jeszcze korzystać z owoców jego gnicia.

Dlaczego nie chcemy kryzysu, takiego prawdziwego, na Zachodzie? Dziwne pytanie. Po pierwsze, wszelkie nagłe zachwianie obecnej struktury w kierunku socjalistycznym oznaczać będzie kolosalne zwiększenie naszych zobowiązań finansowych. Czy pan wie, że pierwsze obliczenia wykazują, iż wstępne nasze zobowiązania wobec np. lekko tylko socjalistycznej Portugalii przekraczać muszą miliard dolarów rocznie, czyli więcej niż wobec Kuby. A tak płacić będzie Wspólny Rynek i USA. Trzeba, jak uczył Thorez „umieć w porę zakończyć strajk”. Popieramy umiarkowanie. Dlatego, za wzorem polskich towarzyszy, którzy posyłali węgiel w czasie strajku górników do Hiszpanii i Anglii, posłałiśmy kilka okrętów z sardynkami, aby pomóc tow. Cunhalowi

złamać strajk rybaków, domagających się zbyt nagłego zerwania z kapitalistycznym wyzyskiem w Portugalii.

No, a przede wszystkim, nagły zawał kapitalizmu zerwałby wszelką pomoc, kooperację technologiczną i inwestycyjną zachodu dla ZSSR. A co wtedy? Według naszych, dyskretnych naturalnie, obliczeń, nie poradzimy sobie sami z Syberią przed upływem 50 lat. Ale wtedy będzie już za późno, do tego czasu wszystkie nasze plany się rozlecą z powodu deficytu paliwa i surowców.

4. Ideologia: zachodnie Dubczeki

Panie Doktorze, czy pan czyta paryską *Kulturę*? Nie, pan się, i słusznie, boi, no i kosztuje na czarno kilkadziesiąt rubli. Niejaki Mieroszewski dawno już odkrył prawdziwe widmo, które krąży nad Kremlem. Zachodnie Dubczeki, oto niebezpieczeństwo. Mieroszewski przypuszcza, że w chwili przejęcia władzy Berlinguer nie musi przekształcić się we włoskiego Breżniewa. On przypuszcza, a ja wiem na pewno. Nawet Marchais, nawet Cunhal nie będą Breżniewami. Dziś na Zachodzie kompartie zdobywają zaufanie — i głosy — tylko za cenę odcięcia się od nas. No, ale to co na początek może wydawać się propagandą, w miarę użycia nabiera wagi i powagi, baza zaczyna w to wierzyć, przywódcy się licytują i jawi się widmo schizmy.

Le Monde, nie najgorsza nawet gazeta, choć odwrotnie niż ja, popiera Mitterrand'a w wyborach przeciw Giscardowi, musiała przywołać Marchais do porządku, kiedy odnalazł on w naszym sowieckim reżymie „dowody ogromnych postępów na drodze do ... wolności demokratycznych”. Po to aby zaznaczyć swą niezależność od Moskwy, Berlinguer postanowił, właśnie w wilię kongresu swej partii, opublikować kolumnie Smrkovskiego o bratniej pomocy i dyskusji na Kremlu w sierpniu 1968 roku. Aby złagodzić skutki przesławnego lania wyborczego, przywódca komunistów greckich Elias Eliu (takie imię, czy to nie syjonista), najechał na nas, jak nikt inny. „Kiedy” — powiedział Elias — „komuniści greccy mordowani byli w obozie Yaros (to takie greckie Sołówki), ambasador sowiecki w Atenach stukał się wielkanocnymi jajkami z pułkownikami u władzy...”. A czym miał się stukać, tam taki prawosławny zwyczaj...

Bałagan jest coraz gorszy, prawdziwe, leninowskie partie komunistyczne nie mogą bawić się w demokrację, muszą wpaść w totalizm. Jeżeli bowiem nie wpadną w totalizm, to przestaną być partiami komunistycznymi.

Po to aby zdobyć władzę trzeba najpierw przejąć cały aparat ucisku kapitalistycznego: wojsko, policję, prasę, syndykaty... A przecież, mimo, iż w Portugalii na razie się to udaje, to Europie do tego daleko. Jak długo jest to niemożliwe i to w kilku podstawowych krajach naraz, to należy pozostać w opozycji, drażnić ustrój, penetrować kręgi władzy... Należy odrzucać propozycje udziału w rządzie, jeżeli ceną za to musi być nacjonalis-

tyczna i rewizjonistyczna korupcja, schizma i antysowietyzm. Czy nie uczył nas Lenin, że prawdziwy rewolucjonista nie bierze władzy, zanim sytuacja do tego nie dojrzeje, czy nie trzeba by właśnie teraz po „dwóch krokach naprzód”, zrobić, jednego kroku wstecz?”

5. Strategia: nie przerywając snu...

Panie doktorze, niech pan nie robi takiej przerażonej miny. Ja nie bredzę. Nie rezygnuję z socjalistycznej Europy, tylko proponuję inne środki. Być rewolucjonistą dziś, to znaczy umieć czekać, kręcić, manewrować, ukrywać prawdziwe zamiary, grać na zwłokę, kusić naiwnych, przekupywać przekupnych, usypiać burżujów. Trąbić i bić na oślepotę potrafi każdy dureń. Niektórzy na Zachodzie mówią o finlandyzacji Europy. Też mi program! Po pierwsze, to już zrobione, po drugie, to nam nie wystarczy.

Niech pan teraz posłucha i niech mi pan powie jaka, inna niż moja, metoda usypiania przez odprężenie, niż moje ekumeniczne kadzidło ponad-ideologicznego gaworzenia syndykatów, partii, parlamentarzystów, dziennikarzy, kobiet, młodzieży, niż moje okrągłe stoły, konwenktykle genewskie, wiedeńskie czy brukselskie przyniosłyby lepsze wyniki.

Tylko cierpliwe i nieprzerywające snu ogłupianie sprawiło, że wchodzimy na ostatnią prostą przed super-szczytem w Hel-sinkach bez żadnych właściwie istotnych koncesji z naszej strony. Podpisujemy wszystko, jak leci. Podpisaliśmy zasadę łączenia rodzin, ale kiedy dwóch synów dr. Sterna otrzymało paszporty, to ojciec dostał za to 8 lat łagru. Na odwrót u Naszfica: rodzice są za granicą, on w więzieniu. Przyrzekliśmy swobodę pracy korespondentów zagranicznych, ale wyrzuciliśmy kilkunastu, m.in. Bonavię z *Times'a*, nie wpuściliśmy Talbotta, chociaż towarzyszył samemu Kissingerowi... Nasi towarzysze w Pradze wyrzucili korespondenta niemieckiej TV oraz AFP i to bez żadnego echa w Genewie, chociaż tego samego prawie dnia uzgadniali tekst odpowiedniego paragrafu w podkomisji do sprawy swobodnego krążenia informacji...

Kiedy pastor Vins dostał 5 lat łagru, a nasza milicja ewakuowała synagogę w święto żydowskiej Wielkiejnocy, nasz delegat w Genewie bez żadnego sprzeciwu sali wołał o tolerancję, piętnował prześladowania religijne w Brazylii i Izraelu. Kiedy wykryliśmy przy pomocy najnowocześniejszych metod (izotopy radio-aktywne w papierze wysłedzone przez specjalny helikopter) nielegalną drukarnię biblii na Litwie, prasa zachodnia zareagowała, raczej tylko aby wyrazić podziw dla techniki KGB...

Czy pan wie, że z końcem lutego, w atmosferze całkowitej powagi, niezmaconej ani jednym słowem zastrzeżenia, podpisaliśmy w Genewie wstępne sformułowanie rozdziału na temat „samookreślenia narodów”, nienaruszalności ich terytorium. Nikt

nawet nie wspomniał o Czechosłowacji, mimo, że to w tym właśnie czasie wybuchły wspomnienia Smrkovskiego.

Zebrała się wtedy także w Genewie Komisja Praw Człowieka ONZ. Nie lubię ani tej nazwy, ani tej instytucji, ale trudno. I co się okazało. Komisja napiętnowała gwałt na prawach człowieka w Chile, Południowej Afryce, Brazylii, Indonezji, Północnej Irlandii i naturalnie Izraelu. I słusznie, nie wolno gwałcić, człowiek to brzmi dumnie. Znalazł się jednak jakiś facet, który nieśmiało zauważył, że gwałcą także gdzie indziej, ten tego... Kalumniator otrzymał natychmiast zasłużoną odprawę od naszego delegata, który, przy poparciu sali, oświadczył, że tylko „masowe i poważne” gwałty mogą być przedmiotem troski komisji, a nie jakieś odizolowane wyimaginowane historie w ZSSR.

Jakiż inny środek niż łagodna perswazja przekonałby najbardziej odpowiedzialnych polityków w Paryżu, że powinni ogłosić światu, iż „działa francuskie skierowane są nie tylko na Wschód...” Jakaż inna niż moja metoda, cierpliwość i spokój doprowadziłyby wybitne lewicowe pismo francuskie do stwierdzenia, że archipelag Gułag to nie tylko wynalazek ZSSR, ale także USA i że na szczęście Naum Chomsky, który do tego wniosku doszedł, mógł wydać swą książkę we Francji, albowiem „najwyższej w świecie cenzura zakazała jej wydania w USA...”. Kto uwierzyłby, gdybym to ja powiedział, że w USA jest cenzura lub że działa tam Gułag? A tak... To nie jest zasługa wrzasku Marchais, to moja zasługa...

6. Metoda: dwie miary

Panie doktorze, pan już zmęczony. Jeszcze więc tylko dwa przykłady z mojego „krótkiego kursu rewolucji przez ogłupianie”.

Labourzyści, jak pan wie, nigdy nie sprawiali nam kłopotu. To przecież Wilson pojechał do Pragi, aby wypowiedzieć tam słynne słowa o tym, że „trzeba wybaczyć, zapomnieć przeszłość” i inwazję. Ale, powie pan, to było dawno, Wilson był jeszcze w opozycji. No to *voici* coś zupełnie świeżego.

Wysłaliśmy niedawno do Anglii delegację naszych związkowców, z tow. Szelepinem na czele. Wiedzieliśmy, że będą kłopoty, ón nie jest specjalnie popularny. Pewnie, było przykro, kiedy prasa pisała „mordercy są wśród nas”, kiedy członek naszego Politbiura musiał wiać tylnymi drzwiami przed Polakami czy Ukraińcami, kiedy musiał skrócić wizytę i po cichu wrócić do Moskwy.

Ale niech pan spojrzy na wynik. Komunikat końcowy nie wspomina nawet, że mogły zajść jakieś różnice zdań co do roli syndykatów, zapowiada regularne kontakty na przyszłość, mówi o „twórczym spotkaniu w przyjacielskiej atmosferze”. To w imię naszego modelu odprężenia i dzięki mojej taktyce, angielskie syndykaty odizolowały prasę od kochanego gościa (historia bez precedensu w Anglii), utaiły program pobytu, zmobilizowały

wszystkie możliwe środki ochrony od psów do helikopterów aby bronić „przyjaznej atmosfery” przed opinią brytyjską. Czyż p. Jenkins nie pobił wszystkich rekordów, kiedy broniąc Szelepina porównał KGB do MI-6 Jej Królewskiej Mości. Jak pozna oba, to poczuje różnicę...

No i ten Callaghan! Mówili, że taki twardy, nieprzyjemny. Nieprawda! Kiedy pewien poseł opozycji spytał Callaghan'a dlaczego stosuje dwie miary i udziela wizy Szelepinowi, osobiście i kolektywnie odpowiedzialnemu za prześladowania rasowe w ZSSR, a odmawia wiz drużynie... krikietu z Afryki Południowej, która to drużyna za nic przecież nie odpowiada, ani osobiście ani kolektywnie, Callaghan, z *détente* na ustach, odpowiedział: „Bądźmy uczciwi. Stosujemy dwie miary. Nie powinniśmy być z tego dumni, ale nie wstydzimy się do tego przyznać...”

I słusznie. Po powrocie Szelepina do Moskwy okazało się, że w ogóle nie wiadomo o co chodzi. Po pierwsze, odpowiedzialne za demonstracje były niewielkie grupki odizolowanych syjonistów, opłacanych po 5 funtów za dzień manifestowania. Po drugie, według TASS'a, był to wprost bajkowy pobyt, albowiem jak to określił jeden z naszych związkowców „delegacja spotykała się na każdym kroku z wyrazami sympatii i przyjaźni dla ZSSR”. To, że myśmy tak napisali, to nic dziwnego, to dla naszej opinii. Ale to, że angielscy gospodarze na to nie zareagowali a spokojnie to połknęli, chociaż nasza delegacja nie zrobiła ani jednego kroku, nie mówiąc już o sympatii dla ZSSR, to jest już nasze kolosalne zwycięstwo.

7. Największy sukces: szkoła polska

Panie Doktorze jeszcze na koniec tylko jedno westchnienie. Najlepszy dowód na skuteczność mojej metody przyniosła szkoła nie sowiecka a polska.

Przed kilku tygodniami wybuchł w Polsce skandal z petycją 15 intelektualistów w sprawie traktowania Polaków w ZSSR. Przykra sprawa, ale tow. Gierek potrafił uziemić całą aferę. Czy wie Pan gdzie ukazał się najlepszy komentarz na ten temat? W *Le Monde*, proszę pana. Muszę go dosłownie przytoczyć, bo rzecz jest bez precedensu nawet jak na Francję. Otóż donosząc o „apelu 15”, korespondent *Mond'u* skromnie ukrywający się pod podpisem „interim”, pisze:

„Tekst listu przekazany został korespondentom zagranicznym w stolicy Polski. Wydaje się, że jego autorzy chcieliby skorzystać z klimatu odprężenia aby zwrócić uwagę władz warszawskich na los ok. 1,5 miliona obywateli sowieckich pochodzenia polskiego, żyjących na Litwie, Białorusi i Ukrainie. W jakim jednak stopniu ta inicjatywa, niezależnie od tego jak bardzo odważną może się wydawać, przynieść może jakiś wynik? Można także zastanowić się nad celowością wyciągnięcia na światło dzienne w jednym z państw obozu socjalistycznego tak wrażliwego i

ostrego punktu polityki sowieckiej jak traktowanie mniejszości etnicznych w ZSSR?”

No, i jak się to panu podoba? *Prawda* nie napisałaby inaczej, zwłaszcza ta delikatna aluzja do autorów co „chcieliby (swołocznie) skorzystać z klimatu odprężenia i to dla jakich celów? Polacy upominają się o Polaków! Czy podobne zastrzeżenia przyszyby do głowy panu „interim” np. w kontekście traktowania „wrażliwych” problemów politycznych w Chile, Brazylii lub USA? Co powiedziałyby *Le Monde* w 1942 roku, gdyby jakaś gazeta napisała, że „można by się zastanowić nad celowością poruszenia tak drażliwego punktu jak traktowanie przez hitlerowców mniejszości etnicznej francuskiej” lub w jakim stopniu może przynieść wynik zamach na szefa Gestapo w Paryżu, „niezależnie od tego jak bardzo odważna może się wydać ta inicjatywa?” A dlaczego problem Basków w Hiszpanii nie jest „drażliwy” i *Le Monde* o nim pisze, bez zastanawiania się nad celowością, ba, krzywi się nawet kiedy Franco Basków prześladowuje, choć Franco to faszysta, a Breżniew to demokrat?

Trzeba pogratulować polskim towarzyszom, zwłaszcza że mam na deser jeszcze coś lepszego. Chodzi już nie o gazetę, a o członka rządu. Otóż, bawił w marcu w Polsce minister spraw zagranicznych Francji p. Sauvagnargues. Polska jest — jak wiadomo — „uprzywilejowanym partnerem” Francji na Wschodzie. Nic, według francuskiej prasy, nie maści bilateralnego horyzontu, całe *dossier* spraw nierozstrzygniętych i spornych sprowadza się do śmiesznych detali takich jak „Biblioteka Polska na wyspie św. Ludwika i pewne czasopismo (*une certaine revue*) *Kultura*”.

P. Sauvagnargues poszedł jednak dalej. Nawet nasi polscy towarzysze byli oszołomieni kiedy w Warszawie z ust francuskiego ministra usłyszeli:

„Odnosi się wrażenie, że odległość jaka dzieli polski socjalizm i francuski liberalizm o treści społecznej nie jest w końcu gigantyczna...”. Podobnej wypowiedzi nie udało się jeszcze żadnemu państwu naszego obozu uzyskać od żadnego zachodniego ministra spraw zagranicznych. Otwiera to wspaniałe perspektywy, pozwala żywić wszelkie nadzieje na dalsze zmniejszanie „odległości w końcu nie gigantycznych” aż do ich zniknięcia w ogóle. Ah, gdyby Bóg dał dożyć tej chwili...

8. Futurologia: palec Stalina i rączka Breżniewa

W tym miejscu zmęczony Breżniew usnął. Taśma z zapisem jego psychoanalitycznej spowiedzi jest przedmiotem troskliwych badań fachowców. Specjalne instytuty już jednak potwierdziły zgodność głosu z taśmą z oficjalnymi nagraniami Breżniewa z USA i z Moskwy. Nie ma wątpliwości, że to Breżniew mówił. Zanim specjaliści z Waszyngtonu opracują, jak zwykle błędnie, końcowe wnioski, chciałbym skromnie sformułować kilka uwag.

Po pierwsze, lista przykładów uspienia przez odprężenie wy-

mienionych przez Breżniewa jest dalece niekompletna, urywa się na pierwszych dniach kwietnia, pomija teren amerykański, a zwłaszcza świat *business'u*. Że nawet najmocniejsze głowy tracą odporność świadczy przypadek sen. Jacksona. Przez długie lata USA odmawiały udostępnienia Rosji najnowszych komputerów. Ostatnio, aby zrobić nieco ruchu w interesie, Biały Dom zezwolił na sprzedaż Moskwie modelu 158 z serii 370, ostatniego krzyku amerykańskich szarych komórek. I tu niespodzianka. Sen. Jackson, znany wszak z trzeźwości sądu, uznał, iż podstawowym zastrzeżeniem Ameryki powinno być umieszczenie w kontrakcie klauzuli, wykluczającej zastosowanie modelu 158 do celów wojskowych w ZSSR. Jak się dowiadujemy Breżniew dał Jacksonowi słowo honoru, po czym sprawę uzna się za załatwioną...

Po drugie, Breżniew, nawet na spowiedzi, nie mówi o tym, że on sam nie ma alternatywy do współistnienia i że znacznie bardziej wymagające, godne, nieustępliwe, pryncypialne stanowisko Zachodu w targach politycznych z ZSSR nie spowodowałoby nawrotu do zimnej wojny. Wystarczy przypomnieć, że Breżniew serdecznie przyjął Nixona w Moskwie, jak gdyby nic, w chwili gdy B-52 burzyły Hanoi, a amerykańskie miny blokowały port w Haifongu. Nie proponuje bombardowania Hanoi, ale dymisja i dezercja nie są dyplomacją.

Po trzecie, należy porzucić, bo to brednia, pogląd że za każdym gestem komunistów zachodnich kryje się bolszewik z nożem w zębach. Z drugiej strony brednią jest pogląd niektórych świętych zachodnich, że Moskwa jest w ogóle nieobecna i że wszystkie te humorystyczne ruchy pokojowe i religijne, związkowe itd. są manipulowane przez zakon Karmelitów bosych. Londyńscy Polacy ostro zareagowali (w *Times'ie* m.in.) na oświadczenia p. Jones'a z TUC co do tradycji współpracy syndykatów brytyjskich i sowieckich jeszcze z okresu wojny i pytali czy p. Jones nie zna historii paktu Hitler-Stalin, Katynia, Powstania Warszawskiego, Kołomy, likwidacji PPS czy opisanego przez Bethel'a „ostatniego sekretu Jałty” tzn. wydania przez Zachód Stalinowi dwóch milionów Rosjan, wysłanych prosto z Odessy na Sybir, jeżeli udało im się ominąć pluton egzekucyjny na miejscu, w porcie. Pytanie naiwne. Oczywiście, że p. Jones zna historię. To protestujący Polacy nie znają się na polityce...

Po czwarte, Breżniew porzucił tezę Stalina o „ruszeniu palcem a Tito zniknie” nie dlatego, że nie chciałby aby Tito zniknął, kiedy Kreml rusza palcem, a dlatego, że uważa, iż jego „miękkie” środki są skuteczniejsze. *Quod erat demonstrandum...*

Po piąte, istnieją rozmaite szkoły tłumaczenia pojęcia *détente*. Dość trafną definicję dał ostatnio Allan Goodman, dyrektor wydziału międzynarodowego uniwersytetu Clarc w USA. Powiedział on, że dla USA odprężenie jest celem samym w sobie, zmierza do zamrożenia *status quo* i zagwarantowania go poprzez zasadę stałych konsultacji. Dla ZSSR, odprężenie jest środkiem do celu, narzędziem w walce o utrzymanie hegemonii w bloku i rozszerzenia wpływów na cały świat. Dla Europy

Zachodniej zaś, odprężenie to przede wszystkim strach przed popadnięciem pod kuratelę super-wielkich, traktowanych, dodajmy już od siebie, na równi, w identyczny sposób. Jeżeli przetłumaczyć tę uczoną definicję na ludzki język, to *détente* po amerykańsku sprowadza się do naiwności, po rosyjsku — do cynizmu, a po europejsku — do ślepoty.

Po szóste, zdaniem Breżniewa, i trudno się z nim nie zgodzić, obecna Europa Zachodnia jest niezdolna do sprostania podstawowym problemom epoki. Zdaniem pacjenta, wyścig z czasem już się rozpoczął. Albo ewolucja dziś, albo rewolucja jutro. Jeżeli Breżniew nie grozi palcem, a rusza głową i podaje dłoń w aksamitnej rękawiczce, to dlatego, że ogłupiałe bagienko i cyniczny indyferentyzm, w jakie powoli ale konsekwentnie grząźnie Europa Zachodnia wydają mu się bardziej skuteczne niż czerwone ale przedwczesne awantury.

„W Polsce — powiedział p. Sauvagnargues w Warszawie — nie odnosi się wrażenia, że przebywa się w innym świecie...”. Breżniewowi chodzi o to, aby p. Sauvagnargues odniósł podobne wrażenie w Moskwie.

A przede wszystkim, aby Breżniew sam poczuł się jak w swoim świecie, kiedy uda się w następną podróż na Zachód...

BRUKSEL CZYK

Pisane 7 kwietnia 1975

Korespondencja z Rzymu

Nic o nas, bez nas

Po miesięcznym pobycie w kraju wrócił 25 marca do Rzymu abp Poggi, nuncjusz apostolski do specjalnych poruczeń. Objechał diecezje północno-zachodnie (Gdańsk, Kołobrzeg, Szczecin, Gorzów), był w Poznaniu i Krakowie. Wrocław wypadł z trasy jego podróży — wciąż nie ma tam bowiem ordynariusza na skutek odrzucenia przez rząd wszystkich kandydatów, przedstawionych przez episkopat. Mons. Poggi pojedzie ponownie do kraju dla dokończenia rekonensansu: zapoznania się z nastrojami duchownych i wiernych oraz sytuacją w poszczególnych diecezjach. Wysłannik papieski wrócił do Rzymu pod wrażeniem jednolitego stanowiska całego kleru w sprawie rokowań z rządem. Jednym z wniosków tej podróży jest prawdopodobnie, że jakiegokolwiek rachuby na przeskoczenie episkopatu lub wygrywanie jednych biskupów przeciw drugim, skazane są na niepowodzenie.

Prymas Polski zareagował na treść urzędowych komunikatów polemizując pośrednio z watykańskim szablonem dyplomatycznym. Przemawiając w kościele Św. Michała w Warszawie w dniu 16 marca powiedział m.in.:

„Wiecie, że na terenie Polski przebywa wysłannik Stolicy Świętej, arcybiskup Poggi, stojący na czele tzw. grupy roboczej do rozmów z rządem. W tej chwili jest w Warszawie. Jego wysiłki zmierzają do tego, aby władzom państwowym przedstawić podstawowe prawo Kościoła do istnienia, ukazać, że Kościół musi zyskać uznanie swego charakteru publiczno-prawnego... Mamy nadzieję, ponieważ wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, że i nasze władze przekonały się, iż niejedynym problemem moralno-społecznego nie zdołają o własnych siłach rozstrzygnąć...

Gdy przyjeżdża przedstawiciel Stolicy Świętej do Polski, nie wystarczy — jak czytaliśmy ostatnio w komunikacie PAP-u — że rozmawia się o pokoju międzynarodowym, o zabezpieczeniu przed głodem, o pomocy zapóźnionym narodom. To wszystko jest bardzo szlachetne i ma swój sens. Kościół w swoim zakresie wszystkie te inicjatywy popiera. Przedstawiciele Stolicy Świętej biorą udział w najrozmaitszych kongresach, poświęconych tym sprawom. Ale to nie wyczerpuje zagadnienia, bo Kościół ma swoje istotne zadanie, które polega na tym, aby głosić całemu światu, że dla wszystkich ludów i narodów Chrystus jest Drogą, Prawdą i Życiem. Chcemy się do niego przyznawać prywatnie i publicznie bez względu na to jakie prowadzimy prace. Pragnęlibyśmy aby taką odwagę „bezkarną” mogli okazywać wszyscy pracujący na urzędach państwowych, w służbie ładu społecznego, w obronie narodowej, pracujący zaszczytnie i owocnie w różnych dziedzinach życia naukowego; aby i oni nie wstydzieli się Imienia Chrystusowego, nie lękali się uczynić znaku Krzyża Świętego, nie musieli jeździć z dziećmi do Chrztu i Komunii Świętej na drugi koniec Polski. Kiedyś tego rodzaju trudności nazywaliśmy dyskryminacją. O to Kościół się upomina. Uważamy, że te sprawy powinny być głównym przedmiotem rozmów naszych władz państwowych z przedstawicielami komisji roboczej Stolicy Świętej... Nie jest prawdą, jak wam głoszą na różnych zebraniach politycznych, że Stolica Święta i władze państwowe chcą porozumienia, tylko Episkopat nie chce. Pewnie, jeśli mamy mówić o wszystkich sprawach międzynarodowych, a o naszych bolączkach krajowych będziemy milczeć, to takiego porozumienia nie chcemy...”

W tym samym wystąpieniu Prymas Polski dobitnie podkreślił że Kościół nie chce „przywilejów, pensji, uposażeń, orderów, odznaczeń”, domaga się natomiast „wolności działania i położenia kresu przymusowej ateizacji przez aparat administracji państwowej, oświatowej, politycznej, a nawet wojskowej”. Z treści tego kazania przebija przeświadczenie, że Kościół musi być stale wyczulony na rzeczywistość społeczną i gdyby zaszła sytuacja wyboru alternatywy, to woli przegrać z Państwem, ale uważa, iż nie wolno mu przegrać z Narodem.

S a m i z d a t a n t y k o ś c i e l n y

Komunikat z przedostatniej konferencji episkopatu ze stycznia br. piętnuje m.in. akcję „pewnych ośrodków wrogich Kościołowi, zmierzającą do oczerniania zarówno hierarchii i duchowieństwa, jak i pracy duszpasterskiej”. O co chodzi? Od kilku miesięcy trwa kolportaż (przez pocztę, podrzucanie do domów) różnego typu ulotek o charakterze antykościelnym, nieraz wulgarnych wręcz paszkwili, wymierzonych w Prymasa Polski (jeden z takich paszkwili podpisany jest przez „księży spod znaku Świt”). Niektóre ulotki sporządzone są bardzo prymitywnie. W akcji tej biorą udział nieliczni księża, względnie ex-księża, współpracujący z Urzędem do Spraw Wyznań, z PAX-em, Zrzeszeniem „Caritas”, lub wprost z departamentem IV-tym M.S.W. Są to duchowni bądź wykolejeni, bądź rozżaleni na zwierzchników, a niezaspokojeni w wygórowanych ambicjach. Nie brak także podobno zwykłych ofiar szantażu. Mała garstka tzw. „sympatyków ruchu społecznie postępowego” co pewien czas odbywa spotkania z działaczami PAX-u. O takim spotkaniu księży z B. Piaseckim w Ojrzanowie, ośrodku szkoleniowym PAX-u, doniosły *Kierunki*. Ożywienie PAX-u na tym odcinku stanowi pewną niespodziankę. Do niedawna bowiem paxowcy starali się unikać kolizji z interesami Kościoła, działali dość ostrożnie. Zmieniły się widać dyrektywy. „Za otrzymane i odnawiane stale koncesje trzeba płacić” — mówi mi pewien duchowny na ekspozowanym stanowisku w kraju, dobrze rozeznanym w kulisach działalności tego ugrupowania. „Prace zlecone” obejmują również kontakty z kościelnymi grupami „postępowymi” i „chadekami” w krajach Demokracji Ludowej. Po zeszłorocznej wizycie węgierskich księży-patriotów w PAX-ie, przedstawiciele tej grupy udali się tym razem do Niemiec Wschodnich na zaproszenie prezydium CDU (przybudówka SED, czyli kompartii w NRD). Podobnie jak z delegacją węgierską, również i w tym przypadku „podpisano porozumienie o współpracy”. Podtrzymywane są także kontakty z inną firmą: Partią Ludową (chadecką) w Czechosłowacji.

Dominik MORAWSKI

Sąsiedzi

Spotkanie z Niekrasowem

W *Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej* z roku 1954 wzmianka o Wiktorze Płatonowiczu Niekrasowie jest krótka: urodził się w roku 1911, studiował w Kijowie architekturę i teatr, podczas wojny był oficerem w oddziale saperów, wstąpił do partii w ogniu bitwy stalingradzkiej, wydał w roku 1946 powieść *W okopach Stalingradu*, dostał za nią w rok później Nagrodę Stalinowską. Więcej ma do powiedzenia o Niekrasowie polska *Encyklopedia Powszechna PWN* z roku 1966: „opisując w sposób niemal protokolarny bohaterstwo żołnierzy radzieckich, zapoczątkował w literaturze radzieckiej tendencję deheroizacji” (to o *Okopach Stalingradu*); w następnej powieści *W mieście rodzinnym* (1954) „przeciwstawił się sentymentalnym wersjom szczęśliwych powrotów z frontu, ukazując dramat zdemobilizowanego żołnierza”; w trzeciej powieści *Kira Georgiewna* (1961) „podjął problematykę współczesną”; ogłosił również dwa tomy esejów i reportaży *Pierwsza znajomość* (1960) i *Po obu stronach oceanu* (1962).

Brzmi to dość sucho (z wyjątkiem owej zagadkowej „problematyki współczesnej” tylko w *Kirze*, tak jakby nie współczesna była problematyka Stalingradu i demobilizacji) i daje słabe pojęcie o Niekrasowie, nawet zważywszy nieunikniony styl encyklopedyczny. W *okopach Stalingradu* można nazwać, przy zachowaniu wszystkich proporcji, *Na wschodzie bez zmian*: sowiecką wersją Remarque’a z okresu drugiej wojny światowej, naturalnie w tonacji utemperowanej patriotyzmem i „partyjnością”. Dla rosyjskich czytelników, nawykłych do socrealistycznej oleografii wojennej, pierwsza powieść Niekrasowa była rewelacją; była nią również dla czytelników zachodnich, jako upragniona jaskółka powojennych zmian na Wschodzie. Kiedy ukazała się druga po-

wieść Niekrasowa *W rodzinnym mieście*, witano już w nim rasowego pisarza o ustabilizowanej pozycji, a nie przypadkowego autora jednej książki. Pamiętam jak tę powieść wyrwali sobie nawzajem z rąk wydawcy włoscy (wyszła w końcu u dwóch wydawców równocześnie). Pamiętam też, że w parę lat później Niekrasow zjawił się we Włoszech. Nie próbowałem go zobaczyć, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa nie kwapiłby się zbyt do spotkania z polskim emigrantem. Był natomiast atrakcją rzymskich, „postępowych” saloników literackich. Zachwycali się nim Moravia, Carlo Levi, Pasolini, dziwiąc się jedynie od czasu do czasu „niewiarygodnemu wprost odcięciu pisarza sowieckiego od literatury światowej”: w Rzymie, na przykład, Niekrasow usłyszał po raz pierwszy w życiu nazwisko Kafki. Ale w sumie, jak się rzekło, wrażenie pozostawił doskonałe: prostoliniżny, skromny, szczery, skory do śmiechu i do wypitki, gotów po chwili rozmowy do wylewnych czułości, był żywym wcieleniem zachodniej sztancy „rosyjskiego człowieka” i „postępowej” sztancy „sowieckiego człowieka”.

Niezauważona albo niewystarczająco zauważona przeszła, na jawnej czy podpodskórnej fali „rozrachunkowej” po Dwudziestym Zjeździe, *Kira Georgiewna*. W niej właśnie Niekrasow „podjął problematykę współczesną”, czyli mówiąc językiem mniej encyklopedycznym, zajął się powrotem do normalnego życia w Moskwie sowieckiego poety i filmowca, „zrehabilitowanego” po dwudziestu latach łagrów i zesłania. Trzeciej powieści (a raczej długiej noweli) Niekrasowa daleko do poprzednich dwóch, lubię ją jednak za uczciwy wysiłek spojrzenia na „problematykę współczesną” od strony i oczami szczęśliwców, którzy uniknęli doświadczenia na własnej skórze „błędów i nadużyć kultu jednostki oraz naruszeń praworządności socjalistycznej”. Wadim wraca do żony, prosperującej jak pączek w maśle rzeźbiarki. Kira wyszła w międzyczasie powtórnie za mąż za grubo od siebie starszego profesora Akademii. I Wadim związał się na zesłaniu z inną kobietą, ma z nią dziecko. Uda się wskrzesić po latach dawną, młodzieńczą miłość? Starają się o to oboje, lecz na darmo. Wadim żyje tymi dwudziestoma latami, wciąż je rozpamiętuje, wciąż o nich opowiada. Kira, zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, zaklina go by przekreślił wczoraj i myślał tylko o jutrze. Nie, nie mogą zejść się na powrót, każde musi się wycofać: Kira do starego i chorego męża, Wadim do towarzyszkii zesłania i dziecka. Pod koniec powieści ma się uczucie powstania dwóch różnych narodów, dwóch odmiennych typów ludzkich: tych, których przeszłość batożyła; oraz tych, którym zaoszczędziła batów.

8 marca 1963 roku na głowę Niekrasowa spadła anatema „z wysokiej trybuny”. Chruszczow potępił jego tom *Po obu*

stronach oceanu za przeróżowiony obraz Zachodu i publicznie postawił groźne pytanie, czy pisarz o takiej atrofii „świadomości klasowej” jest godzien należeć dalej do partii. Jak na dany znak, zaczęła się nagonka z trybun średnich i pomniejszych. Jak od uderzenia noża, urwał się przedruk książek Niekrasowa. Ekskomunikę uchylił na krótko upadek Chruszczowa. W roku 1969 Niekrasow podpisał list zbiorowy w obronie sądnego pisarza ukraińskiego Czornowiła i wygłosił przemówienie z okazji ćwierćwiecza masakry Żydów w Babim Jarze. Partia wznowiła dochodzenie dyscyplinarne. Odebrano mu legitymację partyjną w roku 1972, niemal dokładnie w trzydziestą rocznicę jej wystawienia na stalingradzkim wzgórzu Mamaja, prażonym ogniem dział niemieckich. Motywacja: „Ośmiela się mieć własne poglądy, niezgodne z linią partii”.

Odtąd przestał istnieć jako pisarz *drukowany*. Rozsypano skład jego opowiadania w *Nowym Mire*. Wstrzymano dwutomową edycję jego dzieł w *Chudożestwiennoj Literaturze*. Anulowano w czasopismach artykuły o nim i recenzje z jego książek. Usunięto fragmenty jego utworów z antologii poświęconych drugiej wojnie światowej. Zawieszono produkcję filmu o Kijowie, do którego napisał scenariusz. Gdyby nie renta inwalidzka, musiałby złamać pióro.

17 stycznia 1974 roku rewizja w kijowskim mieszkaniu Niekrasowa. Przeprowadziło ją dziewięciu funkcjonariuszy KGB, trwała czterdzieści dwie godziny. Uwieszony łup zawierał: manuskrypty, książki, ilustrowane magazyny zagraniczne (w siedmiu workach); maszynę do pisania; aparat do nagrywania; dwa aparaty fotograficzne; dwa noże. Część łupu mu zwrócono, zatrzymując manuskrypty i wyjątkowo „trefne” książki (Cwietajewa, Bierdiajew, włoskie wydanie *Iwana Denisowicza*, komplet gazet niemieckich i ukraińskich z okresu bitwy stalingradzkiej, *Folwark zwierzęcy* Orwella).

W marcu list Niekrasowa *Przyjaciele wyjeżdżają* obiegał całą prasę światową. „Niedawno zęgnąłem Władimira Maksimowa, świetnego pisarza, człowieka który nie miał łatwego życia; pojechał do Francji. Przed nim zęgnąłem jednego z moich najlepszych przyjaciół, poetę Nauma Korżawina. Jeszcze wcześniej wyjechali Andriej Siniawskij, kompozytor Andriej Wołkonskij, reżyser Michaił Kalik, matematyk Jesienin-Wołpin... Wyrzucono Sołżenicyna, jak kasztelan wyrzuca za mury jednego ze swoich poddanych... Przyjaciele którzy wyjechali, przyjaciele którzy wyjeżdżają, przyjaciele którzy wyjadą... Nie usiłuję żadnego z nich przekonywać, gdyż wiem że każdy ma ważny powód do kroku tak decydującego i tragicznego. Nie usiłuję żadnego z nich przekonywać, chociaż od każdego wyjazdu coś pęka w moim sercu.

I nie tylko w moim sercu, lecz w sercu Rosji. Nie usiłuję żadnego z nich przekonywać, ale przy każdym odjeździe ocieram łzę... Komu to służy? Krajowi? Państwu? Kto zostanie? Ostatecznie agenci KGB nie piszą książek, nie malują obrazów, nie komponują symfonii”.

W pół roku później Niekrasow nie usiłował przekonywać samego siebie; ocierał łzę przy własnym odjeździe. Kiedy we wrześniu w paryskiej kawiarni notowałem rozmowę z Maksimowem dla *Kultury*, Niekrasow lądował w Szwajcarii. Stamtąd przyjechał do Francji, jakiś czas mieszkał u Siniawskich. Teraz mieszka sam z żoną w paryskim *banlieue*, blisko nas.



Spotykam go jednak w Londynie u Davida Floyda, podczas niedzielnej pauzy w angielskiej turze odczytowej. Ma dar szybkiego nawiązywania kontaktu, budzi zaufanie ostrożnością sądów, długo ważonych i wypranych z częstej u Rosjan skłonności do „nadrywu”. Kilka dni temu *Russkaja Mysl* i *Le Monde* ogłosiły jego list otwarty do profesora Snieżniewskiego, odpowiedzialnego za internowanie Leonida Pluszcza w psychiatrycznym szpitalu-więzieniu: Niekrasowowi, gdy o tym mówi, twardnieją rysy twarzy.

Po tylu latach (co sam z uśmiechem przyznaje) zachował psychologię *frontowika*. Z jednej strony, ułatwia nam to porozumienie: stalingradzki żołnierz rozjaśnia się na wiadomość, że biłem się pod Monte Cassino. Z drugiej, fakt że w przeciwieństwie do mnie uniknął eksploracji Archipelagu Gułag, uniemożliwia tę natychmiastową familiarność, jaką wykrzesują wspólne cierpienia byłych mieszkańców sowieckiego „wszechświata koncentracyjnego”.

Posuwam się za daleko, doszukując się na kartach *Kiry* opisu zjawiska „dwóch narodów”? I tak i nie. Na powierzchni zjawisko straciło wiele ze swej ostrości, zbyt jaskrawe i bolesne różnice przytarła trochę i przytępiła polityka „pełnego żołądka”. Ale pod powierzchnią sprawa nie jest ani jasna, ani prosta. Nikt, wyjąwszy ludzi pokroju Seriebriakowej, nie zadreżca się na serio dylematem czy Stalin był wielkim marksistą, czy wielkim zbrodniarzem: świadomość ogromnej zbrodni tkwi w ludzkich umysłach. Lecz życie toczy się naprzód, ofiary „kultu jednostki” wymierają, rosną pokolenia dla których tragedia tamtych czasów jest tylko prawdą zasłyszaną lub potajemnie czytana, kruszeje i moknie stopniowo ładunek wybuchowy gniewu. „Dwa narody” łączy jedno powszechne uczucie: strachu. I to jest na rękę rządzącym.

Gniew skierował się w inne łożysko i strach mniej go tu powściąga: Niekrasow ma na myśli przebudzenie się nacjonalizmów. Nie zna sytuacji w Środkowej Azji, ani powiedzmy w krajach bałtyckich, jego obserwacje odnoszą się do Ukrainy. Znowu, przy całej odwadze konfrontacji z rzeczywistością, widać jego pociąg do umiaru w formułowaniu ocen i wyciąganiu wniosków. Ukraińców na obczyźnie, niezależnie od podziałów na specyficzne orientacje czy obediencje polityczne, jednoczy hasło samostanowienia Ukrainy. Niekrasow popiera je w zasadzie, podobnie jak Maksimow w dialogu z Hawrylukiem na łamach miesięcznika *Suczasnist'*. Sęk w tym że droga do niepodległości jest procesem długim, że wymaga stworzenia własnej kierowniczej klasy politycznej, wyłonienia się bezspornych przywódców. Obecne zaś położenie na Ukrainie da się określić jako ferment instynktowny, ciągle jeszcze niezdolny do pełnej krystalizacji, i w większości wypadków połowiczny. Ojciec protestuje przeciw rusyfikacji i nie chce w urzędach rozmawiać po rosyjsku; ale syna posyła do szkół moskiewskich, bo uważa kijowskie czy charkowskie za gorsze i mniej przydatne w robieniu kariery. Najpierw więc, według Niekrasowa, Ukraińcy muszą rozegrać nieustępliwą bitwę na etapie pośrednim: realnej, a nie papierowej autonomii. Nie byłby Rosjaninem, gdyby nie pragnął aby ta bitwa przeciw orwellowskiemu przykazaniu „wszystkie narody ZSSR są równe, rosyjski jest równiejszy od innych” odbyła się w duchu wolnym od zaślepienia i fanatyzmu, w uznaniu i poszanowaniu walorów kultury rosyjskiej. Niekrasow pomaga sobie przykładem. Wysoko ceni i podziwia Dziubę i Moroza; lecz bliższy mu jest rozkochany w kulturze rosyjskiej Dziuba, niż odrzucający wszystko co rosyjskie Moroz.

Sołżenicyn w *Liście do przywódców sowieckich* przywiązuje dużą wagę do roli ideologii jako motoru rządzenia, nazywając *wierchuszkę* partyjną „niewolnikami marksizmu-leninizmu”. Sacharow, przeciwnie, kładzie nacisk na nagie i kurczowe trzymanie się władzy. Kto ma rację? Niekrasow wzrusza ramionami. Dla niego spór ma posmak dysputy scholastycznej. Rządzonym jest najzupełniej obojętne czy ideologia „nasadza” totalitarną władzę, czy totalitarna władza „nasadza” ideologię. Tak czy owak, rezultatem końcowym jest „pętla na szyi obywatela”. Skoro już o tym mowa: jak Niekrasow określiłby swój stosunek do Sołżenicyna i Sacharowa? „Uważam Sołżenicyna za wielkiego pisarza, ale często budzi we mnie gwałtowny sprzeciw; Sacharow jest dla mnie wzorem, nawet kiedy zdarza mi się z nim nie zgadzać”. Ilustracją „gwałtownego sprzeciwu”, zaprawioną goryczą, jest swoista klątwa jaką Sołżenicyn do spółki z Szafarewiczem obłożył pisarzy wyjeżdżających „dobrowolnie” z Rosji. „Wyjechał dobro-

wolnie Siniawskij (gorączkuje się Niekrasow), wyjechał dobrowolnie Maksimow, wyjechałem dobrowolnie ja? *Eto obidno i oskorbitielno*, to obrażające i krzywdzące”.

Od niedawna Niekrasow należy do komitetu redakcyjnego *Kontynentu*. Podoba mu się kwartalnik? Nie sądzi, że zanadto jest w nim przestrzegana tradycja starych literackich *tolstych żurnatów*, że szkoda dla wyrazu politycznego pisma? Zdaniem Niekrasowa, *Kontynent* zdał dobrze egzamin po dwóch pierwszych numerach i obrał słuszną drogę. Tradycyjny i wolny *tolstyy żurnał*, o przewadze materiału literackiego, jest koniecznością wychowawczą dla pisarza rosyjskiego *stamtąd*: dla pisarza wdrożonego przez lata do bezustannej „ekwilibrystyki”, do mniejszych czy większych „chytrości” i ustępstw w grze z cenzurą. W jakim stopniu nowy *samizdatowski* kwartalnik moskiewski *Dwudziesty Wiek*, założony i redagowany przez Miedwiediewa (z mutacjami zagranicznymi staraniem amsterdamskiej Fundacji Herzena i londyńskiej Fundacji Russella), będzie konkurencją lub przeciwwagą dla *Kontynentu* na gruncie „lojalnej opozycji socjalistycznej”? Niekrasow, po chwili namysłu: „Roy Miedwiediew jest osobiście uczciwym człowiekiem, ale w takim ustroju i uczciwi ludzie bywają często mimowolnym narzędziem w rękach władz; w każdym razie powstanie *Dwudziestego Wieku* jest dla władz wygodnym prezentem”.

Przechodzimy na tematy polskie. W Polsce coraz szerzej jest znany *Archipelag Gułag* Sołżenicyna, w wydaniu książkowym *Kultury* i w odcinkach nadawanych za zgodą *Kultury* przez RWE. Podobno nie pozostaje to bez wpływu na przełamanie zakorzenionej głęboko niechęci (żeby posłużyć się eufemizmem) do Rosjan. Ale leży między nami straszny cień Katynia. Niekrasow przerywa mi: „Nie mam wątpliwości czyim dziełem był Katyń!”. Nie, nie o to mi chodzi: nie miałem wątpliwości, że Niekrasow nie ma wątpliwości; trzeba to jednak głośno i publicznie powiedzieć, trzeba upiór Katynia wyegzorczyć narzeczcie jawnością ze stosunków polsko-rosyjskich, i powinni to chyba zrobić pisarze rosyjscy na emigracji. Niekrasow przytakuje i mówi jedno tylko słowo: „Bezwarunkowo”.

Ma do Polski szczerzy sentyment, był ranny na głównej ulicy Lublina, po wojnie zamierzał wielokrotnie odwiedzić licznych polskich przyjaciół, niestety na podróż do Polski odmawiano mu paszportu. Rozmawiamy o pogorszeniu się sytuacji gospodarczej w Polsce, doniesienia prasy zagranicznej nie cofają się przed nutką alarmistyczną (kilka dni temu pisano w *Neue Zürcher Zeitung* o „rekordowej polskiej inflacji”). Dla robotników polskich — wyjaśniam — grudzień 1970 r. był drogo zapłaconą demonstracją własnej siły; takich lekcji nie zapomina się długo, nie zapomi-

nają ich ani rządzeni, ani rządzący; jeśli w Polsce istnieje strach, to jest on równo rozłożony; strach rządzonych przed rodzimym aparatem przemocy i realną czy urojoną groźbą interwencji sowieckiej, strach rządzących przed determinacją robotniczą zahartowaną w grudniu. Na co Niekrasow: „Szczęśliwy naród, który w tym ustroju posiada jeszcze klasę robotniczą gotową gotową walczyć o swoje prawa. Główną cechą naszej jest, po przeszło półwieczu, zrezygnowana apatia. Mimo sporadycznych wybuchów w Nowoczerkasku czy Krzywym Rogu”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

W sowieckiej prasie

Nie zmieniając się w swej istocie oficjalna literatura, ukochana przez Państwo Sowietkie, okresowo zmienia głównego bohatera. Najbardziej sprytni pisarze, ze specjalnie czułym węchem, podchwytyją kogo należy kochać na danym etapie, a za nimi idą ławą mniej zręczni, ale nie mniej oddani. Minęło już szereg lat od chwili, kiedy miał miejsce kolejny przegląd pozytywnego bohatera. Znany sowiecki krytyk, Lew Anninskij, określił obecną sytuację w literaturze w sposób następujący: „Szczęśliwi wiejscy starcy odeszli w ślad za swymi poprzednikami, młodymi intelektualistami początku lat sześćdziesiątych. Dwa pokolenia romantyków utonęły w Lecie. Lata siedemdziesiąte to czas praktyków... Najmłodsze pokolenie pisarzy — zręczni, chłonni, ironiczni, doskonale wiedzący czego chcą, dobrze zabezpieczeni”. (*Litieraturnaja Gruzja*, nr 9 z 1974 r.).

Na miejsce literatury romantyków, to jest młodej prozy, a następnie prozy wiejskiej — przyszła literatura „praktyków”, ludzi czynu. I tworzą ją także ludzie czynu — pisarze, których tak świetnie określił Anninskij jako „giętkich”. Pisarze sowieccy zawsze byli „giętki”, ale dzisiaj giętkość, którą kiedyś trzeba było wypracowywać z pewnym trudem, u młodych jest jakby wrodzona. Wydaje się że w prawie 60-tym roku po rewolucji istnieje ona już w genach sowieckich pisarzy.

Sowieckie *best-seller*'y są znakomitym materiałem dla zapoznania się z kolejnym bohaterem pozytywnym, który zawsze jest odbiciem tego, czym w danej chwili zajmuje się państwo. Ostatnim *best-seller*'em jest powieść Olega Kuwajewa pt. „Terytorium”. Na zgniłym, rozpadającym się Zachodzie, przeżywającym

ciężki kryzys, powodzenie książki wyraża się dziesiątkami a w najlepszym razie setkami tysięcy egzemplarzy. W Związku sowieckim powieść Kuwajewa była najpierw opublikowana w piśmie *Nasz Sowremiennik* (nr 4 i 5 z 1974 r.) o nakładzie 110 tysięcy egzemplarzy, następnie ukazała się w *Roman Gaziecie* w dwóch milionach egzemplarzy, wreszcie w wydaniu książkowym, itd. Jeśli kogoś władza sowiecka pokocha, to nie żałuje dla niego ani papieru, ani pieniędzy.

„Terytorium” to normalna, zła powieść sowiecka. I nie byłoby powodu pisanie o niej, gdyby nie nowy bohater. Bohater bardzo dobrze i od dawna znany. „Terytorium” to tytuł powieści i miejsce jej akcji. „Terytorium” to daleka sowiecka Północ, ogromny obszar, w którym wydobywa się i poszukuje złota. Tematem powieści jest historia tych poszukiwań i odkrywanie nowych miejsc złotodajnych. Trzeba pokonywać liczne trudności, tym większe, że przez dziesięciolecia kierownicy poszukiwań i eksploatacji wykorzystywali zastępy więźniów. „Terytorium”, to obszar legendarnego „Dalstroju”, największej i prawdopodobnie najstraszniejszej z wysp Archipelagu GUŁag. „Dalstroj” występuje w powieści pod przejrzystym pseudonimem „Siewierstroj”.

Znaczenie „Terytorium” to portret głównego bohatera, Czynkowa kierownika jednego z zarządów „Siewierstroju”, starego bohatera pozytywnego. Główną jego cechą jest żelazna (bodajże lepiej byłoby powiedzieć stalowa!) wola, która porusza i kieruje wszystkimi na Terytorium. Jedną z postaci powieści tak wyraża swój zachwyt nad Czynkowem: „On jest wielki... ma cel. I rozum. I absolutnie nie ma żadnych przesądów, nazywanych etyką”. Wysyłając ekspedycję na poszukiwanie złota daje wskazówki jej kierownikowi: „Zobowiązuję was, abyście byli bezlitośni i mądrzy we wszystkim, co dotyczy złota... Wasze osobiste perspektywy zależą wyłącznie od tego złota”. Powodzenie lub fiasko poszukiwań przesądzi o dalszych losach kierownika ekspedycji. Czynkowni pracuje w myśl zasady: „Działaj, lub umrzyj”. Jest to zasadnicza cecha Czynkowa — po trupach do celu, do sukcesu.

Znaczenie powieści Olega Kuwajewa polega na tym, że po prawie dwudziestoletniej przerwie znów apoteozuje się silną jednostką, energicznego kierownika, patrzącego na podwładnych jak na nawóz. Bohater ten, ulubieniec okresu stalinowskiego, był, zdawałoby się, pochowany po zwycięstwie tzw. kolektywnego kierownictwa. Wydawałoby się, że czasy „żołnierzy Stalina”, dla których rozkaz był wystarczającą podstawą do wszystkich zbrodni (Aleksander Bek w „Nowoje Naznaczenije” dał jaskrawy wizerunek takiego kierownika) minęły. I oto znów widzimy ich ponowne pojawienie się w literaturze — „Terytorium” to tylko jeden z licznych dzisiaj utworów, w których szaleją silne jednostki sowieckich kierowników. Jest to, być może, jedna z najbardziej charakterystycznych osobliwości współczesnego społeczeństwa sowieckiego: rewolucja naukowo-techniczna i silny przywódca, wymagający bezwzględного wykonywania poleceń. Dąże-

nie do połączenia najnowszej techniki z knutem, które powstało w końcu lat dwudziestych, w epoce pierwszej pięciolatki i nigdy nie zniknęło, nawet wówczas, gdy energiczny przywódca przestał być ulubieńcem pisarzy sowieckich. Nie zniknęło i nie zniknie. Bowiem szkoła sowiecka już od najmłodszych lat wychowuje obywateli w odpowiednim kierunku.

W nr. 9 z 1974 roku *Nowyj Mir* zamieścił powieść Władimira Tendriakowa „Noc pośle wypuska”, która wywołała gorące spory wśród krytyków i czytelników. Powieść Kuwajewa sporów nie mogła wywołać, gdyż i sytuacja i postacie są tradycyjne, normalne. Powieść Tendriakowa jest niezwykła przez swoją prawdę. Pisarz z wielkim niepokojem stawia pytanie: kogo urodziliśmy, kogo wychowujemy?

Liternaja Gazieta (nr 1 z 1975) zamieściła artykuł Liubow Kabo „Egzamin jest zawsze przed nami”, w którym przedstawia poglądy licznych czytelników, piszących do redakcji po przeczytaniu powieści Tendriakowa „Noc po maturze”. Część tych listów pochodzi od prostych ludzi sowieckich: Tendriakow „w rzeczywistości nie wierzy w przyszłość, nie szanuje młodzieży”, „wstydzim się za autora”, pisarz „przynosi szkodę sowieckiej szkole”... W innych listach — stwierdza autor artykułu — znajdujemy pytanie: czy poziom moralny uczniów sowieckich nie jest zbyt niski? Czy nie za lekko zacierają się u nich granice między dobrem a złem? Autorów tych listów uderzył obraz pełnego nieprzygotowania moralnego uczniów sowieckich, przedstawiony przez Tendriakowa.

„Noc po maturze” pod wieloma względami jest nietypowa dla literatury sowieckiej. Wieczór maturalny — grupa dziewcząt i chłopców kończących szkołę średnią. Przemawiając w imieniu byłych uczniów, najlepsza uczenica, Juleczka, niespodziewanie dla wszystkich oskarża szkołę o niszczenie indywidualności, o kulturowanie przeciętności. Julia przyznaje się, że boi się opuścić szkołę, gdyż nic ją nie pasjonuje. Wystąpienie Juli zafrapowało i nauczycieli i abiturientów. Tendriakow organizuje następnie dwa seansy kolektywnej psychoanalizy: sześciu wykładowców i sześciu maturzystów — każda grupa w swoim kącie — próbują wyjaśnić kim są. Nauczyciele mówią jeden drugiemu prawdę o swojej pracy, przyznają się że dają dzieciom wiedzę niepotrzebną, nieużyteczną w życiu, ale za to zawsze „w najbardziej kategorycznej, prawie przymusowej formie”.

„Psychoanalityczny” seans maturzystów, którzy zdecydowali się mówić wszystko, co o sobie myślą, jest jakby wynikiem tego wychowania i wykształcenia, jakie otrzymali w szkole. I nie oto chodzi, że poznają gorzką prawdę, odkrywając zawiść, pychę, egoizm u innych i u siebie. I nie o to, że przeżywszy razem 10 lat z 17-tu, okazali się sobie obcymi. Najważniejsze jest to, że przyzwyczajony się do bezapelacyjnych i jednoznacznych ocen, do których ich wdraża szkoła — nie mając pojęcia o kryteriach moralnych, chłopcy i dziewczęta z okrutną bezwzględnością dzikusów niszczą cudzą godność i tracą własną.

Tendriakow stworzył sztuczny schemat, który pozwolił mu obnażyć wady szkoły sowieckiej: amoralność jej celów. Wychowanie, jakie daje szkoła powoduje, że jeden z członków Komsomołu nazywa na posiedzeniu Komsomołu drugiego, swego najbliższego przyjaciela „mięczakiem”, gdyż interesuje się on nie-tradycyjnym malarstwem. To właśnie wychowanie formuje młodzież w kierunku obłudy i hipokryzji. Z męczącego, psychoanalitycznego seansu wyłania się istota zagadnienia: strach przed opuszczeniem szkoły, strach przed wyjściem z ciepłego, bezpiecznego łona szkoły, gdzie dostaje się odpowiedzi — proste i jasne — na wszystkie pytania. Maturzyści podświadomie czują, że — być może — w życiu zetkną się z problemami, na które odpowiedź nie zawsze jest jasna. I ta konieczność szukania w przyszłości odpowiedzi, decyzji, niesłuchanie przeraża.

Szkoła sowiecka przygotowuje standartowych ludzi, bojących się nieznanego problemom, przyzwyczajonych do podporządkowywania się autorytetom i otrzymywania gotowych decyzji. Jeden z nauczycieli wspomina w czasie rozmowy o swym synie. Nie zdawszy egzaminu do Instytutu chłopiec z ulgą poszedł do wojska. „Wojsko mu odpowiadało tylko dlatego, że tam nie trzeba było się martwić o siebie: wstaje się na komendę, na komendę karmią, uczą, kładą spać. Każdy twój krok jest przewidziany, zapisany, regulaminowany — wygodnie”.

L. Kabo w artykule o powieści Tendriakowa przyznaje, że niepokój pisarza jest uzasadniony, że właśnie szkoła wymaga „poprawnego, powierzchownego zachowania się, właściwych poglądów, okrągłych zdań”. Są jednak podstawy do przypuszczenia, że nawet taka szkoła wydaje się władzom sowieckim zbyt „uduchowioną”. I rzeczywiście — wśród maturzystów, opisanych przez Tendriakowa, znalazła się dziewczyna, która po namyśle zadawała pytania. Coraz bardziej widocznie przejawia się tendencja by jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle jest możliwe, zubożyć szkołę duchowo.

Niedawno *Prawda*, z pewnym opóźnieniem, podkreśliła piątą rocznicę wydania w ZSSR rozporządzenia o organizacji zakładów nowego typu — średnich szkół zawodowo-technicznych (PTU). Głównym ich zadaniem — podano w zarządzeniu — jest przygotowywanie wykwalifikowanych robotników ze średnim wykształceniem. Powody stworzenia PTU są jasne: przysięgająca większość abiturientów szkół średnich stara się dostać na wyższe uczelnie. Z jednej strony prowadzi to do braku siły roboczej, a z drugiej strony do frustracji młodzieży, próbującej bez nadziei przebić się na uniwersytet. Wprowadzenie powszechnego średniego wykształcenia jeszcze bardziej zaostriżyło problem: tylko jeden z 8-10 abiturientów może liczyć na dostanie się na wyższą uczelnię. Ponieważ dyplom uniwersytecki — nawet jeśli później nie jest wykorzystywany — jest jedynym środkiem zrobienia kariery w społeczeństwie sowieckim — powstało niebezpieczeństwo zaistnienia ogromnej armii niezadowolonych, którzy

nie dostali się na uniwersytet i nie otrzymali wymarzonego dyplomu.

Utworzenie przed pięciu laty PTU było próbą rozwiązania tego problemu: po ukończeniu 8-miu klas uczniowie byli rozdzielani w dwóch kierunkach: część szła do 9-tej klasy, dla otrzymania następnie świadectwa ukończenia szkoły średniej, dającego prawo do ubiegania się o wstęp na uniwersytet, druga zaś była kierowana do PTU, a następnie do fabryk.

System ten istnieje niedawno, ale już dziś jest widoczne, że pozwala on realizować daleko idące cele. Przede wszystkim zmniejsza ilość abiturientów, dobijających się do drzwi wyższych uczelni. A także — co w ostatecznym obrachunku jest niemniej ważne — pozwala formować charakter przyszłych specjalistów z wyższym wykształceniem. List opublikowany w *Izwiestiach* (26 5. 74) doskonale charakteryzuje cechy i cel nowego systemu: „Na zebraniu w 76-tej szkole wyborgskiego rejonu dyrektorka zakomunikowała, że zgodnie z rozdzielnikiem rejonowego oddziału Oświaty, z trzech ósmych klas (119 osób) będzie utworzona tylko jedna klasa 9-ta (37 osób). Pozostałe 82 osoby powinny przejść do PTU. Jednocześnie podkreślono, że do liczby tych uczniów, których szkoła pozostawi u siebie w 9-tej klasie, trafią tylko ci, którzy mają oceny dobre i bardzo dobre, zachowują się wzorowo i są aktywnymi społecznikami”.

Jak widać z tego listu tylko 30 % uczniów będzie miało możliwość kontynuowania nauki. Najważniejsze są jednak kryteria ich wyboru: sukcesy w nauce, ale także — wzorowe zachowanie i „praca społeczna”. Łatwo sobie wyobrazić atmosferę w szkole — w której dzieci wiedzą, że pod koniec 8-mej klasy, będą ważyć się ich dalsze losy, aż do końca życia, i atmosferę w rodzinach sowieckich — gdzie wymaga się od dzieci przystosowywania się do wymagań szkoły, posłuszeństwa, kłamstwa, obłudy. W języku potocznym pojawił się nowy straszak: „Będziesz się źle uczył — pójdziesz do PTU”.

Kryteria — zdawałoby się obiektywne — selekcji, pozwalają po stworzeniu systemu PTU, kształtować skład przyszłych specjalistów z wyższym wykształceniem w myśl pragnień władzy. Wiadomo, że nauka w szkołach wiejskich jest poniżej poziomu szkół miejskich. Dlatego więc ze szkół wiejskich można kierować do PTU więcej ludzi niż z miejskich. Można będzie wreszcie na serio stworzyć dziedziczne klasy kierowników i wykonawców.

Uprawnienie państwa do określania kto, gdzie i ile może się uczyć stworzy za kilka lat szkołę, w której wątpliwości, nieporozumienia i problemy, opisane w powieści Tendriakowa, staną się niemożliwe. Będzie zrobiony jeszcze jeden krok w kierunku ostatecznego zwycięstwa komunizmu.

W prasie sowieckiej, jeśli się chce, można tracąc masę czasu na pokonanie najnudniejszych artykułów znaleźć ziarenka prawdziwej informacji o sytuacji w kraju. Znacznie prościej jednak, dla chcących zapoznać się z rzeczywistą sytuacją w ZSSR, jest

czytać artykuły o Chinach. W artykułach o sytuacji w Chinach autorzy sowieccy niezmiennie piszą o swoim życiu. W ogromnym artykule na temat nowej konstytucji Chin, opublikowanym w *Prawdzie* z 5. 2. br., Igor Aleksandrow (tym nazwiskiem są zawsze podpisywane artykuły z wytycznymi), zupełnie otwarcie mówi o „antydemokratyczności reżymu, który opiera się nie na narodzie, a na bagnietach”. Mowa tu co prawda o chińskim reżymie. Konferencja, która odbyła się w Moskwie 3-5. 2. br., poświęcona państwu i społeczeństwu chińskiemu, przedstawiła następujący obraz: „Brak artykułów pierwszej potrzeby, praktyczne nieistnienie urlopow i swobody poruszania się po kraju, zniszczenie rodziny przez deportację młodzieży do osiedli wiejskich, ograniczenie liczby urodzin, rozpowszechnienie korupcji, czarny rynek...”. Charakterystyka ta kończy się słowami: „Takie są cechy obecnej sytuacji w Chinach”. Jeśli idzie o Chiny, to niewiele o nich wiadomo. Nie trudno uwierzyć, że w republice Mao wszystko jest tak, jak przedstawiają pisma moskiewskie. Ale ponieważ o Związku Sowieckim wiadomo jest dzisiaj znacznie więcej, niż o Chinach, można z całą pewnością powiedzieć, że opis kraju, w którym nie ma artykułów pierwszej potrzeby i wolności, zrobiono w Moskwie z autopsji.



W poprzednim przeglądzie (*Kultura*, Nr 4 (1975), po zebraniu różnego rodzaju informacji pozwoliłem sobie na hipotezę o rosnącej ofensywie sowieckiej propagandy na Paryż, który znów stał się ośrodkiem kolejnej fali rosyjskich emigrantów. Nie przypuszczałem, że tak szybko ta hipoteza się potwierdzi.

10 kwietnia br., wychodząca w Paryżu gazeta *Russkaja Mysl*, zamieściła artykuł pod bardzo uczynnym tytułem „Druga literatura” i „Literacki proces w Rosji”. Artykuł jest podpisany inicjałami S.O. z dodaniem „Moskwa, luty 1975”. *Russkaja Mysl* zamieściła ten artykuł w rubryce „Materiały Samizdatu”. Mimo uczonego tytułu artykuł S.O. jest ordynarnym, brutalnym albo po prostu chamskim atakiem na dwóch pisarzy: Andrieja Siniawskiego i zmarłego Arkadija Bielinkowa. Obydwu oskarża się o to samo: że za mało i źle kochali swoją Ojczyznę-Matkę — Rosję. Spór o to jak należy kochać Rosję prowadzi się już od paruset lat i prawdopodobnie będzie on w przyszłości jeszcze przez tyleż lat prowadzony.

Głównym celem artykułu jest zamiar skłócenia ze sobą emigrantów — w pierwszym rzędzie A. Sołżenicyna i A. Siniawskiego. Drugą osobliwością jest wykorzystanie bez żenady dobrze znanych chwytów, zawsze używanych przez współpracowników KGB przy opracowywaniu tego rodzaju epistoł: w artykule S.O. znajdujemy bowiem (co zawsze zdumiewa sowieckich czytelników) doskonałą znajomość tego co robili i co myśleli atakowani, gdy byli całkowicie samotni. Znajdujemy również normalne zarzuty braku patriotyzmu a ponadto beczelne, osobiste oszczer-

stwa. Jak widzimy więc w artykule nie ma nic nowego. Jego trzecią cechą charakterystyczną jest łatwowierność redaktorów *Russkoj Mysli*, którzy zamieścili ten „opus”.

Adam KRUCZEK

Białoruskie rozbitcie - Trzecia siła

Życie Siergieja Chmary układało się barwnie ale nie łatwo, szczególnie w pierwszej połowie. Urodzony w Słonimskim w 1905 roku w prawosławnej rodzinie, w czasie wojny był ewakuowany do Rosji, gdzie przy jakiejś okazji dowiedział się od matki, że Białorusini i ich język różnią się od Rosjan i języka rosyjskiego. Wiadomość ta przesądziła o jego dalszym życiu.

Po powrocie do kraju, w latach 1922-24 młody Siergiej brał udział w partyzancko-dyweryyjnych oddziałach, popieranym i uzbrajanych przez rząd kowieński. Nie wyszło to jednak na jaw i nie ściągnęło represji. Dopiero w 1927 roku udział w ruchu Hromady zaprowadził go do polskiego więzienia. W ruchu tym Chmara wykazał dużą gorliwość oraz zdolności organizacyjne jak również talent literacki; na głównym procesie prokurator nazwał go „błędnym rycerzem Hromady” zaś współwięźniowie na Łukiszkach deklamowali jego wiersze i śpiewali pieśni, które weszły następnie do białoruskiego repertuaru rewolucyjnego i narodowego.

Po odbyciu kilkuletniego więzienia w Koronowie, Chmara był dalej czynny w białoruskim ruchu zarówno społeczno-politycznym jak literackim. Był objazdowym instruktorem Zarządu Głównego Towarzystwa Szkoły Białoruskiej oraz wojewódzkim sekretarzem na Polesie klubu sejmowego *Zmahanne*. Do literackiej grupy młodych poetów „Ruń”, gdzie przygotowywał pod tytułem *Sliacham Baračby* zbiór wierszy i opowiadań, które zaginęły w czasie aresztowania i więzienia, już nie wrócił. Nie czuł się po więzieniu „zielonym” i planował utworzenie nowej grupy literackiej młodych poetów z białoruskiej wsi pod nazwą *Mołodaja Uskałoś*. Po białorusku „*uskałoś*” jest następną po zielonej „runi” fazą rozwoju żyta, gdy na źdźbłach zaczynają pojawiać się kłosa. Wprawdzie po polsku się mówi, że „żyto się wykłosiło”, sądząc, że właściwszym tłumaczeniem na polski nazwy planowanej grupy będzie „Młoda Dojrzałość”. Inicjatorzy jej nawiązali kontakt z poetami polskimi z „Młodej Wsi”, lubelskiej „Kamieny” i lwowskich „Sygnałów”, jak również z „grupą Dembińskiego” w Wilnie i wszędzie spotkali się z przychylnym zainteresowaniem. Władze administracyjne były jednak innego zdania i w 1937 — na skutek

jakiegoś donosu czy prowokacji — wysłały Chmarę do Berezy. Kilkanaście miesięcy tam spędzonych go nie złamały. Po wyjściu zainicjował utworzenie „sielańskiego” funduszu wydawniczego, na który w ciągu paru miesięcy 240 osób w Słonimskim i Nowogródzkim wpłaciło po 50 groszy. Jako pierwszy z wydawców tego funduszu, w 1939 ukazał się zbiór poezji Chmary pod tyt. *Żurawlinym Sliacham*. Wkrótce po tym wybuchła wojna i... Chmara znów pojechał do Berezy.

Ponieważ jednak jego nazwisko jako działacza „Hromady” figurowało na sowieckich listach proskrypcyjnych, po „wyzwoleniu” zabrano go stamtąd do więzienia w Mińsku, gdzie przebył do czerwca 1941. Przeżył okupację niemiecką, pracując w białoruskiej Samopomocy w Słonimiu, i pod koniec wojny znalazł się w Niemczech. Na wiosnę 1945, w Berlinie, planował z kilku kolegami odtworzenie po wojnie zarówno politycznej *Hromady* jak literackiej *Uskałoś* i z tym by nie nazywać już jej „młoda” lecz „bojową”. Gdy, jako obywatele polscy, uniknęli przymusowej repatriacji po wojnie, realizacja tych planów stała się realna. Jeszcze w dipisowskich obozach w Niemczech zdecydowali w tym celu rozpocząć na Zachodzie wydawnictwo białoruskiego drukowanego pisma. Następnie rozjechali się do różnych części świata. Chmara z paru kolegami znalazł się w Kanadzie i osiedlił w Toronto. Istniało tam już założone przez „andersowców” *Zgurtawanne* Białorusinów w Kanadzie (ZBK), wydające powielany biuletyn pt. *Bełoruski Emigrant*. Propozycja nowoprzybyłych, by wydawać czasopismo drukowane, została przyjęta i 20 października 1949 wyszedł jego pierwszy numer pod dawnym tytułem biuletynu. Przez pewien czas współpraca obu grup układała się harmonijnie, jednakże już w lutym 1950 zarysowały się rozbieżności. Chodziło wówczas o założenie w Toronto białoruskiej cerkwi. Podobnie jak ich polscy koledzy, białoruscy „andersowcy” uważali się wówczas za politycznych emigrantów i liczyli na rychły powrót do kraju. Dlatego też ówczesny przewodniczący ZBK Akuła, na propozycję utworzenia w Toronto białoruskiej parafii i ogniska, miał powiedzieć, że nie jest to potrzebne. „Chmarowcy” byli odmiennego zdania rzekomo już wtedy licząc się z koniecznością długiego przebywania na obczyźnie. Wydaje się jednak, że istotną przyczyną różnicy zdań były rozdzwinki pomiędzy katolikami i prawosławnymi, gdyż projektowana parafia i świątynia miały być prawosławne.

Do definitywnego rozbitcia doszło w 1952, gdy do Kanady przyjechał W. Żuk-Hryszkiewicz i rozpoczął akcję na rzecz BNR i Prezydenta Abramczyka. „Chmarowcy”, uważając Abramczyka za „samozwańca” oraz „watykańskiego i polskiego agenta”, stanowczo się jej przeciwstawili. Na tym też tle zerwali z ZBK i 25 marca 1952 wydali pierwszy numer nowego miesięcznika *Bełoruski Gołas*, zaś niedługo potem utworzyli w Toronto prawosławną parafię i cerkiew, podległe niepodejrzanej o nieortodoksyjność posądzanej o tendencje unijne BAPC, lecz carogrodzkiemu Patriarsze i jego przedstawicielowi w Ameryce.

Próby zlikwidowania rozbitcia podejmowane następnie osobiście przez Abramczyka nie dały rezultatu. Płonną była również inicjatywa Chmary, aby po uprzednim formalnym rozwiązaniu zarówno BNR jak i BCR, utworzony został białoruski naczelny ośrodek na zasadach parytetowych z przedstawicieli obu tych grup oraz „trzeciej siły”, za jaką uważał swoich zwolenników w Ameryce oraz w Europie i Australii. Od przeszło 20 lat wydawany przez Chmarę w Toronto *Belaruski Gołas*¹ oraz utworzona w Kanadzie Federacja Wolnych Dziennikarzy Białoruskich są głównym ośrodkiem ostrej opozycji w stosunku do „samozwańców” BNR i BCR, rzekomo pozostających na obcym żołądź, dawniej ponoć watykańskim i polskim, a ostatnio watykańskim i amerykańskim. Nie czując się skrępowany przez na ogół przestrzegana przez inne białoruskie pisma konwencję, Chmara i jego *Głos* uzyskały opinię *enfant terrible*, zarówno ze względu na używanie nie zawsze parlamentarnego języka jak i ujawnianie lub przypominanie nie dla wszystkich przyjemnych faktów i dokumentów.

O ile stosunek Chmary do czynników występujących jako białoruskie władze państwowe na emigracji niewiele się różni od jego stanowiska przed wojną wobec władz polskich, jego stosunki z władzami kraju nowego osiedlenia ułożyły się raczej dobrze. W *Głosie* często pojawiają się fotografie redaktora oraz członków jego rodziny w towarzystwie wysokich kanadyjskich dygnitarzy, a ogromne, często całostronicowe, ogłoszenia władz kanadyjskich ułatwiają, jeśli nie umożliwiają, regularne ukazywanie się miesięcznika, zamieszczającego często interesujące osobiste wspomnienia Chmary oraz informacje jego korespondentów o stosunkach wśród Białorusinów w Anglii czy Australii. Mniej regularnie przy miesięczniku ukazywały się również różne dodatki: strona literacka „Sygnały”, dwujęzyczna anglo-białoruska fotorama „Białorusini w Kanadzie” oraz satyryczna „Małanka”, gdzie pod pseudonimem „Janka Piarun” Chmara uprawiał ostrą niekiedy satyrę. Wreszcie od roku 1962 Chmara wydaje również almanach literacki *Bajawaja Uskałoś*. Decyzja o jej wydawaniu zapadła jeszcze w Berlinie w 1945 roku i pierwsze pięć zeszytów wyszło w Niemczech i Nowym Jorku pod redakcją innych członków grupy. Dopiero w 1962 r. wydawnictwo zostało przeniesione do Toronto i jego redakcję objął Chmara. Ponieważ było to realizacją jego przedwojennych marzeń i planów, *Uskałoś* stała się wyraźnie „benjaminkiem” redaktora. Jak dotąd wydał jej osiem przeważnie 34-stronicowych estetycznych zeszytów (ostatni 14-ty we wrześniu 1974), zawierających głównie wiersze, oryginalne, często z krótkimi życiorysami — lub nekrologami —

1. *Byelorussian Voice — La Voix Bielarusienne*, 24 Tarlton Rd., Toronto, Canada M5P 2M4. *Belaruski niezależny czasapis*. Member of Canadian Ethnic Press Ass. Established in 1949. The only Byelorussian language newspaper in Canada. Cena numeru — „dobrowolny datek”, cena prenumeraty nie wskazana. Cena zeszytu *Bojewoj Uskałosi* również nie jest podana.

ich autorów, oraz tłumaczenia (m.in. Ważyka), ale także krótkie nowelki lub urywki prozy; zawsze interesujące wspomnienia Chmary; sporo epigramów; kronikę kulturalną i literacką oraz liczne ilustracje, głównie fotografie dzieł białoruskich malarzy, rzeźbiarzy i grafików, ale również scen z białoruskich oper, baletów i dramatów oraz występów amatorskich (*samadziejnaści*) zarówno na emigracji jak w kraju. W sumie, poza utworami około 30 członków grupy, wydrukowane zostały wiersze znacznie większej ilości osób, często bez ich wiedzy a tymbardziej zgody. Było to zgodne z zasadniczą deklaracją redakcji, ogłoszoną w zeszycie 10-tym w listopadzie 1970 roku, kilka wyjątków z której zilustrują ideologię oraz styl redaktora:

„Jedna jest tylko kultura białoruska... Nie ma kultury białoruskiej bez narodu i grupka emigrantów nie wytworzy żadnej odrębnej białoruskiej kultury, równie jak nie wytworzy jej i imperialistyczny wschodni tyran ze swymi janczarami. Kultura białoruska jest jedna i my jesteśmy częścią tej kultury.

Oto dlaczego na łamach naszego czasopisma, obok utworów emigracyjnych poetów i pisarzy, zamieszczamy utwory pisarzy BSSR oraz innych części naszej ojczyzny. Oto dlaczego oprócz obrazów białoruskich malarzy z Mińska uwzględniamy również malarzy Białorusinów z Wilna, Białegostoku, Paryża i Montrealu. Nasze chóry, artystów dramatycznych i kinowych, kompozytorów i śpiewaków. Bo oni wszyscy są częścią jednej naszej białoruskiej rodziny. Częścią tej samej białoruskiej kultury. Toteż daremne są usiłowania wrogich moey oddzielenia nas od ludu lub ludu od nas, jesteśmy bowiem częścią duszy tego ludu i bije w nas te same białoruskie serce”.

Nie mniej charakterystyczna i wymowna była pierwsza deklaracja nowej redakcji, ogłoszona w zeszycie 6-ym z marca 1962; mówiła m.in.:

„Myśl o wznowieniu almanachu *Bajawaja Uskałoś* nie opuszczała nas wszystkich w tych ciężkich latach, gdy każdy z nas musiał być nie tylko poetą czy pisarzem, lecz przede wszystkim politykiem i działaczem społecznym, jak również pracą rąk musiał zarabiać sobie na chleb; gdy trzeba było budować i umacniać punkty naszego oporu na obczyźnie aby zrzeszyć zagubione masy emigrantów, nie pozwolić im się roztopić w obcym środowisku i zachować je i ich dzieci dla rodzinnego kraju. Walczyć ze zdradą, z działalności sprzedających mafii, z góry zaprzędających Białoruś za przyszełe posady okupacyjnych wójtów oraz dzisiejsze judaszowskie srebrniki...

Musieliśmy dwoić się i troić. Nie starczało nam nocy by się wyspać, ani dnia by zarobić dodatkowy grosz, włożyć jeszcze jedną cegiełkę w budowę, załatać deficyt w wydawnictwie, w narodowej imprezie.

Pomimo to wszystko, żyliśmy i żyjemy! Nasz zespół literacki jest jedyną organizacją pisarzy na obczyźnie, jaka potrafiła się utrzymać na powierzchni z naszym białoruskim sztandarem rewolucyjnej ludowej demokracji, z niezłomną wiarą w lepsze jutro Białoruskiego Narodu oraz w tryumf Prawdy...”.

Wiktor SUKIENNICKI

Kronika ukraińska

Amerykańskiemu *tournée* sowieckiej delegacji duchownych pod przewodnictwem metropolity kijowskiego Filareta, towarzyszyło szereg manifestacji protestacyjnych organizowanych nieraz wspólnie przez ukraińskich katolików i prawosławnych. Mimo że trasę tego *raid'u* zmieniano i starano się utrzymać w tajemnicy, w wielu miastach (Passaic, N.J., Scranton, Pa., Nowym Jorku, Chicago i Bostonie) katolicy, prawosławni, a nawet protestanci występowali razem. W związku z wizytą sowieckiej delegacji w Chicago, na łamach *Chicago Daily News* ukazał się protest amerykańskich Ukraińców, podpisany łącznie przez przedstawicieli głównych wyznaniowych i świeckich stowarzyszeń. W oświadczeniu tym czytamy: „Ukraińska Cerkiew Prawosławna jest pozbawiona od przełomu XVII i XVIII wieku autonomii i poddana jest rusyfikacji. Idea ukraińskiej autokefalii prawosławnej, taka jaka istnieje w Gruzji, Polsce czy Czechosłowacji, jest wyklęta przez przywódców rosyjskich. Próby wskrzeszenia autonomicznej Cerkwi Ukraińskiej złamano dwukrotnie w 1930 i 1944 roku, a jej kler i wiernych zmuszono do akceptacji rosyjskiego prawosławia”. Po przypomnieniu martyrologii katolickiego Kościoła na Ukrainie, ogarniętego nową falą prześladowań w latach 1969-1972, oświadczenie to stwierdza że także „inne wspólnoty chrześcijańskie na Ukrainie znajdują się pod presją. Dotyczy to w szczególności niezależnej wspólnoty ewangelików-baptystów, znanych jako *inicjatywy*, podlegających represjom i stałym szykanom w wyznawaniu swej wiary. Przywódców tej wspólnoty wyznaniowej, pastorów i świeckich, skazano ostatnio na długoterminowe kary więzienia (m.in. ukraiński pastor baptysta, Jurij Vins, na 10 lat za „praktyki religijne bez upoważnienia”). Protest ten stwierdza dalej, że przybycie sowieckiej delegacji do USA stanowi „próbę eksploatacji ducha ekumenicznego wśród chrześcijan i dyskutowania 'odprężenia' dla czysto politycznych kalkulacji. Chodzi przede wszystkim o zmiękczenie naszej postawy wobec ZSSR i zamęcenie naszej opinii o prawdziwym stanie stosunków religijnych na terenie ZSSR. Sowieccy przedstawiciele duchowni są emisariuszami kontrolowanych przez państwo wyznaniowych organizmów i dlatego służą propagandowym celom sowieckim. Sowieccy goście są więc świadomymi lub nieświadomymi współnikami ateistycznego reżymu i narzędziem jego cynicznych i przewrotnych planów”.

W czasie pobytu delegacji w Nowym Jorku, ukraińskie stowarzyszenia zaplanowały 8 marca uroczyste nabożeństwo w katedrze św. Patryka (w obrządku grecko-kat.). W ostatniej chwili jednak zarząd katedry cofnął uprzednio wyrażoną zgodę. Polityka ponownie okazała się silniejsza! Zamiast nabożeństwa katolicy ukraińscy odśpiewali przed katedrą „*Boże wełkyj jedynyj*” i ze specjalnym naciskiem „...*nawit' mołytyś woroh ne dast'...*”, po czym w pochodzie udali się wzdłuż 5 avenue aż do 97 ulicy, do rosyjskiej cerkwi. W pochodzie niesiono liczne transparenty z napisami *murders in cassocs* (mordercy w sutannach), *russian clergy is KGB*, portrety zamordowanych biskupów, kobiety zaś w szarych fartuchach z numerami, przypominającymi łagry, niosły czarne trumny. Wielotysięczna manifestacja wyglądała bardzo dramatycznie. Demonstracje ukraińskie odbiły się głośnym echem w prasie, radiu i telewizji. Ukraińskie stowarzyszenie „*Za patriarchat*” wystosowało do generalnego sekretarza Krajowej Rady Kościołów Chrześcijańskich (instytucji afiliowanej do genewskiej Światowej Rady Ko-

ściołów) pismo podpisane przez prezesa Myrośława Nawroćkyja i sekretarza Leo D. Rudnytzky'ego, w którym czytamy m.in.: „Jesteśmy przeświadczeni, że Pan i Kierownictwo Rady zdajecie sobie sprawę z oczywistych dowodów powiązań tych osób (zaproszonych przez tę Radę kościelnych dygnitarzy z ZSSR) z eksterminacją protestanckich, katolickich i prawosławnych duchownych w okresie istnienia reżymu sowieckiego. List ten nie jest umotywowany wrogoscią do Pana i Krajowej Rady Kościołów, stanowi natomiast wyraz zaniepokojenia odnośnie waszych intencji i celów... Bylibyśmy wdzięczni za odpowiedź, która umożliwiłaby nam i naszym członkom zrozumienie dlaczego ten dialog jest prowadzony przez waszą organizację”. Odpowiedzi nie było.

D. M.

REDAKCJA TYGODNIKA POLSKIEGO
ogłasza subskrypcję na wydawnictwo

FUNDUSZU INWALIDÓW ARMII KRAJOWEJ
im. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego:

TERESA LEWANDOWSKA

MINUTA MILCZENIA

Artystycznie wydana teka gwaszy poświęconych pamięci tych, którzy walczyli, cierpieli, ginęli na ziemiach polskich w latach 1939-1945.

29 gwaszy z serii *Polski Walczącej*
oraz 3 gwasze z serii „Abel mój brat”.

Słowo wstępne i spis treści w językach polskim i angielskim.
Nakład ściśle ograniczony.

Całkowity dochód przeznaczony na pomoc inwalidom
Armii Krajowej i ich rodzinom w kraju.

Cena w przedpłacie wynosi tylko £ 6
(teka £ 5.50, opakowanie i przesyłka 50 p).

Zamówienia należy przysyłać do:

FUNDUSZU INWALIDÓW ARMII KRAJOWEJ,
42, EMPERORS GATE, LONDON, S.W.7.

wypełniając czeki i P.O. po polsku: „Fundusz Inwalidów A.K.”

W miarę napływania zamówień listy subskrybentów będą publikowane
w *Tygodniu Polskim*. Pełna lista subskrybentów będzie wydrukowana
w wydawnictwie.

Kraj

Inflacja w samą porę

Najpierw kilka przypomnień.

W pierwszej fazie arabskiego bojkotu naftowego w 1973 roku propaganda PRL, w ślad za sowiecką, podlegała i wychwalała Arabów za „efekty polityczno-psychologiczne uzyskane w walce z imperializmem”. Otrzeźwienie nadeszło dosłownie kilkanaście dni później. „Już” w marcu 1974 roku *Trybuna Ludu* przestrzegała: „...nie wolno zapomnieć, że ta polityka (tzn. wzrost cen na ropę naftową i inne surowce — A.G.) jest bronią obosieczną. W uprzywilejowanej sytuacji znajdują się kraje eksportujące ropę naftową”. Był to błogi czas, kiedy Moskwa jeszcze nie skorzystała ze swojego przywileju.

Podobną wolę zrobiła propaganda PRL, wraz z propagandą całego Komekonu, w związku z inflacją na Zachodzie, ale tym razem trwało to trochę dłużej. Czytelnicy prasy, słuchacze radia i telewizjowicze byli nieustannie karmieni wiadomościami o postępach inflacji w krajach zachodnich, uczonymi rozprawami o inflacji będącej od dawna „...nieodłącznym zjawiskiem współczesnej gospodarki kapitalistycznej”. Gazety roiły się od tekstów pełnych satysfakcji i zadufania, nieomalże pychy z ustroju socjalistycznego, odpornego na inflację. Otrzeźwienie następowało stopniowo, jak gdyby dawki. Najpierw pojawiły się artykuły dające wyraz zaskoczeniu, w kwietniu prasa zadawała już ostrożne lecz niespokojne pytania, „Czy wahania koniunkturalne w świecie kapitalistycznym mogą mieć wpływ na wzrost gospodarczy w krajach socjalistycznych?”. W czerwcu sam Jaroszewicz wyważył już do „...umiejętnego i skutecznego przezwyciężania trudności na rynku światowym, które rzutują także na naszą gospodarkę, zwłaszcza w dziedzinie cen i innych konsekwencji kryzysu paliwo-energetycznego”. Ale jeszcze nie mówiono prawdy, że inflacja nadejdzie także ze Wschodu!

Inflacja, arabski bojkot naftowy, wojna na Bliskim Wschodzie w 1967 roku, wszystkie te wydarzenia pokazały, jak marną,

prymitywną i krótkowzroczną propagandę uprawia się w Europie Wschodniej. Kraj, gdzie przemysł zarzuca rynek bublami, a handel nie potrafi „wyprognozować” na trzy miesiące z góry ile potrzeba będzie kieliszków na Boże Narodzenie, nie może mieć dobrej propagandy. Trzeba umieć ją robić tak samo, jak dobre buty, śliniaczki dla dzieci, obrabiarki, uszczelki. Ta skłonność do złej roboty nie była cechą narodową Polaków — buble w handlu i w propagandzie są obcego pochodzenia. Tymczasem inflacja jest już w Granadzie.

Kiedy to się zaczęło?

Napisałem że „już”, czyli od niedawna, w rzeczywistości inflacja nęka PRL od wielu lat. Istnieją różne sposoby tłumaczenia inflacji, jedni posługują się teorią ilościową pieniądza opierając się na ilości pieniądza w obiegu oraz jego szybkości transakcyjnej. Z punktu widzenia tej teorii inflacja (od łac. słowa *inflare*, co znaczy nadąć, wydymać) w okresie powojennym liczy sobie w Polsce tyleż lat, co... socjalizm. Bierze ona swoje źródła w bardzo dużej stopie inwestycji oraz w wysokich wydatkach budżetu państwa m.in. na cele militarne, na aparat policyjny, partyjny, administracyjny itd., co jest możliwe przy utrzymywaniu niskiej płacy realnej i relatywnie wyższej wydajności pracy. Tak właśnie działo się w Polsce przez ponad ćwierć wieku, ze skokami w górę i w dół.

Porównajmy dwie wielkości: dochód narodowy oraz ilość pieniądza w obiegu w ostatnich trzynastu latach.

Lata	% wzrostu	
	dochód narodowy	pieniądz w obiegu
1965/1960	34,9	64,0
1970/1965	33,0	52,0
1970/1960	80,2	150,0
1973/1960	239,5	418,0
1971/1970	8,1	15,3
1972/1971	10,2	17,7
1973/1972	11,6	44,6
1973/1970	32,9	66,9

Są to obliczenia (własne) wykonane na podstawie *Rocznika Statystycznego GUS 1974*, a więc *de facto* może być gorzej — wzrost dochodu narodowego mógł być raczej niższy, a przyrost pieniądza przeciwnie — wyższy... Przyjmując jednak te dane za prawdziwe, widać wyraźnie, że przyrost pieniądza w każdym okresie był znacznie szybszy, a szczególnie wysokie dysproporcje na niekorzyść dochodu narodowego przypadają na lata siedemdziesiąte, jeszcze zanim wybuchł kryzys naftowy i zanim w propagandzie PRL zaczęło się wytykać Zachodowi jego własną infla-

cję. W 1970 roku było w obiegu 75,5 mld złotych, w 1971 — 87,1 mld zł, w 1972 — 102 mld zł, w 1973 aż 126 mld zł, podczas gdy w 1960 roku było tylko 30,1 mld zł. Z tego punktu widzenia gospodarka PRL niczym absolutnie nie odróżnia się od krajów kapitalistycznych, dla których „inflacja jest nieodłącznym zjawiskiem”, w niektórych z nich relacje między przyrostem pieniądza w obiegu i wzrostem dochodu narodowego były dużo korzystniejsze. Nie chcę nużyć Czytelnika natłokiem liczb, chociaż chciałoby się, ale na podstawie oficjalnego rocznika gusowskiego łatwo wykazać, że wiele towarów i usług podrożało w okresach pięcioletnich o kilkadziesiąt procent, pomijając drastyczną podwyżkę cen dokonaną u schyłku kariery Gomułki.

Również za czasów Gierka trwa nieustający wzrost cen. Jedne podwyższane są oficjalnie, jak meble, farby, warzywa, wódka, kasza gryczana, spodnie chłopięce, półbuty męskie, rękawiczki damskie, froterka, blacha ocynkowana, gwoździe, szpadle, itd., itp. (wzrost cen we wszystkich przypadkach nastąpił w 1973 r.). Inne podwyżki są wynikiem manipulacji, zwyczajnych oszustw, pod pretekstem wprowadzania „nowości”, wyższych gatunków. Jest to polityka świadoma i konieczna, tak, konieczna, bowiem pod presją społeczną partia zmuszona jest podwyższać płace, a jednocześnie gospodarka nie jest w stanie zaspokoić potrzeb wynikających z większej ilości pieniądza na rynku. Prócz tego olbrzymie wydatki na cele inwestycyjne prowadzą do szybszego wzrostu liczby zatrudnionych w tych dziedzinach, w których produkcja nie jest przeznaczona na pokrycie potrzeb rynkowych. Czytelnikowi krajowemu wszystkie te sprawy są dobrze znane.

W tej sytuacji obarczanie inflacji zachodniej winą za własną jest nieuczciwym chwytym propagandowym, który przypomina znaną anegdotę o czterech plagach socjalizmu (zima, wiosna, lato, jesień). Kiedyś partia zwała swoje winy i błędy na „zimę stulecia” (w 1963 roku), potem na klęskę nieurodzaju — teraz na inflację, która przyszła z Zachodu.

Deficyt bilansu handlowego

Oczywiście, inflacja szaleje na świecie, jest to zjawisko nie wymagające już szerszego opisu: poprzez handel zagraniczny wywiera określony wpływ również na Polskę i inne kraje Komekonu. Do 1975 roku Polska odczuwała ten wpływ ostrzej niż inne kraje Komekonu, ponieważ na pierwsze lata siedemdziesiąte przypadł w PRL intensywny wzrost handlu zagranicznego, w szczególności z krajami zachodnimi. Jeszcze w roku 1970 udział krajów wysoko rozwiniętych w obrotach polskiego handlu zagranicznego wynosił tylko 27,1%, a w 1973 roku już 39,8%. Ten zwrot był wynikiem, z jednej strony, reorientacji Kremla wobec współpracy gospodarczej z Zachodem, z drugiej wywołany był olbrzymimi potrzebami przemysłu i rynku wewnętrznego PRL, których kraje Komekonu nie były w stanie zaspokoić. Ekipa

Gierka rozpaczliwie szukała dróg wyjścia z impasu gospodarczego, jaki odziedziczyła po ekipie Gomułki.

Przypadło to jednak na okres niepomyślny, kiedy ceny wielu towarów importowanych przez Polskę rosły szybciej niż ceny towarów eksportowanych. Nie było dziełem przypadku, że przemysł polski nie był w stanie sprostać „wyzwaniu inflacyjnemu”, właśnie w warunkach zaostrej konkurencji na rynkach światowych jego słabość stała się szczególnie widoczna. Import PRL rósł więc niejako w dwóch wymiarach: w jednostkach naturalnych — wobec pilnych potrzeb gospodarki; w wyrazie pieniężnym jeszcze szybciej — na skutek skoku cen. Jedna i ta sama obrabiarka sprowadzona z NRF kosztowała w 1973 roku więcej, niż trzy lata wcześniej. Ale w 1970 roku importowano ich tylko 181 sztuk, w 1973 roku... 1.113 sztuk. W imporcie narzędzi z NRF nastąpił piętnastokrotny wzrost, produktów naftowych i syntetycznych paliw — prawie osiem razy więcej, w maszynach i urządzeniach oraz materiałach dla przemysłu chemicznego — około... czterdzieści razy więcej itd.

Eksport nie nadążał za importem, pierwszy w omawianym okresie wzrósł (do krajów zachodnich) tylko o 34,2%, drugi zaś o 44,4%. Dla przykładu w 1970 roku w wyrobach przemysłu elektro-maszynowego istniała nadwyżka eksportu nad importem rzędu ok. 363 mln zł dewizowych, a w trzy lata później sytuacja się odwróciła — nadwyżka importu nad eksportem wyniosła 2,8 mld złotych dewizowych. Nawet w prasie krajowej można było spotkać stosunkowo liczne artykuły wykazujące, że ten wielki wzrost importu z Zachodu stał się jednak potężnym zastrzykiem dla przemysłu i dla zaopatrzenia ludności w towary konsumpcyjne, przede wszystkim wniósł do gospodarki PRL silny powiew modernizacji, nowoczesności i zachodniego *know-how*.

Nie trudno również wykazać, że mimo wpływu inflacji zachodniej, dzięki wzrostowi wymiany towarowej z Zachodem i dzięki... ujemnemu bilansowi handlowemu z tymi krajami, gospodarka polska przeżyła parę zgoła znośnych lat. Jeden z tygodników krajowych pisał w związku z tym w końcu grudnia ub. roku: „Gospodarka otwarta ma wieloraki wpływ dodatni na rozwój ekonomiczno-społeczny kraju. Pierwszym, może najbardziej i najwcześniej odczuwalnym wynikiem rozwiniętych kontaktów z zagranicą może być nadwyżka dochodu narodowego podzielonego nad wytworzonym. Oznacza to, że na cele spożycia i akumulację można rozdysponować więcej, aniżeli zostało w danym roku wytworzone”. Rzeczywiście, nadwyżka ta w 1973 roku wyniosła 53,1 miliardy złotych i stanowiła ok. 45% całego przyrostu dochodu narodowego wytworzonego między 1972 a 1973 r. Oznacza to nic innego jak tylko, że w omawianym okresie wymiana handlowa z Zachodem stanowiła istotną pomoc gospodarczą dla PRL.

Jest rzeczą oczywistą, że nadwyżka, z pomocą której ekipie Gierka udało się utrzymanie wysokiej dynamiki inwestycji i względnie wysokiej dynamiki spożycia, nie może być zjawiskiem

trwałym, powiększa bowiem zadłużenie Polski. Jak ujawnił niedawno minister finansów H. Kisiel w wywiadzie dla tygodnika *East-west Markets*, zadłużenie PRL wobec Zachodu wynosi już trzy miliardy dolarów (w 1970 roku miliard 750 mln.), co jest sumą wysoką, ale, ale... Również i tu trzeba wnieść nieco jasności do propagandy krajowej. Były lata, kiedy sama myśl o zaciągnięciu kredytu zachodniego uchodziła za herezję ideologiczną. Dopiero na początku lat siedemdziesiątych kraje Komekonu z pozwoleń Moskwy, dokonały ideologicznego odstępstwa, uznają bowiem, że bez takich kredytów modernizacja ich gospodarki i zmniejszenie luki technologicznej dzielącej od Zachodu staną się niemożliwe.

Wzrost zadłużenia PRL wobec Zachodu przypadł w szczególnym okresie, korzystnym dla... dłużników. Otóż ocenia się, że na skutek malejącej siły nabywczej walut zachodnich wartość polskiego zadłużenia obniżyła się o ca 25-30%! Oznacza to, że siła nabywcza pieniądza, jaką PRL zwróci tym krajom będzie miała o tyle procent niższą siłę nabywczą, a jeśli inflacja na Zachodzie jeszcze bardziej wzrośnie, zysk Polski będzie jeszcze wyższy. Potwierdził to nie byle kto, bo czołowy planista i ekonomista PRL, K. Secomski, w artykule opublikowanym w *Polityce* na początku stycznia br. stwierdzając: „Jeżeli weźmiemy przy tym pod uwagę, że szybko postępująca zwyżka cen i inne konsekwencje nateżających się procesów inflacyjnych składają się na istotną dewaluację salda zaciągniętych zobowiązań, to staje się w pełni jasne, że efektywność zrealizowanej polityki kredytowej, jej szerokie oddziaływanie na rozbudowę nowoczesnego potencjału przemysłowego oraz na stworzenie pokaźnej części bazy materialnej ułatwia spłatę podjętych zobowiązań oraz dynamikę rozwoju w latach następnych”. Taka a nie inna jest prawda o inflacji, tej „kapitalistycznej zarazie”, która miała tak fatalnie zaciążyć na gospodarce PRL. Gdyby w ostatnich czterech latach kraje zachodnie nie udzieliły Polsce kredytów i nie chciały kredytować nadwyżki polskiego importu nad eksportem, sytuacja gospodarcza w kraju stałaby się bardzo trudna.

Uderzenie przyszło ze Wschodu

Dotychczasowy rozwój gospodarczy Polski odbywał się przy minimalnym udziale paliw płynnych. „Być może — pisały *Sprawy Międzynarodowe* w październiku ub. roku — w wypadku większego udziału paliw płynnych w naszym bilansie paliwowym w latach ubiegłych polski rozwój gospodarczy byłby szybszy, niż to miało miejsce. Ale wówczas przeżywalibyśmy dzisiaj olbrzymie trudności, nie posiadając wystarczającej ilości własnego paliwa”. To prawda, rzecz jednak w tym, że Polska wchodzi właśnie w okres szybkiego wzrostu zużycia tych paliw, przede wszystkim ropy naftowej. W 1960 roku Polska importowała zaledwie 714 tys. ton tego surowca, w 1965 — 3.216 tys. ton,

w 1970 — 7.011 tys. ton, a w 1973 roku już 11,140 mln. ton. W tym ostatnim roku udział wartości ropy naftowej w imporcie polskim sięgał zaledwie trzech procent. Jeśli PRL chce przyspieszyć rozwój gospodarczy, będzie musiała nieproporcjonalnie szybko zwiększyć import ropy naftowej. Według szacunków krajowych import ten w ciągu najbliższych piętnastu lat musi osiągnąć minimum 60 mln. ton. Z tego to względu Polska winna stać się najzarliwszym przeciwnikiem polityki wzrostu cen na ropę naftową uprawianej przez kraje eksportujące i poprzec... USA w jej polityce przeciwstawiania się wspomnianym tendencjom.

Do końca ub. roku w krajach Komekonu panował błogi spokój, ponad 90% importowanej ropy pochodziło ze Związku Sowieckiego (w przypadku Polski nawet 95%), obowiązywał system cen przewartościowych co pięć lat. Jeszcze w lutym bież. roku *Życie Gospodarcze* stwierdzało z zadowoleniem: „Planowy charakter wymiany handlowej w RWPG, stałość kursów i cen nabrały w 1974 roku szczególnego znaczenia na tle nieustabilizowanej sytuacji ekonomicznej reszty świata”. A rok wcześniej sowiecki minister przemysłu naftowego W. Szaszyn zapewniał w *Nowych Czasach*, że wzrost wydobywania ropy naftowej w Związku Sowieckim „... pozwoli również w przyszłości zaspokajać prawie całkowicie zapotrzebowanie krajów socjalistycznych”.

Na początku bieżącego roku balon pękł, okazało się przede wszystkim, że Związek Sowiecki będzie miał coraz większe trudności z zaspokojeniem potrzeb krajów socjalistycznych na ropę naftową. Trzeba zatem nastawić się także na import z krajów arabskich i słono za to płacić. Po wtóre — i to jest najważniejsze — Kreml stracił cierpliwość i podyktował nową wyższą cenę przed upływem pięciolecia — o rok wcześniej. Zamiast 15 rubli za tonę „bratnie kraje” zapłaca w tym roku 36 rubli, czyli o 140% więcej. Tę hiobową wiadomość ujawnił Jaroszewicz na warszawskiej konferencji partyjnej na początku lutego bież. roku. Jak się okazuje Komitet Wykonawczy Komekonu postanowił, że ceny w obrotach między tymi krajami będą ustalone corocznie i na bazie średnich cen światowych z okresu poprzednich pięciu lat. Oznacza to, że ceny w obrotach handlowych między wspomnianymi krajami zostają „podwiązane” do cen rynku kapitalistycznego, o którym propaganda nie bez racji pisała, że znajduje się pod wpływem inflacji. Zachodni Niemiec *Der Spiegel* w marcowym numerze skwitował tę decyzję sarkastyczną uwagą: „Samolubstwo Rosjan było większe od obawy, że poprzez ściślejszy związek z cenami na rynkach światowych krajom Komekonu zaszczerpiony zostanie kapitalistyczny bakcyl inflacji”.

A zatem udział wartości ropy naftowej w imporcie polskim już w tym roku wzrośnie co najmniej dwukrotnie (zapewne do 7-8%) i potem z każdym rokiem będzie on coraz wyższy, ponieważ Polska potrzebować będzie coraz więcej ropy naftowej i, nie

daj Boże, również w wyniku dalszego wzrostu ceny na rynkach światowych. Tej „dziury” w handlu ze Związkiem Sowieckim Polska nie będzie miała czym załatać, ponieważ jednocześnie zachodzi potrzeba zwiększenia eksportu do krajów zachodnich dla zrównoważenia bilansu handlowego i również do Związku Sowieckiego, aby zrekomensować wyższy koszt ropy. I stąd popłoch w Polsce i w innych „bratnich krajach”, tym tłumaczyć należy raptowne wprowadzenie restrykcji w wielu dziedzinach gospodarki narodowej, także w zaopatrzeniu sklepów. Na tym ciemnym tle staje się rzeczą jeszcze smutniejszą, że prasa krajowa w serii artykułów musiała wziąć w obronę decyzję Związku Sowieckiego i uznać za... pozytywne zjawisko podwyższoną cenę ropy naftowej oraz zasadę corocznej jej zmiany. Ale to już inna historia.

Chmury nad gospodarką

Inflacja z Zachodu i ze Wschodu byłaby dla Polski mniej dotkliwa, gdyby posiadała przemysł sprawnie funkcjonujący i na wysokim poziomie technicznym i gdyby był on zarządzany w sposób racjonalny. Jest inaczej. W okresie 1972/1974 propaganda krajowa piała z zachwytem z osiągnięć gospodarczych, uzyskanych przez ekipę Gierka i bez żenady, jak to zwykle bywa, krytykowała błędy popełnione w okresach wcześniejszych. Mówiono nawet o „polskim cudzie gospodarczym”. Niewątpliwie Gierkowi udało się wykorzystać pewne najpłytsze rezerwy, co w połączeniu z kredytami i dużym importem z Zachodu przyniosło odczuwalną poprawę w wielu dziedzinach, w tym i w zaopatrzeniu sklepów.

Ale z miesiąca na miesiąc rosła nerwowość przywódców PRL połączona z utratą wiary w powodzenie połowicznych zmian w systemie zarządzania w przedsiębiorstwach. Z doświadczeń wiadomo, że barometrem sygnalizującym nastroje kierownictwa PRL były zawsze tzw. akcje. Tak działo się za czasów Gomułki, ten sam styl przejął Gierek. W ubiegłym roku przez przedsiębiorstwa przetoczyła się lawina akcji: wykrywania zapasów, ujawniania nadmiaru zatrudnionych, przeglądu poziomu konstrukcji — była nawet akcja pod hasłem „Niemowlę — też człowiek”... Na początku roku Gierek i Jaroszewicz wpadli na nowy pomysł, mianowicie do kilkuset najważniejszych przedsiębiorstw wysłali osobisty list: „W szczególności zwracamy się do Was o dodatkową produkcję stolarki otworowej...” W innych listach treść była ta sama, zmieniała się tylko prośba. Rozentuzjamentowane załogi dyskutowały nad listem, pisały odpowiedzi. Szał korespondencji „między dołami i górą” ogarnął także NRD, gdzie prasa codziennie drukuje listy załóg: „Drogi Towarzyszu Honecker! Przygotowujemy 200 tapczanów dwuosobowych i 240 jednoosobowych... Pragniemy w ten sposób przyczynić się do

podniesienia produkcji rynkowej”. Cóż, oni również posiadają te same kłopoty, co Polacy.

Nieoczekiwanie, z okazji święta kobiet, Jaroszewicz wygłosił przemówienie, w którym scharakteryzował sytuację gospodarczą kraju niezwykle dramatycznie. Niektóre przedsiębiorstwa nie wykonują planu produkcji, inne opóźniają realizację inwestycji... Z dużymi trudnościami boryka się transport... Istnieją odczuwalne braki w zaopatrzeniu kraju w modne i nowoczesne artykuły... Na skutek niekorzystnych warunków atmosferycznych zbiory rolnicze wypadły kiepsko... Partia czyni wysiłki, aby poprawić zaopatrzenie rynku w mięso, mleko, masło, twarogi... Partia jest „w... toku działań zmierzających do pełnego zagospodarowania podaży prosiąt”... DRAMAT! A w połowie marca ludzie, jak gdyby dowiedziawszy się dopiero od promiera, jak jest źle, zaczęli tu i ówdzie bródzić, ba, nawet demolować sklepy (np. w Warszawie) i, co jeszcze gorsze, w niektórych zakładach zaczęły się strajki.

Jaroszewicz uchylił rąbka prawdy w obawie, że uczyni to ulica. Główny cel był jednak inny, chodzi o stworzenie atmosfery, w której łatwiej będzie zarządzić zaciśnięcie pasa. Bowiem inflacja zachodnio-wschodnia stawia przed gospodarką polską wymagania, którym nie wiadomo, czy potrafi sprostać. A wątpliwość bierze się stąd, ponieważ w okresie trzydziestu lat nastąpiły trwałe uszkodzenia w mechanizmie gospodarczym, które teraz zaczynają się kumulować i oddziaływać ze wzmożoną siłą. Najogólniej biorąc, chodzi o marnotrawstwo na olbrzymią skalę, a zahamowanie tego procesu — bez radykalnych zmian politycznych i w koncepcjach ekonomicznych oraz w systemie zarządzania — staje się po prostu niemożliwe.

Dla zilustrowania tej sytuacji posłużę się kilkoma przykładami. Jak się szacuje, 6 % produkcji towarowej przemysłu jest dotkniętych wadami. Sześć procent — to średnia, gdzieś niedzie sięga on nawet trzydziestu! Z badań nad skutkami fluktuacji załóg wynika, że przemysł traci z tego powodu około 5 % produkcji globalnej! Z powodu przestarzałej technologii obrabiania metali, pod nożem obrabiarek skrawających prawie milion ton stali rocznie zamienia się w wióry! Oblicza się, że prace nie wymagające kwalifikacji inżynierskich pochłaniają inżynierom ponad 24 % ich budżetu pracy! Jak obliczono, na 10 godzin pracy samochodu ciężarowego tylko 5 godzin przypada na jazdę, reszta — na czekanie! W roku 1971 oceniano rezerwę w zdolnościach produkcyjnych przemysłu na 30 %, ponieważ albo za dużo zbudowano, albo zbyt słabo obsadzano drugą i trzecią zmianę pracy! W 1973 roku zapasy nagromadzone w gospodarce, głównie w przemyśle, osiągnęły wartość 87 % w stosunku do dochodu narodowego! Do tych smutnych zjawisk dorzućmy jeszcze jedno. Jak ogłosił w ub. roku czechosłowacki tygodnik *Hospodarskie Noviny*, aż trzy czwarte wyrobów przemysłu polskiego, czechosłowackiego i węgierskiego nie osiąga poziomu zachodniego!

Wszystkie wymienione wyżej objawy będą coraz silniejsze, albowiem ilościowemu wzrostowi gospodarczemu będzie towarzyszyć jeszcze szybszy wzrost marnotrawstwa. Wzrośnie bardzo kapitałochłonna produkcja stali — ale jej deficyt stanie się ostrzejszy. Liczba zatrudnionych będzie coraz wyższa — jednak koszty fluktuacji jeszcze większe. Dochód narodowy zostanie powiększony — ale z coraz większym trudem wobec rosnących kosztów zużycia materiałów i gromadzonych zapasów. I rosnąć będą trudności z importem, ponieważ coraz wyższe stają się bariery dla eksportu wyrobów przemysłu polskiego.

Czy jest jakieś wyjście, rada? Cóż, nic nowego nie wymyślę: niezbędna jest radykalna zmiana w całym systemie gospodarczym i w życiu politycznym, bez której żadna połowiczna „niby-reforma” niczego nie zmieni. I tego właśnie boi się Warszawa, Praga, Berlin Wschodni i oczywiście Moskwa. A przecież już Lenin wiedział, co robić. „Miejmy odwagę — pisać — odsłonić nasze bolączki, byśmy mogli bez obłudy, bez oficjalnego fałszu postawić diagnozę i należycie je wyleczyć”. Szkoda, że Lenin nie żyje, może nie byłoby lepiej, ale inaczej.

Antoni GUTOWSKI

„CZARNA LISTA” POLSKIEGO DZIENNIKARSTWA

Stefan Kisielewski w felietonie pt. „Poczet dziennikarzy polskich” (*Tygodnik Powszechny* z 6 kwietnia) pisze:

„A oto złota lista moich najulubieńszych dziennikarzy, którzy są dla mnie wzorem tak merytorycznym jak i stylistycznym i z których twórczością nigdy się nie rozstaję:

Albinowski Stanisław, Ambroziewicz Jerzy, Barecki Józef, Boniecka Ewa, Broniarek Andrzej, Broniarek Zygmunt, Bronisławski Jerzy, Czechowicz Ryszard, Dylawerski Edward, Filler Witold, Gottesman Gustaw, Gontarz Zysard, Górnicki Wiesław, Horodyński Dominik, Hofman Michał, Hrabyk Klaudiusz, Janiszewski Bartosz, Jaszński Grzegorz, Kąkol Kazimierz, Kłominek Andrzej, Kłodzińska Anna, Krasicki Ignacy, Koleczyński Janusz, Koroński Henryk, Kowalski Włodzimierz T., Lubiński Daniel, Machejek Władysław, Małczyński Karol, Menclewski Edmund, Morawski Zdzisław, Nencki Bolesław, Osiadacz Maria, Osmańczyk Edmund, Passent Daniel, Pastusiak Longin, Podkowiński Marian, Przetakiewicz Zygmunt, Putrament Jerzy, Rakowski Mieczysław T., Reutt Alina, Rogowski Wiesław, Sroga Alojzy, Sokorski Włodzimierz, Stefanowicz Janusz, Szczepański Maciej, Szewczyk Wilhelm, Szyndziatorz Karol, Wąsowicz Dumin Marek, Wiatr Jerzy W., Winiewicz Józef, Wilhelmi Janusz, Wójcicki Bolesław, Wojna Ryszard, Załuski Zbigniew, Żeromski Andrzej”.

Znakomita lista. Niewiele dodając (np. Walichnowski, Namiotkiewicz) są to wszystkie nazwiska, które w swoim czasie figurowały na czarnej liście *Kultury*.

Sprawy i troski

Raptularz londyński

Cios finansowy spadł na Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Zarząd Związku zebrał się pewnego dnia w Ognisku. Po wypiciu całej czarnej udano się na „półpiętro”, gdzie w zacisznej alkwie hall'u odbyło się formalne zebranie zarządu. Niestety, gdy po owocnych obradach zarząd schodził już do szatni, natknął się na kierownika Ogniska, który zręcznym ruchem wyciął prezesowi Związku rachuneczek na dwa funty za użycie lokalu. Dwa funty jak ząb wyrwał! Obiektywnie jednak trzeba przyznać, że jest to słusznna kara za brak rozeznania politycznego. Gdyby bowiem zarząd Związku rozeznanie takowe posiadał, to by wiedział, że na trzecim piętrze w tymże samym Ognisku jest przytulny, luksusowo wyposażony (26-calowy kolorowy telewizor najnowsze modelu), dwupokojowy lokalik, gdzie z powodzeniem można by odbyć nie tylko zebranie zarządu, czy walne zebranie całego związku, ale zagrać partyjkę brydża. Lokal należy do *Anglo-Polskiego Towarzystwa Konserwatywnego* i poza sympatyczną dyżurną gosposią regularnie świeci pustkami.

Frekwencji w lokalu nie należy uważać za wskaźnik politycznych sympatii emigracji polskiej. Kilka lat temu australijska Partia Pracy protestowała przeciwko imigracji Polaków — głównie z Anglii — gdyż uważała, że ich prawicowe nastawienie wpłynie na tradycyjną równowagę głównych partii w Australii. W Stanach Zjednoczonych analiza głosów, które dały zwycięstwo Nixonowi w wyborach prezydenckich wykazała zanik tradycyjnej lojalności dla demokratów wśród wyborców „etnicznych”; szczególnie dużo rozgłosu nabrały wtedy wystąpienia polskich przedstawicieli „milczącej większości”, domagających się „prawa i porządku”.

Teoretycznie Polacy w Anglii wykazują wielkie zróżnicowanie polityczne: chadecy, ludowcy, żydobijcy, socjaliści, wielbiciele Piłsudskiego — są to wszystko uznane partie „historyczne”, z których każda posiada w dodatku kilka odłamów. W sumie

daje to mikroskopijny zupełnie podział partyjno-ideologiczny. Ale to tylko teoria, marzenia o czasie przeszłym dokonanym, mało-pożyteczne *hobby*. Gdy chodzi o prawdziwą politykę, to przeciętny Polak jest przede wszystkim konserwatystą. Działa tu podstawowy fakt socjologiczny, że pierwsze pokolenie imigranckie jest szczególnie praworządne. A że na obecnym etapie lewica angielska nie charakteryzuje się zbyt dużą dbałością o prawo (o czym poniżej), więc wszyscy zwolennicy prawa muszą z konieczności orientować się na partię konserwatywną.

Warunki historyczne — mowa tu o historii 30-tu lat pobytu na wyspie, nie o przedwojennej prehistorii — również pchają polskiego brata na prawe skrzydło. Polak jest z reguły ciułaczem. W pewnym sensie taka filozofia życiowa została mu narzucona. Gdy 30 lat temu Polacy zaczęli zapuszczać korzenie w Anglii, nie dla nich były domy magistrackie. Kto chciał jako tako mieszkać, musiał orać i oszczędzać. Więc przez długie lata orali i oszczędzali. Dziś widzą, że owoc ich wysiłków jest zagrożony przez socjalistów, którzy stosują politykę nieodpłatnego wywłaszczenia, gdy tylko właściciel ośmieli się wziąć do swego domu lokatora. Jednocześnie samorządy — a pamiętajmy, że duża większość samorządów jest w rękach socjalistów — zliberalizowały zasady przydzielania mieszkań magistrackich i obecnie nowoprzybyły Murzyn czy Hindus otrzymuje takie mieszkanie stosunkowo łatwo. Nic dziwnego, że Polak, imigrant z 30-letnim stażem, czuje się oszukany, mianowicie oszukany przez socjalistów, i ciąży na prawo. Istnienie polskiego potencjału konserwatywnego jest dość dobrze znane. W najbardziej zwartym skupisku polskim — londyńskiej dzielnicy Ealing — konserwatywny poseł do Izby Gmin, George Young, publicznie przyznaje, że wybrany został polskimi głosami. Przepuszczalnie wszystkich polskich głosów w całej Anglii jest mniej, niż głosów w jednym okręgu wyborczym, ale w systemie angielskim absolutna ilość nie jest istotna. Przy wyrównanym stanie obu partii nawet kilkuset-głosowa grupa lokalna staje się poważną siłą. Nic więc dziwnego, że p. Young pilnie uczęszcza na wszystkie polskie imprezy na Ealingu. Również w kilku innych okręgach Polacy mogliby stać się „języczkiem u wagi”.

Anglo-Polskie Towarzystwo Konserwatywne próbuje aktywizować polski potencjał. Finansowane jest ono w dużej mierze przez bankiera Jacka Dellala, który mimo dużej fortuny osobistej nie mógł do tej pory zaspokoić swych ambicji politycznych na gruncie angielskim. Kilku angielskich członków Towarzystwa należy do grupy pani Thatcher, w związku z czym powstał dowcip, że niedawny wybór p. Thatcher na szefa partii konserwatywnej i ogólne przesunięcie na prawo całej partii dokonało się pod wpływem Polaków. Faktem jest, że głównego organizatora kampanii za wyborem p. Thatcher, komandora Airey Neave, łączą z Polakami bliskie stosunki, datujące się jeszcze z czasu wojny, a zwłaszcza od pobytu w słynnym obozie karnym dla jeńców-oficerów w Colditz. Sama p. Thatcher również nie zapomina

o Polakach. Już jako przewodnicząca partii znalazła czas, aby wpaść na przyjęcie organizowane przez Anglo-Polskie Towarzystwo Konserwatywne w Izbie Lordów z okazji 91-ych urodzin lorda Barnsby. Rok temu, jako minister oświaty, odwiedziła wystawę malarską w Polskiej YMCA.

O tym, jak bardzo na prawo stoją Polacy w Anglii, niech świadczy fakt, że wybór Margaret Thatcher i przesunięcie na prawo angielskiej partii konserwatywnej powitane zostało z zadowolaniem przez jednego z czołowych socjalistów polskich, Adama Pragiera, który w artykule „Program Polityczny Mrs. Thatcher” (*Dziennik Polski* z 19. 3. 75) stwierdził, że „program polityczny Margaret Thatcher jest taki właśnie, jaki dla Wielkiej Brytanii w dzisiejszych warunkach jest potrzebny”, gdyż „nie wystarczy to, co robił Heath”.

Paradoks polskiego socjalisty bardziej zachowawczego niż angielski konserwatysta można wytłumaczyć postępującym rozkładem politycznym Anglii. Demokracja angielska funkcjonowała świetnie, gdy nie była demokracją. W XVIII wieku, gdy Montesquieu i encyklopedyści zachwycali się nadzwyczajnością ustroju Anglii, głos w polityce miało zaledwie ok. 2% ludności tego kraju. Wiek XIX przynosi stopniowe poszerzenie uprawnień wyborczych, aż przy końcu ub. stulecia wszyscy dorośli mężczyźni są wyborcami. Motorem postępu jest w mniejszym stopniu idealizm, a w większym — interes rywalizujących grup, i bez tego posiadających pełne uprawnienia wyborcze, ale żonglujących hasłem demokracji dla zdobycia władzy. Daje się zaobserwować zjawisko, że na ogół dalszej demokratyzacji domaga się partia nie będąca w danym momencie u władzy. Nic więc dziwnego, że postępek w kierunku demokracji łączył się z niejakim rozluźnieniem moralności politycznej. Obserwator życia politycznego, lord Northumberland, notuje w 1908 roku: „Demokracja jest to taki stan, w jaki wpada kraj w momencie ostatecznego rozkładu”. Ostateczność, jak widać, bardzo względna. Jednakże od zakończenia drugiej wojny światowej proces rozkładu ulega przyspieszeniu. Nigdzie nie jest on tak widoczny jak w partii socjalistycznej (Labour Party). Wygląda na to, że w pościgu za chwilowym sukcesem wyborczym partia ta zrezygnowała z wszelkich zasad i ideałów. Jeszcze 10 lat temu premier z ramienia tej partii potrafił wystąpić w interesie całego narodu i oprzeć się strajkującym marynarzom, żądającym trzy-i-pół-procentowej podwyżki płac. W przemówieniu, które zyskało uznanie całego społeczeństwa, wymienił z nawiska dziesięciu komunizujących przywódców związku i odmówił kapitulacji. Dziś ten sam premier, rządzący z mandatu tej samej partii, bez słowa protestu godzi się na 30% podwyżki dla każdej grupy robotników, która grozi użyciem siły, choć postępowanie takie jest najoczywistej sprzeczne z interesem ogólnonarodowym i nawet wtedy, gdy żądania podwyżek czynione są z jawnym celem obalenia „systemu”.

Dziesięć lat temu rząd partii Pracy przynajmniej dyskutował możliwość dodatkowego obciążania bogaczy mieszkających w do-

mach miejskich (każde mieszkanie magistrackie subsydiowane jest przez podatników w wysokości ok. tysiąca funtów rocznie), np. poprzez pobieranie opłat za parking luksusowych samochodów, należących do takich lokatorów. Dziś mieszkania magistrackie są powszechnie uznane za formę łapówki za głosowanie na Partię Pracy i nikt wewnątrz tej partii nie odważy się nawet podnieść sprawy sprawiedliwości istniejącego systemu. Lekceważący stosunek Partii Pracy do prawa naturalnego ujawnia się w ignorowaniu przez nią prawa o kontraktach, bądź to w pracy, bądź w wynajmie domów, bądź nawet w wielu typach transakcji handlowych. Dlatego też skandale o łapownictwo, oszustwo itd. zazwyczaj łączą się z politykami socjalistycznymi. Propaganda Partii Pracy coraz bardziej zwraca się do kryminalnych instynktów w duszy człowieka. Wokół zaś partii coraz częściej widzi się ludzi o profilu kryminalnym. Gdy przed ostatnimi wyborami wybuchł skandal o łapownictwo, w który zamieszane były liczne osobistości z Partii Pracy, ankieta opinii publicznej zrobiona kilka dni później wykazała wzrost popularności tej partii. Możliwe, że działa tu pewna prawidłowość. Niedawno bawarski polityk, F. Strauss, wyraził zaniepokojenie z powodu wyraźnego wzrostu tendencji kryminalnych w niemieckiej partii socjal-demokratycznej. A ilu bohaterów Rewolucji Październikowej byłoby zwykłymi kryminalistami, gdyby żyli w normalnych czasach?

Rozkład dotknął nie tylko lewicę angielską, ale i jej przeciwnictwo — Partię konserwatywną. Tylko o ile tam jest to rozkład moralny, to tu — intelektualny. Wystarczy zobaczyć w telewizji tę opozycję Jej Królewskiej Mości, aby móc stwierdzić tam brak konceptu, infantyizm pomysłów, ubóstwo umysłowe. Główny myśliciel tej partii, sir Keith Joseph, głosi tezę, że konserwatyści nie mogą konkurować z socjalistami na polu ekonomicznym, więc powinni koncentrować się na dziedzinie moralnej. W związku z tym ogłosił kult świętości pewnej damy, która zyskała sobie sławę tym, że gdy tylko ktoś w radio czy telewizji powie tzw. brzydkie słowo, to ona łapie za telefon i protestuje. Wydawać by się mogło, że w epoce rozkwitu psychologii, psychiatrii, medycyny przeanalizowano wystarczająco kompleksy świętych, szczególnie świętych typu inkwizycyjnego, aby wiedzieć, są to maniacy, których powinno trzymać się pod kluczem, a nie dawać im władzy nad społeczeństwem. Można dodać, że kandydatura samego Josepha na szefa partii upadła z powodu jego niedopowiadającego Arabom pochodzenia. Stąd właśnie pani Thatcher. Pani ta ma wyjątkową wprost zdolność do niewypowiadania się na tematy polityczne, dzięki czemu nikt jej nic zarzucić nie może. We wspomnianym artykule „Program Mrs. Thatcher”, napisanym przez wybitnego polskiego socjalistę, są dane o królowej Elżbiecie I i królowej Wiktorii, ale nic o programie Mrs. Thatcher. Jak dotychczas historia notuje jedną wypowiedź pani premier *in spe*. Mianowicie jako lekarstwo na inflację zalecała ona robienie dużych zapasów, zwłaszcza puszek z żywnością.

Świadczy to, że pod względem kalibru umysłowego jest ona nieodrodną córą swej partii.

Były kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych, Hubert Humphrey powiedział: „Nie chcę kogoś, kto jest uczciwy a głupi; wolę rozgarniętego kanciarza”. Wygląda na to, że w obecnym schyłkowym stadium demokracji zachodniej pozostał nam już tylko taki wybór: uczciwi kretyni albo inteligentni oszuści. Panie i panowie, prosimy do urn!

P. EMIGRANT

P.S. Wspomniane powyżej przyjęcie Anglo-Polskich Konserwatystów dało angielskiej gazecie *The Sunday Times* okazję do popisania się takim oto kwiatuśkiem:

„Zaczyna zarysowywać się interesujące porozumienie pomiędzy Czerwonymi Polakami a uchodźcami w Londynie, w czym pomaga Anna, atrakcyjna absolwentka socjologii Uniwersytetu Warszawskiego w komunistycznej Polsce. Anna Bamewicz (jej mąż został w Polsce) otrzymała pozwolenie od polskiego rządu na wygnaniu na odwiedzenie Londynu, spotkanie Polaków i zbadanie archiwów Biblioteki Polskiej celem napisania tezy doktorskiej o 'Socjologii Polskiego Rządu i Społeczeństwa na Emigracji'. W ciągu bieżącego miesiąca (marca — przyp. P.E.) zauważono ją w wielu przyjęciach w Londynie. Jeden z naszych kolegów, zauważywszy ją w Izbie Lordów w towarzystwie pani Thatcher i in. oraz lorda Barnsby, 91-letniego przewodniczącego Komitetu Katyńskiego, pomyślał: Czyżby miłość i pokój miały zakwitnąć tej wiosny, 30 lat po Jałcie? ... Ten obiecujący ruch idzie w obu kierunkach — polski emigracyjny parlament na Kensingtonie reprezentuje każdą opinię polityczną łącznie z krańcową lewicą. Znam takich, którzy mają nadzieję na ugodę z komunistyczną Polską”.

Ten stek nonsensów to jeszcze jeden dowód upadku angielskiej myśli politycznej. *The Sunday Times* był kiedyś pismem poważnym i jeszcze dziś cieszy się w niektórych sferach taką opinią.



W styczniu br. odwiedził polski Londyn dr H. Czaja, poseł sejmu NRF z ramienia Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, członek Komisji Spraw Zagranicznych tegoż sejmu. Komunikat PAT'a mówi o wizycie złożonej przez dr. Czaję polskim czynnikom państwowym i o rozmowach na temat europejskiej konferencji bezpieczeństwa, prowadzonych w serdecznej atmosferze. Ponieważ mało kto wie o istnieniu PAT'a i jego komunikatów, szersza publiczność dowiedziała się o wizycie dopiero z prasy niemieckiej. Mianowicie wizyta ta stała się przedmiotem debaty w *Bundestagu* w dn. 27 lutego, której przebieg podały pisma niemieckie. W czasie debaty posłowie socjalistyczni zaatakowali wizytę, uważając, że może ona utrudnić rządowi NRF rozmowy z PRL.

Również i na emigracji słychać wiele głosów, krytykujących rozmowy z Niemcami w ogóle, a z dr. Czają w szczególności, gdyż jest on przewodniczącym niemieckiego związku uchodźców, co dla Polaków automatycznie wiąże się z rewizjonistycznym stanowiskiem w stosunku do granicy na Odrze i Nysie.

Wydaje się, że niemiecka krytyka wizyty i rozmów jest bardziej uzasadniona, niż emigracyjnopolska. Rozmowy z emigracją mogą rzeczywiście wywołać niezadowolenie władz polskich i obniżyć temperaturę w czasie rozmów NRF-PRL. Ale to nie powinno martwić emigracji polskiej. Krytyka „rozmów w ogóle” jest tylko uwarunkowanym odruchem, wywołanym wieloletnią presją propagandy komunistycznej. Z uwarunkowaniem tym czas już skończyć. Wolni ludzie mogą i powinni dążyć do rozmów, stosunków, kontaktów, wymiany myśli ze wszystkimi. Brak rozmów na pewno nie wpłynie na zmniejszenie rewizjonizmu niemieckiego, raczej wprost przeciwnie. Jeśli chodzi o meritum sprawy, to słusznie powiedział w debacie wiceminister spraw zagranicznych NRF, że co do granicy na Odrze-Nysie panuje zupełna jedność między rządem PRL, narodem polskim i emigracją.

P. E.

Stypendia «Polonia Technica»

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych, POLONIA TECHNICA, INC., uchwaliło przyznać na rok akademicki 1975/1976 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych i w Stanach Zjednoczonych A.P. i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka, chemia, ekonomia przemysłowa. Wysokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do końca czerwca 1975 roku podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna
36 West 56 St., Apt. 1 C
New York, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1975/1976 (wydział i rok studiów), oraz referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenie uczelni dla kandydatów, ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy, winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w roku 1974/1975.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną przed końcem lipca br.

ZA ZARZĄD „POLONIA TECHNICA, INC.”

W. J. KLIMKIEWICZ

Przewodniczący Komisji Stypendialnej

Książki

«My» i «Oni»

Moszkowicz jest polskim emigrantem, mieszka w Sztokholmie. Do narratora jego książki*, także polskiego emigranta w Sztokholmie, przyjeżdża poeta Nowina Świerk, z butelką wódki, z kraju:

„Upiór, pomyślałem, niech wraca, skąd przyszedł, niech wraca. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Niech wraca tam, do swoich flaczków, pierożków, narzekań, marzeń, niech mnie zostawi w spokoju, mnie skromnego, normalnego, wygolonego, bez marzeń, bez nienawiści, bez widoków na przyszłość, bo przecież wszystko już mam. Bałem się, że zostanie i nie będzie chciał wracać” (str. 8).

To prawda, co pisze Moszkowicz: „oni”, Polacy, „ludzie stamtąd” przyjeżdżają na Zachód, kupują majtki, chemikalia, dziwne części do maszyn lub nawet całe maszyny, zmuszają „nas” do załatwiania karkołomnych transakcji, potem sprzedają towar w Polsce z dziesięciokrotnym czy też stukrotnym zyskiem. To prawda, że ekonomicznie, a kto wie, może i nawet i psychicznie, najbardziej opłaca się być Polakiem, który od czasu do czasu wyjeżdża do Szwecji (Niemiec, Włoch, Austrii) z jakimś tam, legalnym lub przemyconym dolarem.

Rozumiem że Moszkowicz musiał taką książkę napisać i wydać własnym sumptem. Rozumiem Moszkowicza, rozumiem handlujących Polaków, wszystko rozumiem, rozumienie zabiera mi coraz więcej czasu. Rozumiem coraz więcej, z coraz większym niesmakiem.

Wszyscy na emigracji to znamy i opowiadamy sobie przy kielichu: najazdy „stamtąd”. Ale z tych opowieści, żywcem przeniesionych, powstać może tylko literatura obiegowo-satyryczna czyli żadna. Sytuacja „Polak za granicą” łąpie język i styl w po-

* Michał Moszkowicz, *Paradyz*, Sztokholm, 1975, nakładem autora, s. 156.

trask, w manierę pół-pijackiej konwencji narracyjnej, gdzie pointa goni pointę a charaktery różnią się zbyt drastycznie. Tak zaczyna się *Paradyz* Moszkowicza: chucpowaty Polak z kraju z jednej strony, skromny, ciężko pracujący emigrant — z drugiej. Widziało się i odwrotnie.

Ja tego języka — języka Moszkowicza — nie lubię i nie cenię. Przy stole także nie. Jest on częścią tej Polski, którą opuszczam z największą ulgą.

Paradyz jest opowieścią satyryczną, a więc przerysowaną. Ale owo przerysowanie — także w intencji autora — jest pozorem. Książka jest i ma być realistyczna. Ale na realistyczną jest za mało poważna.

Moszkowicz czytał i jakoś tam, po swojemu, zrozumiał Gombrowicza. Swój *Paradyz* ułożył w trzy schematy: własny, Nowiny Świerka (gombrowiczowski właśnie) i niejakiego Blumfelda. Historia Blumfelda jest opowieścią dla siebie: to jedyna postać, żyjąca także emocjonalnie, nie tylko stereotypem języka. Blumfeld chce wrócić do Polski, bodaj pod pozorem pogrzebu członka jakiejś rodziny, bo swojej dawno już nie ma. Wszystko znamy: fałszywe choroby, fałszywe śmierci, fałszywe pogrzeby, fałszywe rodziny. Ale Blumfeld jest sympatyczny. Blumfeld pochodzi z realistycznej książki ze smutnym początkiem, smutną treścią i smutnym zakończeniem: nie przyzwyczał się, przegrał, jak wróci, też się nie przyzwyczał.

Historia Nowiny Świerka toczy się do połowy książki znaną normalną koleją. Najpierw kradnie w domach towarowych, potem ambasada w osobie wicekonsula Trawki nie chce mu przedłużyć paszportu. Wierny zasadzie: „Tu zarabiasz, tam wydajesz, tu konsumujesz, tam sublimujesz!” Nowina wpada na pomysł białego małżeństwa ze Szwedką. Blumfeld płaci Nowinie dziesięć tysięcy koron (dużo!) za obietnicę pogrzebu w Polsce. Tę samą kwotę musi z kolei zapłacić Nowina z pozoru bezinteresownej białej narzeczonej. Kiedy Blumfeld zgłasza się po obiecany pogrzeb Nowina proponuje mu powrót do Polski na swoim, uprzednio sfałszowanym paszporcie. Co było do przewidzenia.

Natomiast nie było do przewidzenia, że Nowina Świerk nagle Moszkowiczowi wyrośnie na postać zdolną unieść pewną część racji przepisanych tutaj z Gombrowicza. W tej nowej wersji, najpierw po kramarsku cyniczny, staje się Nowina sympatycznie cyniczny. I jest to miła niespodzianka w tej niechlujnej, pełnej błędów ortograficznych, źle, ale z pasją napisanej książki.

Najbardziej razi: 1) arogancko wyrażona i powierchowona idea zafałszowania kultury polskiej — przede wszystkim poezji — wywiedziona z manii konspiracyjnej Polaków;

2) postać Przebóg-Wzlatały przepisana z parodii literackich szlachcica-kombatanta. Nie trzeba być szlachcicem-kombatantem, żeby bełkotać i fałszować dokumenty;

3) pretensje do Kołakowskiego i Herling-Grudzińskiego, że żyją na Zachodzie, a wymagają ideowości od Polaków w kraju;

4) uwaga na temat Różewicza, że jest nieprzekładalnym poetą.

Szkoda. Szkoda, bo pasja Moszkowicza jest wiele warta, choć streszcza się do oczywistości, że skoro gniazdo nasze pokalane, to każdy z nas, ptaków, cuchnie i sam gniazdo kalał. Ostatnie części *Paradyzu* są literacko nieoryginalne, ale sprawiedliwe i nieirytujące. Język przestaje służyć dowcipowi za wszelką cenę, zaczyna służyć myśli. Kończy się *Paradyz* rzewnie, mam nadzieję prawdziwie: rozpoznaniem siebie, w sobie polskiej skazy: minoderii, samozakłamania.

... pokoleniu ogarek

Książka Tarnawskiego* jest jakby summa i ekstraktem wszystkiego, co autor uznał za osobiste i ważne. Mówi o tym w notce do czytelnika:

„[...] Pamiętnik liryczny jest takim zbiorem wszystkiego, co w życiu moim mówięm 'na stronie', bądź istotnie tylko do siebie, bez myśli o druku, bądź całkiem przygodnie, nie wygładzając, a czasem nawet nie kończąc całości. [...]

Rzecz zrozumiała, że wczesne partie tego pamiętnika noszą jeszcze piętno swojej epoki, są w swoim wyrazie, jak to się mówi „młodopolskie”. Wszyscy jesteśmy uczuleni na tamten, obcy nam już ton: sam autor także. Niemniej i te początki przydadzą się w całości obrazu. Pod swoistą szatą czasu prawda jest moja” (str. 5).

Ale nie moja. I nie z powodu młodopolskiego piętna, nie dlatego że należymy do innych pokoleń. W każdym razie nie tylko dlatego. To kwestia innej wiary. Wit Tarnawski jest chrześcijaninem ze św. Franciszka, ja — jeśli w ogóle — raczej z tej przestrzeni między dwoma łożami.

Ale wiem także, że jest to książka pisana dla Polaków innego pokroju, innych doświadczeń życiowych, innych uczuciowo-literackich potrzeb. Więc jednak pokolenie: historia, gusta, geografia dróg życia.

Pierwsze utwory pochodzą z lat 1912-16, ostatni datowany w zbiorze — z roku 1970. Pierwsze utwory, te nieudane, przypominają bardzo złego Staffa (Staff nigdy nie był bardzo zły), udane — wczesnego Tuwima. Przepisuję ładną i bezpretensjonalną zwrotkę z wiersza bez tytułu:

„Rytmy, które niczego nie chcą, nic nie znaczą
I tylko mnie jak kolebki chwianie kołyszą,
Aż wszystko stanie się we mnie zapomnieniem i ciszą —
Oto jak się ucisza dzieci które grymaszą i płaczą”.

Drugi okres — Pierwsza wojna i wiek męski 1916-39 — przynosi naśladowanie Kasprowicza i rozgadana wrażliwość na pięk-

* Stanisław Wit Tarnawski, *Wyznania i aforyzmy*, Londyn, 1975, s. 187.

no przyrody. Trzeci — Druga wojna i obczyzna 1939-60 — dobry biały wiersz: „Polska 1939”.

Z wiekiem styl staje się bliższy przeżyciu autentycznemu, mniej literackim lekturom:

„Dziś nie ma już słów, nie ma prawie mnie. Jest jezioro o zachodzie. I tylko gdzieś obok — prosta bezimienna radość, że woda jest piękna o zachodzie. Jedyny po mnie ślad.

Póki nie przyjdzie dzień, gdy pozostanie już tylko jezioro”.

Prawdy Wita Tarnawskiego — przemijanie, żegnanie miejsc — nie są ani zwietrzałe ani banalne. Ale są to prawdy wyrażone w tonie nastrojowej gadatliwości. Jego styl jest grzeczny, retoryczno-klasyczny. Problematyka wczesnych utworów nie dotyczy, nie wzrusza. Na czym to wszystko polega? Czy tylko na tym, że w literaturze można nie trawić stylu, choć akceptuje się wartości. Czy może wartości nie istnieją odrębnie, poza literackim stylem. Czy autentyczność, szczerłość nie wytrzymują stylizacji, z wyjątkiem stylizacji, która jest rezultatem własnej, ale możliwej do narzucenia innym, filozofii. Jak stylizacje Gombrowicza na przykład. Wit Tarnawski czuje to. Píše o swojej babce:

„Ta kobieta, którą mniej niż kiedykolwiek mogłem posądzić o pozę rzuciła w tym dniu z odpowiednim patosem kilka retorycznych 'piękných' powiedzeń. Może więc nie zawsze patetyczność i ozdobność słów kłóci się ze szczerością uczuć?”.

Jakkolwiek by nie było, to zaprzeczone wyznanie jest cenne i więcej mówi od wielu kartek tej książki.

Bo ten pisarz jest mądrym, otwartym, doświadczonym człowiekiem: umie oddać Polsce co polskie, Europie co europejskie, co zawsze mile uderza, kiedy książka nadchodzi z Londynu. Ale w pięknym wspomnieniu o Ignacym Chrzanowskim ostatnie zdanie nas dzieli:

„W czystości tego stopu wyczuwało się jednak coś więcej jeszcze: nie samo przenikanie się, lecz zasadnicze pokrewieństwo kultur. Profesor był tak dobrym Europejczykiem również dlatego, że był Polakiem, członkiem narodu, który od tysiąca lat włączał się w krąg zachodniej wspólnoty przez Mieszkowy chrzest”. Podobnie mogłoby się kończyć przemówienie Gomułki.

Jest bowiem Wit Tarnawski w potrzasku polskiego banału, przy całej swojej mądrości i dobrej woli rozumienia. Ładne są jego wspomnienia pośmiertne o Zofii Bohdanowiczowej i Tadeuszu Wasilewskim. Psuje je jednak absolutna, jednakowa idealność opisywanych. Wit Tarnawski jest człowiekiem bez zółci. Wspomina tak, jakby tylko kochał i czcił. I dlatego niektóre jego wspomnienia i rozprawki o sztuce przypominają szkółkę niedzielną.

Ale jest to także wina jego religijności, dewocyjnego niemal katolicyzmu, przedwojennej polskości. Stąd na przykład teza, że Chrystusowi dobrze się żyło w schludnym Nazarecie, a ukrzyżowano go w brzydkiej (!), chciwej Jerozolimie. W tym kontekście

paneuropeizm pisarza wydaje się naiwny: sztuki i historii nie można wartościować wyłącznie przez pryzmat wiary.

„Myślowego pokłosa” nie lubię. Nie lubię aforyzmów, wydają mi się podejrzenie odwracalne, pisane w samoeuforii. Może dlatego w tym ładnym wskazaniu brakuje mi paru słów o trudnościach pośrodku:

„Niezakłamanie widzenie prawdy o sobie może mieć takie samo znaczenie dla moralnego rozwoju człowieka jak wola, która kształtuje charakter, a nawet może ją zastąpić. Człowiek, który zawsze wie, czy postąpił źle czy dobrze, przyzwyczajony do haniebnie, ma tylko dwie drogi do wyboru: cyniczną zgodę, albo rosnący protest” (str. 157).

Jest Wit Tarnawski pod tym także względem pisarzem starej daty: cnoty i dobra chciałby się dopatrzeć we wszystkim, nawet tam, gdzie już tylko ich zaprzeczenie. I jeszcze: umie wyczuć choroby współczesności i umie je nazwać. Nie umie wyczuć jej zdrowia, a w chorobach — poezji i rewolucyjności. Jak z tej samej generacji — Gombrowicz na przykład.

Janina KATZ-HEWETSON

Laur i ciemność

Znany czytelnikom *Kultury* ze swych artykułów w tym piśmie George Gömöri jest węgierskim slawistą, wykształconym w Budapeszcie i Oxfordzie i wykładającym obecnie w Cambridge. Zajmuje się od lat Norwidem, a ostatnio wydał poświęconą temu poecie monografię*, stanowiącą pierwszą tego rodzaju pozycję w języku angielskim. Jest to zwięzła, lecz nie powierzchowna prezentacja życia, twórczości i czasów Norwida, napisana tak jasno i informatywnie, że niełatwo byłoby wskazać podobnie czytelne wprowadzenie w problematykę norwidowską w polskiej literaturze przedmiotu; najbliższym odpowiednikiem jest chyba „Norwid” Zdzisława Łapińskiego (Znak, 1971). Gömöri przedstawił Norwida z niebałwochwalczym szacunkiem, podkreślając i trudności i nowatorstwo poety, analizę jego utworów zilustrował tłumaczeniami — częściowo własnymi — na angielski, na koniec przedstawił zarys tego, co uważa się za filozofię Norwida i omówił cierniową drogę tej twórczości ku polskiemu czytelnikowi. Z patriotycznego punktu widzenia jest to najlepsze wprowadzenie do Norwida dla cudzoziemców, jakiego można sobie życzyć; jeśli nie jest ono najlepsze *tout court* to z powodów, o których chce

* George Gömöri, *Cyprian Norwid*, Twayne's World Authors Series 305, New York, 1974, str. 162.

napisać poniżej i dla których to powodów nie ma też naprawdę dobrej monografii Norwida w języku polskim.

W tradycji norwidologicznej wytworzył się szablon, sięgający jeszcze Miriama, a sprowadzający się do następujących aksjomatów: Norwid był genialnym poetą i myślicielem; pisał tak oryginalnie i odkrywczo, że siłą rzeczy wyrażał się w sposób trudno zrozumiały; wyprzedził swą epokę na tyle, że współcześni z Mickiewiczem i Krasińskim włącznie byli zbyt ograniczeni, by go pojąć i docenić.

Aksjomaty te — oczywiste w wypadku neoromantyka Miriama, który wręczył Norwidowi laur głównie za ciemność, ale mniej oczywiste w czasach obecnych — należałoby moim zdaniem zrewidować, prowadzą bowiem do fałszywych wniosków i stwarzają fałszywą sytuację. Ta ostatnia polega na fakcie, że dla przeciętego polskiego czytelnika, mimo wpojonego mu przez szkołę przeświadczenia, że „wielkim poetą był i zachwyca” Norwid jest nieczytelny i zgoła odpychający. Poeta ten zajmuje w polskiej literaturze dwuznaczną pozycję szanowanego i cenionego krewnego, którego nikt lub prawie nikt z członków rodziny nie pragnie spotykać osobiście. Wrażenie to jest tak powszechne, że wszystkie prace norwidologiczne przybierają automatycznie ów nieszczerze entuzjastyczny ton, jakim tłumaczy się dzieciom, że tran jest smaczny.

Nieszczerość w nauce, choćby tylko o literaturze, jest nie tylko rzeczą nieprzystojną ale i błędem metodologicznym, który zawsze się mści — w wypadku Norwida błędną jego interpretacją. Sądzę, że rewizję „problemu Norwida” należałoby zacząć od pytania: dlaczego czyta się go tak trudno i bez tego wewnętrznego drżenia radości, jakie znamionuje dobrą sztukę? Uczciwa odpowiedź na to pytanie będzie chyba następująca: dlatego, że pierwszym i dominującym wrażeniem czytelnika Norwida jest wyraźnie maniackalny charakter jego tekstów. Mają one tę trudną do zdefiniowania lecz natychmiast wyczuwalną aurę, wspólną wszystkim, przeważnie „nakładem autora” wydawanym traktatom o konieczności moralnego odrodzenia ludzkości, o zbliżającym się końcu świata, o Atlantydzie, latających talerzach, języku międzynarodowym, makrobiotyce czy pulsowaniu wszechświata, na którą składa się nadmierna intensywność wywodów, obsesyjne przekonanie o własnej słuszności oraz *last but not least* styl językowy. Holenderski filozof Verhoeven, który zajął się analizą twórczości tego typu i którą proponuje nazywać parafilozofią, w swej poświęconej temu zagadnieniu książce (*Parafilosofen*, 1973) uważa właśnie styl za cechę wyróżniającą. Przytoczę krótki cytat:

„W porównaniu ze sposobem pisania bardziej rutynowanych, bardziej sceptycznych i mniej totalnie nastawionych autorów główną cechą stylu parafilozoficznego wydaje się niejasność. Nie należy przez to rozumieć samej trudności wypowiedzianych myśli. W tym sensie cała proza filozoficzna byłaby niejasna. [...] Dobry styl to jednolitość informacji. Niejasnym staje się styl,

gdy występują w nim elementy zmniejszające jednolitość i samodzielność tekstu. Mogą to być dziwaczne, niezwykle lub nowoutworzone wyrazy, ale także może to być jakieś naruszenie konstrukcji składniowej, jakaś uderzająca odbiegająca od normy pisownia czy układ graficzny, jakiś tryb rozkazujący, nakłaniający do działania albo też inne formy agitacji. Środki te nie są niejasne same przez się, lecz powodują niejasność przez naruszenie jednolitości, np. gdy występują w nadmiarze. Parafilozofowie chętnie używają własnej terminologii; jest ona źródłem obcych ciał w ich stylu, tworzących przerwy w komunikacji, w czasie których czytelnik zastanawia się nad anarchicznością formy, doborem słów autora lub nawet nad samą jego osobą. Tok myślenia zostaje przerwany i skierowany na coś innego.

Jest to nieomal laboratoryjny opis stylu Norwida, o którym Verhoeven zapewne nigdy nie słyszał; dorzucić by tu jeszcze należało zamiłowanie do fantastycznych etymologii, o którym mowa w dalszych partiach książki, a które jest tak charakterystyczne dla autora „Zwolona”.

Do czego zmierzam? Nie do pośmiertnego poniżania dla igraszki poety, którego przynębiająca biografia może budzić tylko współczucie. Nie twierdzę, że Norwid był klinicznym wariatem — niemniej był niewątpliwie psychopatą, tym, co po angielsku nazywa się *crank* i twierdzę, że spojrzenie na jego twórczość od tej strony może wiele jej zagadek wyjaśnić. Wyjaśnia na przykład wcale nie trywialny problem niechęci współczesnych, którzy w końcu nie byli głupcami i nawet bardziej od nas byli oswojeni z romantycznym rozwichrzeniem formy, wieszaniem i czterdzieści i cztery. Osobiście im się nie dziwię. Wiew szaleństwa, jaki wyczuwa się w utworach parafilozoficznych — a do takich należy większość utworów Norwida — wywołuje u normalnych czytelników instynktowny odruch obronny, ponieważ szaleństwo bywa zaraźliwe; wszyscy jesteśmy potencjalnymi wariatami, utrzymującymi chwiejną równowagę wśród chaosu i nadmiernie natarczywy głos z zewnątrz łącno może tę równowagę naruszyć. Akceptacja Norwida dzisiaj jest łatwiejsza, ponieważ został już włączony do tradycji myślowej i stał się normalnym „trudnym poetą”, która to pozycja stwarza pewien dystans bezpieczeństwa gwarantujący, że konfiguracje tej myśli nie przeniosą się niepostrzeżenie na czytelnika. Ale jeszcze i dziś sygnał ostrzegawczy „baczność, szaleństwo!” działa i stanowi przyczynę faktycznej — w odróżnieniu od oficjalnej — niepopularności tego poety.

Dalszym problemem, który również domaga się ponownego rozpatrzenia, jest sprawa treści. Norwid uchodzi za najbardziej intelektualnego z polskich poetów XIX wieku i prace o nim zakładają *a priori*, że za jego neologizmami, emfazą i splątana składnią kryje się koherentny system filozoficzny, który drogą analizy można i należy wydobyć na światło dzienne; jednak od tasiemcowych analiz rażąco odbija nikłość zdobytego materiału. Dostojeństwo sztuki, dostojeństwo człowieka, godność pracy (artystycznej przede wszystkim), konieczność przepojenia życia rozumem, pięknem i dobrocią, pogłębienia chrześcijaństwa i poczucia związku z historią — to mniej więcej wszystko. Na filo-

zofię to zanadto ogólnikowe i nie zanadto oryginalne, choć można oczywiście zapytać, czy zadaniem poezji jest uprawianie filozofii. Najbardziej filozoficznym poetą polskim był Asnyk — z wiadomym rezultatem. O czym jednak pisze Norwid?

Przeglądając norwidowskie *Vade-mecum* — jak tytuł wskazuje, programowe kompendium myśli poety — łatwo stwierdzić, że na treści filozoficzne we wspomnianym wyżej sensie przypada około jednej trzeciej utworów; pozostałe dwie trzecie stanowią skargę na nieczułość, wulgarność i głupotę świata oraz na własny los. Los ten był istotnie niewesoły, gdyż był losem proroka wołającego na puszczy.

Wszyscy prorocy wołają na puszczy i wszyscy wołają to samo: świat jest zły; powinien się nawrócić idąc za wskazaniem tych, którzy znają Prawdę; przyjdźcie do mnie, Prawda jest we mnie, płonie w mym wnętrzu, wyjaśni wam wszystko; ludzie, głupi ludzie, dlaczego mnie nie słuchacie?! Wnukowie wasi dopiero mnie pojmą!...

Sytuacja tragiczna. W takiej sytuacji i w takim stanie ducha nie ma czasu na systematyczny wykład Prawdy, wystarczają napomknięcia lub dorywcze ilustracje *en passant*, zresztą blask Prawdy jest tak oślepiający, że nie ma potrzeby formułować jej do końca i powoli sama Prawda staje się mniej interesująca niż towarzysząca jej wewnętrzna jasność, żar przekonania o zgłębieniu zagadki bytu, oślepiająca słuszność we wszystkim... I — oczywiście — gorycz z powodu ślepoty innych, ich niezrozumienia, szyderstwa — choć one właśnie są potwierdzeniem słuszności drogi, bo tak przyjmowane jest *od wiek wieka wszystko co zbudzi*, taki jest los prawdziwych Nauczycieli, *coś ty Atenom zrobił Sokratesie?!...* Zwolna główną treścią słów proroka staje się skarga na los samego proroka, skarga ilustrowana przykładami z historii i współczesności i okraszona ironią, ale ironią gorzką, skierowaną zawsze na zewnątrz, zawsze z góry, zawsze dźwięcząca słowami „nie wiedzą co czynią”. Prorok staje się Mesjaszem, albowiem ten świat jest tak urządzony, że Golgota zawsze stanowi konieczny etap Zmartwychwstania.

Myślę, że taka jest główna treść twórczości Norwida. Za jego ciemnymi słowami nie kryje się model świata z pretensją do obiektywności, lecz subiektywna, paranoiczna wizja upadłej ludzkości, traktującej nielicznych nosicieli Ideału, przede wszystkim samego Norwida. Ośrodkiem dzieła jest więc to, co można określić jako megalomanię funkcjonalną: nie dopuszczające żadnej wątpliwości poczucie własnej wielkości i ważności jako nosiciela Ideału. Sztuka jako „chorągiew na prac ludzkich wieży” to także miejsce artysty — jej chorążego, i to miejsce jest niepoślednie: *wszak sztuka to „najwyższe z rzemioł apostoła” i zarazem „najniższa modlitwa anioła”*. A więc naprawdę wysoko. Ze nie była to tylko poetycka przesada, że Norwid brał serio swoją wielkość świadczy sprawa jego nieszczęśliwej miłości do Marii Kalergis, ówczesnego odpowiednika Jacqueline Onassis: fakt, że jako goły i nieznany nikomu artysta nie miał u tej pani żadnych szans

wydawał mu się przez całe życie tak nienaturalny, że jeszcze na starość skorygował go symbolicznie (i uderzająco nienaturalnie) w „Pierścieniu wielkiej damy”.

Dla ilustracji twierdzenia, że naszkicowane tu podejście pozwala lepiej pojąć to, co Norwid mówi w swych utworach, wdam się w małą polemikę z interpretacją „Fortepianu Szopena” w książce Gömöriego (str. 55-59).

Gömöri wykłada strofę VII tego poematu (a zwłaszcza słowa: *O, Ty — Doskonałe-wypełnienie [...] Zawsze — zemści się na tobie: BRAK!... Piętnem globu tego — niedostatek: Dopełnienie?... go boli...*) jako wyraz przekonania Norwida, jakoby doskonałość w sztuce była niemożliwa i jakoby na świecie istniał rodzaj „konieczności niedoskonałości”, przejawiającej się nawet w dziełach Fidasza, Michała Anioła czy Chopina. Interpretacja ta wydaje mi się opaczna; sądzę, że Norwid odwołuje się w tym miejscu do swego mesjanizmu artystycznego, teorii koniecznego męczeństwa artysty. Świat mści się za swój „brak”, za własną niedoskonałość na artyście, który doskonałość osiągnął — niszczą go; Norwid chce tu powiedzieć, że przedwczesna śmierć Chopina była zemstą świata za jego doskonałość — wskazują na to i dalsze słowa o kłosie, który „*sama doskonałość rozmieta*”. Słowa o świecie: *On — rozpocząć woli / I woli wyrzucić wciąż przed się — zadatek!* są powiedziane z goryczą i ironią i oznaczają to, że świat zamiast kontemplować stworzoną już doskonałość i nagradzać jej twórców woli błahostki, a rzeczy dojrzałe odrzuca w przyszłość, która dopiero ten „zadatek” podniesie do właściwej ceny.

O tym, że Norwid pisząc o Chopinie myśli i o sobie świadczy strofa X, w której zrzucony na bruk fortepian porównany zostaje do „zacnej myśli człowieka”, która jest „poterana gniewami ludzi”; domyślać się też można, że obraz harpii rozdzierających Orfeusza, a z których każda wyje: „nie ja!...” to aluzja do obłudnie życzliwych, a naprawdę niszczących Norwida ludzi — zwłaszcza krytyków jego poezji.

Chopin w poemacie jest ilustracją regularności losu prawdziwego artysty i Norwid zwraca się do niego jako do towarzysza w nieszczęściu; także i słowa zakończenia „*Lecz Ty?... lecz ja?...*” skierowane są do Chopina, a nie do adresata dedykacji, Antoniego Czajkowskiego, jak przypuszcza Gömöri. W moim rozumieniu zakończenie poematu ma sens następujący: Zniszczenie Twego fortepianu i moje cierpienia to nic, bo ty, Chopinie, i ja wiemy, że jest to koniecznym biegiem rzeczy (do tego odnoszą się słowa „*uderzmy w sądne pień*”; „sądne” ma tu znaczenie „osądzające rzecz właściwie”, „rozumiejące”, nie zaś: „ekspiacyjne” jak zakłada Gömöri, tłumacząc „*a song of atonement*”); każdy Ideał musi zostać zszargany — „sięgnąć bruku” — po to, by zacząć drogę wzwyż, ku swemu tryumfowi w przyszłości. Apostrofa do „późnego wnuka”, który będzie mógł cieszyć się ziszczaniem Ideału świadczy jeszcze raz, że nosicielami Ideału są zarówno Chopin jak i Norwid, por. „*syn minie pismo, lecz*

ty *spomnisz wnuku*" w autobiograficznym „Klaskaniem mając obrzękę prawice...”.

Rozwiodłem się nad tym nie dla krytykowania pracy Gömöriego, gdyż jest to tylko drobny przykład mylnej interpretacji, jakich wiele w całej literaturze norwidologicznej i świadczy jedynie o tym, że podejście do tego poety jako filozofa i historiozofa, którym nie był, łatwo prowadzi do niezrozumienia.

Kim był Norwid? Był nieszczęśliwym człowiekiem, walczącym z nędzą, pechem i własnym szaleństwem i tworzącym własny świat, jedyny w jakim mógł znaleźć nieco pociechy i ukojenia. Rozumiejąc to, rozumie się go lepiej. Fałszywy pietyzm jest najgorszą przysługą, gdyż pogłębia izolację i pustkę, jakich aż nadto zaznał za życia. Traktowanie dzieła Norwida jako skarbnicy powiązanych logicznie mądrości czyni z tego dzieła karykaturę i odstręczające dziwactwo — gdy tymczasem w czytanie się w nie jako w zapis złudzeń, marzeń i obsesji człowieka nie dającego rady ani sobie ani światu może uczynić je tym, do czego daremnie nieraz pretendowało: poezją.

M. BROŃSKI

Świat niewolnictwa i jego literatura

Nie dość uważnemu czytelnikowi może się wydawać, że książka Hellera* ukazała się odrobinę za późno. Dzięki „Archipelagowi GUŁag” wszyscy już wiedzą — naturalnie ci, którym nie zależy na tym, żeby nadal nie wiedzieć — iż ludobójcza machina sowieckich obozów koncentracyjnych wprawiona została w ruch bynajmniej nie w dwudziestolecie i nie w dziesięciolecie „rewolucji socjalistycznej” w Rosji, lecz w miodowych miesiącach, ba, nieomal tygodniach „władzy proletariatu”. Heller stwierdza to również — ale choć o zależności jego badań od „Archipelagu” nie może być mowy, książka trafia do naszych rąk po Sołżenicynie i to, co stwierdza, przestało już ekscytować nowością.

A jednak ów nie dość uważny czytelnik nie będzie miał racji. Będzie ją miał czytelnik uważniejszy, który nie sprowadzi części historycznej „Świata obozów koncentracyjnych” do jej jednozdaniowego streszczenia. Ten, posuwając się zaznaczonym przez Hellera tropem, wkroczy we właściwą temu autorowi dziedzinę realiów społecznych i zobaczy, jak na ich gruncie kształtowały się idee, obsesje, sposoby myślenia, jak te z kolei stawały się realiami politycznymi, organizacyjnymi, prawnymi, po czym wzajemnie

* *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka*, Instytut Literacki, Paryż, 1974. Str. 324 (Cena: F. 30).

wpływały na sytuację społeczną i zestalały się wreszcie — jakże szybko! — w układ zamknięty, w mordercze perpetuum mobile komunizmu. Dzieło Sołżenicyna jest patetycznym aktem oskarżenia, osądzającego potworny świat, w którym pisarz urodził się, żył i cierpiał, z pozycji humanizmu, nadrzędnej idei moralnej, prawa boskiego i człowieczego. Praca Hellera jest próbą przyjrzenia się, jak, z czego, na jakim gruncie świat ów powstawał, próbą uchwycenia powszednich, praktycznych procesów, z których się wyłonił, prześledzenia jego napędowej ideologii *in statu nascendi*. Czy po wielkim akcie oskarżenia — i obok niego — potrzebny jest jeszcze powściągliwy opis, dokumentacja i analiza społeczna, uważny czytelnik wnet się przekona.

Oto jedno z prostych odkryć Hellera: po rewolucji bolszewickiej robotnicy przestali pracować. Wodzów rewolucji zaskoczyło to i wprawiło w nieopisany gniew. Jeden z wybitnych wówczas działaczy, Aleksy Gastiew, oświadczył w przemówieniu na zjeździe terenowych rad gospodarczych: „Właściwie mamy teraz do czynienia z olbrzymim, milionogłowym sabotażem. Bawią mnie rozmówki na temat sabotażu burżuazyjnego, to wytykanie palcami wystraszonego mieszczucha jako sabotażysty. Mamy do czynienia z sabotażem narodowym, ludowym, proletariackim”. Takich wypowiedzi (na przykład Tomskiego, przewodniczącego Związków Zawodowych, który nawymyślał robotnikom od pasożytów!) Heller cytuje więcej, po czym z całkowitą słusznością konkluduje: „A zatem już w maju 1918 (data przemówienia Gastiewa) istniał konflikt między państwem, mieniącym się robotniczym — a klasą robotniczą”. I nieco dalej, po przytoczeniu danych liczbowych o porewolucyjnym głodzie i rozprzeżeniu: „Było to niejako błędne koło — robotnicy produkowali mało, bo głodowali, ale niska wydajność pracy nie pozwalała polepszyć sytuacji gospodarczej kraju i klasy robotniczej”. Bolszewicy nie byli w stanie stawić czoła tej sytuacji, którą sami jednak wywołali.

Tu krótka dygresja w związku z cytowanym przed chwilą Gastiewem. Ten stary działacz partyjny, niegdyś więzień caratu, w latach 1920-1938 dyrektor Centralnego Instytutu Pracy w Moskwie, był również poetą. W wydanej kilka lat temu w Polsce antologii nowoczesnej poezji rosyjskiej są również jego wiersze, między innymi fragmenty poematu „Plik rozkazów”, z apokaliptyczną wizją przyszłej rewolucji światowej, dyrygowanej z jednego ośrodka dyspozycyjnego. Przepiszmy parę wymownych fragmentów w przekładzie Andrzeja Mandaliana:

*Do szeregu — czterdzieści tysięcy!
Równaj, w prawo patrz na manometr.
Smugo-żeliwo-spojrzenia.
Dla sprawdzenia szeregu — salwa.
Strzał wzdłuż.
Pociskolot — o dziesięć milimetrów od głów.
Trzydzieści głów zdmuchnięto — spisać na straty.*

.....
Paczka z dwudziestu dzielnic.

Pod prasę.

Zgnieść w równoległobok.

Scisnąć do 30 stopni.

Pod gąsieniczne koła.

Dzielnico-czołg.

Palić promieniami Y.

Uważnie tlenić zaplecza.

Azotować przeciwnika.

Prac mózgi.

Pauza.

Wyłączyć orientację przestrzenną.

Włączyć na tłumy mrok.

Zaporę z ludzi pod zaporę z ludzi.

Zameldować: sześćset miast — wytrzymało próbę.

Dwadzieścia miast — nie oddycha. Spisać na straty.

Towarzysze partyjni Gastiewa na ogół nie pisywali już poematów (choć na przykład Stalin i Dzierżyński grzeszyli tym trochę za młodu), niechybnie jednak podzielali z „wieszczem” charakterystyczne cechy ukształtowanej w konspiracyjnych mrokach osobowości i światopoglądu. Ignoranci, jeśli chodzi o rzeczywistą wiedzę społeczną, niezdolni do włączenia efektywnie działających mechanizmów życia gospodarczego, zawsze gotowi byli z zapałem i bez skrępowań eksperymentować na tłumach, miastach, krajach — i zdmuchnięte, zgniecione, zduszone „spisywać na straty”. Kiedy żywy organizm Rosji natychmiast odrzucił zaszczerpioną sobie bolszewicką utopię — cóż bowiem, jak nie jej odrzucenie, oznaczało to, że wszystko przestało funkcjonować, wszyscy przestali pracować, ztracając, zdawałoby się, elementarny instynkt życiowy? — dyktatorzy nic nie zrewidowali, z niczego nie zrezygnowali, nad niczym się bodaj nie zastanowili, tylko, jak u Gastiewa, zadysonowali: „do szeregu — czterdzieści tysięcy!” i „dla sprawdzenia szeregu — salwa”...

„Od pierwszych chwil istnienia władzy sowieckiej” — odnotowuje Heller — „zjawia się potrzeba przymusu, przy tym nie przymusu w ogóle; nie chodzi o przymus w stosunku do wrogich klas, bo jest to rzecz nieunikniona przy każdej rewolucji. Chodzi o przymus w stosunku do klas pracujących — zarówno chłopów, jak robotników”.

Praca przymusowa staje się podwaliną państwowości sowieckiej — i co ciekawsze, staje się nią jawnie, demonstracyjnie — Lenin *et consortes* wcale nie próbują tego ukrywać, lecz chętnie się i grożą: „Zmuszę wystarczająco wielką ilość ludzi do pracy

w tempie wystarczająco szybkim aby produkować to, czego w Rosji brak” — oświadcza Lenin w rozmowie z delegatem amerykańskiego Czerwonego Krzyża, własnym zaś towarzyszom wskazuje:

„Imperializm niemiecki, który w obecnej chwili jest najbardziej zaawansowany nie tylko w dziedzinie potęgi wojskowej i wojskowej techniki, lecz także na terenie organizacji przemysłu w ramach kapitalizmu, dał ponadto dowód swojej gospodarczej postępowości w taki sposób, że wcześniej niż inne systemy państwowe wprowadził w życie obowiązek pracy”.

Określenie więc już zostało „marksistowskie” kryterium postępowości gospodarczej — praca przymusowa — i najbardziej postępowy ustrój socjalistyczny nie omieszka go zastosować. To ciągle jeszcze Lenin:

„Po zastosowaniu obowiązku pracy do posiadaczy, władza sowiecka będzie musiała pójść dalek, a właściwie musiała jednocześnie przystąpić do problemu zastosowania odpowiednich zasad do większości pracujących, do większości robotników i chłopów”.

A to Bucharin:

„Jednym z głównych środków przymusu nowego typu, stosowanych skutecznie wewnątrz samej klasy robotniczej, jest likwidacja tzw. ‘wolnego wyboru pracy’... Ten ostatni bowiem nie da się pogodzić z prawidłowo zorganizowaną, planową gospodarką i planową dystrybucją siły roboczej. A zatem — *konkluduje Bucharin* — reżym obowiązku pracy i prowadzonej przez państwo dystrybucji siły w warunkach dyktatury proletariatu jest wyrazem stosunkowo wysokiego stopnia zborności całego aparatu władzy i trwałości władzy proletariackiej w ogóle”.

I wreszcie Trocki:

„Powiadają, że praca przymusowa jest niewydajna. Jeśli to prawda, to cała gospodarka socjalistyczna powinna iść na szmelc, nie ma bowiem innych dróg do socjalizmu oprócz autorytatywnej dystrybucji całej siły roboczej kraju przez centralne kierownictwo ekonomiczne i dyslokacji tej siły zgodnie z potrzebami ogólnokrajowego planu gospodarczego... Jeśli ta siła robocza, zorganizowana na zasadzie przymusu i rozmieszczona według planu, okaże się niewydajna, to możecie postawić krzyżyk na socjalizmie”.

Jak widać, również Trocki, obok Lenina i Bucharina, miał swój poważny udział w opracowaniu teorii socjalizmu jako systemu pracy przymusowej. I nie tylko teorii — bo wszystkie te górnolotne wypowiedzi ideologów były przygrywką lub akompaniowały zarządzeniom, dekretem i innym praktycznym posunięciom władzy, takim jak wprowadzony w listopadzie 1918 roku Kodeks Pracy, o którym oficjalna „Historia ZSRR” powiada, że „jako jedno z najistotniejszych założeń... zawarta w nim była

teza o obowiązkowym kierowaniu do pracy wszystkich zdolnych do niej obywateli”.

Problematykę tę Heller przedstawia skrupulatnie i przejrzyście, w oparciu o nader obfitą, przekonywującą i często zaskakującą dokumentację. Ogromnym walorem jego rozprawy jest nie poprzestanie na dokładnym obrazie terroru politycznego, lecz pokazanie, jak spletał się on z nieprzewidywanymi przez marksistów procesami społeczno-ekonomicznymi i z ich żafosną z punktu widzenia ideologii, krańcowo zaś brutalną i bezwzględną w praktyce, reakcją na te procesy.

Nota-bene, do Trockiego również należy zasługa użycia po raz pierwszy w państwie sowieckim terminu „obóz koncentracyjny”. W rozkazie z 4 czerwca 1918 roku Trocki domagał się zamknięcia w obozach koncentracyjnych zbuntowanych Czechosłowaków, w memorandum z 26 czerwca — byłych oficerów rosyjskich, którzy odmówią wstąpienia do Armii Czerwonej, w rozkazie z 8 sierpnia — „podejrzanych agitatorów, kontrrewolucyjnych oficerów, sabotażystów, pasożytów, spekulantów”. 9 sierpnia wtóruje mu Lenin w depeszy do penzeńskiego komitetu wykonawczego, rozkazując w związku z powstaniem chłopskim pod Penzą „elementy podejrzane zamknąć w obozie koncentracyjnym z miastem”.

Obóz koncentracyjny jest więc zrazu narzędziem terroru przede wszystkim politycznego. Jednakże w tym samym 1918 roku Lenin zauważa: „Uczyć się pracować — to zadanie w całej ciągłości powinna postawić władza sowiecka przed ludem pracującym”. I jakby w odpowiedzi na to hasło Dzierżyński określa jako „szkołę pracy”... właśnie obozy koncentracyjne. W przemówieniu na posiedzeniu WCIK 17 lutego 1919 roku Dzierżyński proponował: „Obok wyroków sądowych trzeba zostawić w mocy wyroki administracyjne, a mianowicie — decyzje o zesłaniu do obozu koncentracyjnego”. Kto zaś powinien się w nich znaleźć? Między innymi „... ci, co nie potrafia pracować bez pewnego przymusu, albo — weźmy na przykład nasze sowieckie instytucje — ten środek kary powinien być stosowany za niesumienność w pracy, za lenistwo, za spóźnienia itd. ... Tak więc, jest to propozycja stworzenia szkoły pracy...”. Idealista Dzierżyński nie zapomni też o „klasowym podejściu” do obozów koncentracyjnych i ich mieszkańców: w nieco późniejszym dokumencie, który jako przewodniczący czerezwyczajki podpisze 8 stycznia 1921 roku, rozkaże „zadbać, aby w miejscach odosobnienia robotnicy i chłopcy odizolowani byli od burżuazji”. Oczywiście, w miarę postępów w budowaniu społeczeństwa bezklasowego ta ostatnia dyrektywa straci na aktualności.

„Tymczasem zaś” — *podsumowuje Heller* — „w 1919 roku mają miejsce dwa jednoczesne procesy: proces przekształcania wszelkiej pracy w przymusową i proces coraz szerszego wykorzystywania obozów koncentracyjnych jako metody przymuszania do pracy, metody nacisku na robotnika. Publikowane są pierwsze dekryty o mobilizacji siły roboczej, o zakazie samowolnego

porzucania pracy, o militaryzacji fabryk i instytucji, tzn. — o zrównaniu całej ich załogi z poborowymi. Wydany zostaje dekret o wprowadzeniu książeczek pracy dla wszystkich obywateli RSFRS, którzy ukończyli 16-ty rok życia...”.

I wszystko to nie pomaga — katastrofa gospodarcza kraju jest ewidentna — robotnikom brak sił do pracy, brak bodźców, brak poczucia elementarnego sensu osobistego i społecznego, jaki musi opramieniać ludzki wysiłek. Rezolucja IX zjazdu partii widzi więc „jedno z najpilniejszych zadań władzy sowieckiej w planowej, systematycznej, upartej i surowej walce z dezercją z pola walki o produkcję — zwłaszcza drogą publikowania listów gończych ze spisami dezertów, tworzenia z dezertów pracy roboczych kompanii karnych i wreszcie — zamykanie ich w obozach koncentracyjnych”.

Niewolnictwo jest jedyną drogą do „socjalizmu”.

Pewną próbę odwrócenia katastrofy i uruchomienia na jakiś czas innych niż goły terror mechanizmów gospodarczo-społecznych dla ratowania kraju stanowi tzw. NEP — przynosi on niewątpliwą ulgę ludziom, przynosi nawet nadzieję, że odbudowane zostanie jakieś normalniejsze życie w wykrwawionym przez „wojenną komunizm” kraju — ale nadzieje są złudne, *pieredyszka* NEP'u nie trwa zbyt długo.

„W okresie NEP'u” — *odnotowuje Heller* — „machina, skonstruowana w fazie komunizmu wojennego pracuje jakby na zwolnionych obrotach. Ale machina ta już istnieje. Istnieje też przekonanie, że stosowanie przymusu wobec ludzi pracy jest koniecznością. Istnieje przekonanie, że gospodarka planowa nie jest możliwa bez przymusu pracy. Istnieje specjalna forma organizacyjna dla pracy przymusowej — mianowicie obozy koncentracyjne, wykorzystywane zarówno jako dźwignia gospodarki, jak też jako rodzaj kary. Istnieje wreszcie organ — WCzK, a później OGPU, zdolny praktycznie wprowadzić w życie ów zbawienny przymus. W 1928 roku, gdy kierownictwo odczuje potrzebę przypomnienia tych zbawiennych środków — wszystko będzie gotowe. Machina zacznie nabierać rozpędu”.

Zreferowałem tu z grubsza pierwszą część książki Michała Hellera: „Stosunek nowej państwowości do problemów pracy”. W dalszych częściach autor pokazuje, jak ów „świat obozów koncentracyjnych” — we francuskim wariacie dosadniej: *univers concentrationnaire*, świat koncentracyjny — rozwijał się, krzepł, olbrzymiał, przerastał tkankę całego życia sowieckiego, utożsamiał się z nim prawie bez reszty. Bada też, znowu z właściwą sobie skrupulatnością, choć może mniej precyzyjnymi narzędziami, jak wyglądało odbicie tego świata w literaturze sowieckiej.

Wyznam tutaj, że z dwóch stron równania, zawartego w tytule całej książki: „Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka”, dużo bardziej pasjonuje mnie ta pierwsza. Dlatego naj-

wyżej stawiając Hellera jako historyka społeczeństwa i rządzących nim idej, nie mam pretensji, że — co prawda, jak gdyby trochę wbrew założeniom podjętej pracy — zdaje się on dysponować mniej wytrawnym warsztatem jako historyk literatury i rozpatruje literaturę nie tyle w jej specyfice artystycznej, co w jej funkcji wprost ideologicznej, w roli — jak by powiedzieli marksści — „nadbudowy nad bazą społeczną”. W wypadku literatury sowieckiej, a przynajmniej jej znacznej części, właśnie takie ujęcie wydaje się owocne i interesujące. Tak na przykład w drugiej części książki, poświęconej latom dwudziestym, przyrzawszy się popularnym podówczas powieściom Arosjewa, Tarasowa-Rodionowa i Erenburga, Heller czyni kapitalną obserwację iż:

„sowiecka literatura obozowa rodzi się jako literatura o czekistach. Nie potrafiąc jeszcze obejść się bez ofiary, rosyjska literatura uosabia ofiarę w tym, kto bierze na siebie krzyż w imię szczęścia ludu, tworzy nowego 'świętego' — czekistę”.

I parę stron dalej: autorzy pierwszych powieści o czekistach:

„jako temat wybrali sobie konflikt człowieka, którego historia zmusiła do zabijania, do 'katowskiej roboty'. Tematem jest konflikt między obowiązkiem a uczuciem. Tematem jest tragedia człowieka, który spostrzega, że nie może przekształcić się w maszynę, że nie może zostać mechanizmem, czystym tworem geometrii. Ludzkie uczucia — litość, miłość — pełnią rolę tego ziarnka piasku, które zatrzymuje bieg maszyny, gdy trafi między tryby. Odgroźdzeni od całego świata murem obowiązku, z oczyma nie widzącymi niczego, co nie ma bezpośredniego związku z rewolucją, wierni służebnicy idei, uprawiający ascezę w imię nowego Boga — przyszłego szczęścia ludzkości — łatwo giną, skoro tylko uchylą szczelinki w pancerzu, chroniącym ich serce...”.

Heller przypomina jakże trafne w swej prostocie sformułowanie znakomitego pisarza i filozofa rosyjskiego Wasilija Rozanowa (1856-1919), iż „od początku świata istniały dwie filozofie: filozofia człowieka, który z jakichś powodów chce kogoś wychłostać, oraz filozofia człowieka chłostanego”. Dawna literatura rosyjska — ta znana całemu światu i budząca głęboki podziw — kierowała się zawsze „filozofią człowieka chłostanego”. Nowa literatura sowiecka z miejsca odrzuciła niewygodną tradycję i zaangażowała się po stronie chłostających. Z tej szczególnej pozycji napisane zostały nie tylko pierwsze powieści o świętych czekistach, ale również praca zbiorowa trzydziestu pięciu literatów (pod naczelną redakcją Maksyma Gorkiego) o budowie Białomorsko-Bałtyckiego Kanału im. Stalina — „jedyna w swoim rodzaju apologia pracy niewolniczej”, następnie komedia (*sic!*) Pogodina o obozach pracy pt. „Arystokraci” — „dokładny wizerunek świata, w którym odrzucone zostały ustalone pojęcia o winie i karze, świata, w którym miarą człowieka staje się wypełnienie normy” i wiele jeszcze powieści, sztuk, reportaży,

poematów, scenariuszy filmowych, spośród których Heller bliżej zajmuje się m.in. „Zmową obojętnych” Jasińskiego, twórczością Afinogenowa, „Łakami bieżyńskimi” Eisensteina...

Eisenstein, o którym mowa jest w czwartej części książki Hellera („Huragan roku 1937”), stał się — wbrew gorącej chęci służenia „cywilizacji więziennej” — ofiarą jednego z typowych dla niej konfliktów. Autor opisuje to w sposób następujący:

„We wszystkich swoich pracach Eisenstein chce usprawiedliwić to, co dzieje się w kraju — przymusową kolektywizację, rujnowanie cerkwi, podstępne wydawanie ludzi na zbugę. Cel dla niego zawsze uświęca środki, także te najokrutniejsze, najbardziej nieludzkie. W 'Łakach bieżyńskich' — celem tym jest socjalizm, bezklasowe społeczeństwo. W 'Iwanie Groźnym' — jest nim silne państwo. Ale okazuje się — i na tym właśnie polega konflikt — że wszystkie jego wysiłki, albo mówiąc ściślej — prawie wszystkie — nie dawały rezultatu. 'Cywilizacja więzienna' nie potrzebuje geniuszy. Nieszczęście Eisensteina polegało na tym, że usprawiedliwiał on rzeczywistość chcąc ją jednocześnie zrozumieć... 'Cywilizacja więzienna' nie miała potrzeby ani 'rozumienia', ani 'objaśnienia' siebie samej. Bała się tego. Potrzebna jej była tylko ślepa wiara. Dlatego, nie bacząc na wszystkie swoje starania, Eisenstein nie mógł stać się prawdziwym artystą dworskim. Nie udało mu się w sobie wykształcić owej 'sztuki nie widzenia', bez której nie mógł obejść się artysta, który pragnął zyskać poklask w sowieckim społeczeństwie”.

Koncentracyjne uniwersum, niszcząc wszystko, co jest autentycznym życiem, unicestwia również jakąkolwiek szansę kultury.

Wydaje się, że zwłaszcza w dalszych częściach książki Heller popełnia pewien błąd metodologiczny: pociągnięty przez ilustracyjny walor omawianego materiału, niepostrzeżenie przestaje wyodrębniać literaturę chłostających i tę chłostanych, obydwie traktując niekiedy jako prostą dokumentację faktów. Podejściu takiemu sprzyja — to rozumiałe — okres, kiedy ta pierwsza przestała być jedyną obecną na placu. Różne wypadki historyczne sprawiły, że na powierzchnię (choćby w samizdacie, choćby w publikacjach za granicą) wydobyła się również ta druga, częściowo tworzona już dawniej (jak „Opuszczony dom” Lidii Czukowskiej), lecz teraz dopiero ujawniona, przeważnie zaś teraz właśnie powstająca (jak twórczość Sołżenicyna, Szałamowa, Ałdan-Siemionowa, Diakowa, Dombrowskiego, Selesta i wielu innych). Dodatkowo komplikuje sprawę fakt, że część literatury, jaka wyszła spod pióra ludzi najokrutniej wychłostanych (tzn. byłych więźniów obozów koncentracyjnych) przyjęła w większej lub mniejszej mierze punkt widzenia chłostających; autor pokazuje, jak to wygląda, m.in. na przykładzie „Płaskorzeźby na skale” Ałdan-Siemionowa; i tego typu analiza jest wciąż ciekawa i jak najbardziej na miejscu. Ale omawianie tak wciągłego katalogu tytułów jednocześnie, bez wyrazistego usystematyzowania pod kątem przynależności lub nieprzynależności do ideologicznej „nadbudowy” świata obozów koncentracyjnych, cytowanie ich często na równych prawach jako świadectw na taką lub inną okoliczność pozaliteracką, sprawia, że w tych partiach książka

zatraca swą pierwotną przejrzystość, staje się amorficzna i — wbrew spójności „wymownych” ilustracji — właśnie mniej niż dotąd wymowna.

W pewnym fragmencie części piątej („Poszukiwania odpowiedzi”) Heller czyni jak najtrafniejszą obserwację społeczną: „Wielu wolało przymykać oczy, by nie widzieć tego, co się dzieje. Wielu po prostu nie widziało, bowiem wydarzenia nie dotyczyły ich osób” — po czym, ulegając pokusie zilustrowania tego stanu rzeczy, wrzuca do jednego worka poetę Jewgienija Winokurowa, utożsamionego z bohaterem lirycznym jednego ze swoich wierszy, oraz fikcyjną postać z opowiadania Sołżenicyna, potraktowaną na odmianę jako człowiek żywy, reprezentant określonej rzeczywistości. Słuszniej byłoby przecież dostrzec zarówno w bohaterze wiersza, jak opowiadania — konstrukcje literackie, mniejsza o to, w jakiej mierze oparte na doświadczeniach autobiograficznych obu autorów, realizujące natomiast pewne ich świadome założenia w chwili, gdy pisali i publikowali swe teksty. Wniosek na temat Winokurowa wypadnie wtedy akurat odwrotnie: poeta nie należy „do pierwszej grupy”, czyli tych, którzy „woleli przymykać oczy” — ale środkami „autokompromitacji lirycznej” demaskuje taką postawę. W tym nieporozumieniu dały o sobie znać niedostatki warsztatu badacza literatury.

Ale nie bądźmy perfekcjonistami. W sumie książka Hellera jest przecież bardzo dobra, czyta się znakomicie, zawiera moc pouczającego materiału, skłaniającego do dalszych przemyśleń. I to, że autorem „Świata obozów koncentracyjnych” jest raczej historyk niż badacz literatury (albo dokładniej: historyk literatury sowieckiej o formacji raczej historycznej niż literackiej), bardziej niż słabością książki jest jej widoczna siła i niezaprzeczalnym atutem. Wróżę temu dziełu długi i pożyteczny żywot.

Tadeusz KOŁYMSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Wielka Gra. Harcerstwo w Polsce w czasie II wojny światowej 1939-1945. Str. 289 i 3 nlb. (Wyd. Zarząd Główny Koła b. Żołnierzy Armii Krajowej, Londyn, 1974).
GARLIŃSKI (Józef). *Oświęcim*

walczący. Str. 318 i 2 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1974).

ZIELIŃSKI (Janusz G.). *Polskie reformy gospodarcze.* Trzy wykłady. Str. 136. (Wyd. Odnova, Londyn, 1974).

GLASER (Stefan). *Urywki wspomnień.* Str. 203 i 1 nlb. (Wyd. Odnova, Londyn, 1974).

Historia Nagrody imienia Anny Godlewskiej 1963-1973. Opracował Kazimierz F. Vincenz. Str. 79 i 1 nlb. (Nakładem Fundacji Nagrody im. Anny Godlewskiej, drukiem Oficyny Stanisława Gliwy, Londyn-Solura, 1974).

LASOCKI (Wiesław A.). *Żubr turysta.* Ilustrował Otto Maciąg. Str. 149 (wartyper). (Wyd. Gryf Publications Ltd., Stowarzyszenie Polskich Kombatanów, Londyn).

Kalendarz Polski na rok 1975. Rocznik VII. Pod redakcją Dr inż. Antoniego Gładysza. Str. 384. (Nakładem Wydawnictwa „Promyk”, Philadelphia, Pa., 1975).

Biografia byłych więźniów politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych. Tom I. Str. 367 i 1 nlb. (Wyd. „Promyk”, Philadelphia, Pa., 1974, cena: \$ 15,60 łącznie z przesyłką).

Antemurale XVIII. Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Institutum Historicum Polonicum, Rzym, 1974).

KUDLICKI (Stanisław), PODGÓRSKI (Tadeusz), GUTOWSKI (Antoni), WILK (Jan), OLSIENKIEWICZ (Marek). *Pięć głosów w sprawach polsko-niemieckich.* Str. 33 i 3 nlb. (Wyd. Komitetu Głównego P.P.S. w Niemczech, Monachium, 1974).

Kronika Bieżących Wydarzeń. Tom III (Numery 21-27). W tłumaczeniu i opracowaniu Niny Karsov i Szymona Szechtera. Str. 315 i 5 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn, 1975).

CIOŁKOSZ (Adam). *Sprawa najważniejsza.* Str. 14. (Odbitka z *Tygodnia Polskiego*, Londyn, 30. 3. 1974).

MACKIEWICZ (Józef). *Zagadek ciąg dalszy.* Str. 12. (Fotokopia artykułów, Londyn, 12 stycznia 1975).

WOŹNIAKOWSKI (Jacek). *Co się dzieje ze sztuką?* Str. 282 i 2 nlb. (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1974; cena zł 80).

WOŹNIAKOWSKI (Jacek). *Góry niewzruszone.* O różnych wyobrażeniach przyrody w dziejach nowożytnej kultury europejskiej. Str. 395 i 1 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1974; cena zł 90).

PUTRAMENT (Jerzy). *Puszcza.* Wyd. III. Str. 296 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974; cena zł 35).

MOND (G. H.). *Hélène Carrère d'Encausse: L'Union soviétique de Lénine à Staline 1917-1953.* Ed. Richelieu, Paris, 1972. Recenzja z *Revue de l'Est.* (Nadbitka z vol. 5, No 4, str. 247-260, X. 1974).

Stratégie et Tactique du Parti communiste portugais. Str. 36. (Dodatek do *Est et Ouest*, Bulletin d'Etudes et d'Informations Politiques Internationales, Paryż, No 547, 1-15. 3. 1975).

LOURIE (Richard). *Letters to the Future.* An Approach to Siniyavsky-Tertz. Str. 221 i 5 nlb. (Wyd. Cornell University Press, Ithaca and London, Marzec 1975; cena £ 4.90).

MATEJKO (Alexander). *Social Change and Stratification in Eastern Europe.* An Interpretive Analysis of Poland and Her Neighbors. Str. 272 i 8 nlb. (Wyd. Praeger Publishers, New York, Washington, London, seria — Praeger Special Studies in International Economics and Development, December 1974; cena: \$ 18,50).

Yivo Annual of Jewish Social Science. Volume XV. Str. 374 i 2 nlb. (Wyd. Yivo Institute for Jewish Research, New York, 1974; cena: \$ 6,00).

Studies on Polish Jewry 1919-1939. The Interplay of Social, Economic and Political Factors in the Struggle of A Minority for Its Existence. Redakcja Joshua A. Fishman, Yeshiva University. Str. 294 tekstu angielskiego, str. 537 tekstu hebrajskiego — w tym 5 str. po polsku. (Wyd. Yivo Institute for Jewish Research, New York, 1974).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

26-1-75

W Krakowie zmarł Tadeusz Ochlewski, założyciel i b. długoletni dyrektor Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie.

3-3-75

Anatol Marczenko został skazany przez sąd sowiecki na 4 lata przymusowego osiedlenia. Marczenko domagał się zezwolenia na wyjazd do Stanów Zjednoczonych z jednoczesną rezygnacją z obywatelstwa sowieckiego, a odmówił wyjazdu do Izraela, co mu od kilku lat proponowano. ■ Z opóźnieniem dowiadujemy się, że 9 stycznia 1975 zmarł w Marcyporębie Wincenty Hyla, lat 81, działacz społeczny i gospodarczy, b. żołnierz I pułku Legionów Polskich, poseł na Sejm RP.

13-3-75

P. Eugeniusz Kułaga został mianowany podsekretarzem stanu w ministerstwie Spraw Zagranicznych PRL. P. Kułaga był stałym przedstawicielem PRL przy ONZ w Nowym Jorku od 1969 roku.

17-3-75

W Warszawie zmarła, w wieku 88 lat, Maria Rychter, współorganizatorka strajku szkolnego w 1905 roku, kurier I-szej Brygady, P.O.W. i A.K. ■ Po sześćdziesięciu latach pobycie na emigracji powrócił do Czechosłowacji znany pisarz i publicysta T. Rezacz. Wystąpił on w prasie i telewizji opowiadając o sytuacji wśród emigrantów i motywach swego powrotu. T. Rezacz stwierdził, że emigracja „opanowana jest przez intrygi, fałszerstwo, egoizm i nienawiść. Pisarz, publicysta i poeta nie może żyć poza swoim społeczeństwem”.

20-3-75

W Radomiu rozpoczęto budowę nowego zakładu poligraficznego. Ma on produkować 11 milionów książek rocznie i ponadto około 9 milionów różnego rodzaju kalendarzy — ściennych, biurowych, kieszonkowych. Zakład ma zostać uruchomiony za trzy lata.

24-3-75

W związku z budową zbiornika wodnego na Dunajcu została podpisana umowa między PRL a Czechosłowacją o zmianie granicy w rejonie Pieńin. Na podstawie tej umowy Czechosłowacja odstąpiła Polsce 25 ha obszaru, położonych wzdłuż Dunajca na wysokości słowackiej wsi Łysa i w przeciwległej polskiej wsi Stromowce Wyżne. Jednocześnie zostanie przeprowadzona korekta granicy polsko-czechosłowackiej w rejonie Muszyny, gdzie strona słowacka odbierze sobie 25 ha. Tereny powyższe nie są zasiedlone.

25-3-75

Główny Urząd Statystyczny w PRL przeprowadził ankietę wśród kobiet na temat ich planów macierzyńskich. Na kilkanaście tysięcy ankietowanych kobiet 74 % nie chciało mieć dzieci. Wśród kobiet bezdzietnych z potomstwa rezygnowało 30 %; z drugiego dziecka przeszło 41 %, a z trzeciego ponad 81 %. ■ W ZSSR studiuje 1.240 studentów z PRL, w tym 775-ciu na uczelniach technicznych. Jak podaje wychodzący w Krakowie dwutygodnik *Student* — jeden student studiuje szachy. Pismo dodaje „nies-

tety nie wiemy kto i gdzie”. ■ To samo pismo ufundowało satyryczną nagrodę „Zacier 1974” podając: „Spośród licznych kandydatów, zgłaszanych przez agentów etatowych i donosicieli-amatorów, wybraliśmy Jana Kurowickiego, filozofa, krytyka, poetę i w ogóle. Informujemy, iż przyczyną przyznania mu „Zacieru” była jego twórczość na łamach *Poezji*”. (O twórczości Kurowickiego *Kultura* pisała w numerze z kwietnia br. 4/331, str. 128). Kandydatami do nagrody byli również: Witold Filler „za całokształt twórczości”, Wacław Sadkowski za „telewizyjny głos i wygląd radiowy”, oraz Władysław Machejek za „ferment w *Życiu Literackim*”.

1-4-75

Wszedł w życie nowy rozkład lotów międzynarodowych PLL „Lot”. Linie lotnicze łączą Warszawę z 32 krajami. W bież. roku dojdą dwa nowe połączenia bezpośrednie: Do Benghazi (Libia) i do Lyonu (Francja). ■ Siedem państw RWPG rozpoczęło budowę gazociągu orenburskiego. Długość gazociągu wynosi 2.500 km i ma sięgać do Węgier i do Rumunii. Budowa została podzielona na 5 odcinków. Pierwszy odcinek o długości 560 km. przebiegający od Orenburga do miejscowości Aleksandrow Gaj będzie budowany przez PRL. Do końca bież. roku w Orenburgu będzie pracowało 2.000 polskich specjalistów, a w 1976 roku około 4.500 osób. W zamian za realizację tej inwestycji ZSSR zaoferował dostawę przez kilkanaście lat gazu ziemnego w ilości 2,8 miliarda metrów sześciennych dla każdego partnera rocznie, aż do uregulowania kredytu. Wynosi to 40 % zużycia gazu przez PRL. Pierwsze dostawy gazu mają nastąpić w IV kwartale 1978. ■ PRL otrzymała propozycję uczestnictwa na zasadzie podwykonawcy w budowie rurociągu połockiego, który będzie przebiegał przez terytoria Litwy, Łotwy i Białorusi. Na budowę ma wyjechać 3.500 młodych polskich specjalistów. ■ Ostatnio w Warszawie została podpisana umowa, na podstawie której PRL udzieliło jugosłowiańskiemu kombinatowi hutniczemu „Feni” w Kawardaci kredytu na budowę zakładów produkcji żelaznika. W zamian za kredyt PRL ma otrzymywać przez 15 lat żelazonikiel w łącznej ilości 350 tysięcy ton. Łączna wartość dostaw, wynikających z zawartych umów, wyniesie ponad 600 milionów dolarów. ■ W Moskwie, w ramach Samizdatu, ukazał się zbiór materiałów poświęconych historii, kulturze i problemom Niemców w Związku Sowieckim, pt. „Re Patria”. Wydawcami są Witautas Grygas, Lilly Bauer, Frydrych Ruppel. ■ Główny Urząd Statystyczny wydał zestawienie nakładów literatury pięknej pisarzy polskich i obcych za okres powojenny. Najpopularniejszym pisarzem jest Sienkiewicz, którego dzieła wydano do roku 1973 w nakładzie 15 milionów egzemplarzy. Kolejne miejsca zajmują: Bolesław Prus, Maria Konopnicka, J. I. Kraszewski oraz Jan Brzechwa. Spośród pisarzy zagranicznych: Jack London, Gorkij, Jules Verne, Balzac, Andersen i Conrad. ■ Jan Mitrega, były wicepremier i minister Górnictwa i Energetyki, został mianowany ambasadorem PRL w Czechosłowacji. ■ Panorama Raclawicka ma być umieszczona w specjalnym pawilonie w Krakowie w rejonie Kopca Kościuski.

5-4-75

W Starachowicach wyprodukowano prototypową serię samochodów STAR-244, przeznaczonych dla rolnictwa. Wozy te przechodzą już próby w gospodarstwach PGR. ■ W Warszawie wprowadzono telefon dla rodziców i turystyczną zegarynkę. Pierwszy z nich 26-49-95 — łączyć będzie rodziców z psychologiem bądź pedagogiem, drugi zaś — 31-907 (czynny przez całą dobę) udzieli informacji o większości imprez turystycznych i rozrywkowych, organizowanych w stolicy.

14-4-75

Od 14. 4. br. do 9. 5. br. odbywa się w PRL przegląd filmów sowieckich. Obejmuje on zarówno miasta wojewódzkie, jak i mniejsze miejscowości. Ogółem prezentuje się 40 filmów. ■ Duży odsetek usług wykonują w PRL tzw. dzicy rzemieślnicy. Wskaźnik ten przedstawia się następująco: usługi szewskie — 10 %, krawieckie — 20 %, dziewiarskie — 28 %, motoryzacyjne — 13 %, stolarskie i tapicerskie — 21 %, remontowo-budowlane — 31 %, hydrauliczne — 35 %.

15-4-75

W Związku z 20-tą rocznicą podpisania Układu Warszawskiego poczta PRL ma wydać wielobarwny znaczek, przedstawiający flagi państw, sygnatariuszy Układu, wraz z okolicznościowym napisem.

18-4-75

W Polsce rozpoczęły się „Dni kultury radzieckiej”, których założenia programowe wiążą się z rocznicami: 30-lecia zwycięstwa, 30-lecia podpisania układu o przyjaźni i współpracy PRL i ZSSR, 20-lecia Układu Warszawskiego, 105-tej rocznicy urodzin Lenina. Teatry wystąpią z licznymi spektaklami sztuk autorów rosyjskich i sowieckich, w tym 7 prapremier. Odbędzie się również 6 premier nowych filmów sowieckich. Ogółem w Polsce wystąpi 900 artystów sowieckich. W Moskwie zaś zakończyła się IV-ta ogólnokrajowa konferencja Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Przewodniczącym został ponownie Aleksiej Szytikow, przewodniczący Rady Związku Rady Najwyższej ZSSR. PAP podaje, że Polska jest największym partnerem ZSSR wśród państw socjalistycznych. W 1974 roku odwiedziło ZSSR około 650 tysięcy obywateli PRL, a w tym samym czasie w Polsce przebywało około 300 tysięcy mieszkańców ZSSR. W najbliższym pięcioletniu wymiana turystyczna między PRL a ZSSR ma wzrosnąć o 50 %.

ZACHÓD — EMIGRACJA

7-1-75

W Londynie zmarł Henryk Abczyński, lat 79, płk inż. WP, przed wojną zastępca dowódcy lotnictwa.

11-1-75

Zmarł w Austrii, w wieku 83 lat, gen. Roman Daszkiewicz, jeden z twórców Strzelców Siczowych w Kijowie, w okresie międzywojennym adwokat we Lwowie, na emigracji ukraiński działacz polityczny na terenie Austrii.

4-2-75

Zmarł w Szwajcarii, w wieku 70 lat, Jewhen Wreciona, dziennikarz i wybitny ukraiński działacz niepodległościowy.

15-3-75

Na walnym zebraniu sztokholmskiego oddziału P.P.S. prezesem został wybrany inż. Jerzy Janczak.

18-3-75

Powołana przez rząd szwedzki specjalna komisja opracowała projekt ustawy o przyznaniu emigrantom, zamieszkałym od przynajmniej 3-let w Szwecji, prawa do głosowania w wyborach do samorządu wojewódzkiego, komunalnego oraz zarządów parafialnych. Przypuszcza się, że ustawa wejdzie

w życie w 1976 roku. W Szwecji mieszka obecnie około 400 tysięcy cudzoziemców. ■ Nakładem szwedzkiej spółki wydawniczej „Zetapē” ukazał się przekład powieści Tadeusza Borowskiego „Välkomna till gaskammaren, mina damer och herrar”. ■ W Polsce wprowadzono zakaz wysyłek paczek żywnościowych z Polski za granicę. Turystom szwedzким wracającym z Polski konfiskuje się m.in. kiełbasę. ■ W Institut Catholique de Paris odbył się odczyt profesora uniwersytetu Paris-Sorbonne, Zygmunta Markiewicza, pt. „Les études polonaises en France (1775-1975)”.

19-3-75

W Londynie zmarł, w wieku 82 lat, płk Adam Sawczyński, przewodniczący Komisji Historycznej Kampanii 1939 roku i redaktor wydawnictwa *Polskie Siły Zbrojne — Kampania Wrześniowa*. ■ W Penrhos zmarła Janina Sempolińska-Modrzeńska, znana aktorka charakterystyczna.

21-3-75

W Ecoles des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu prof. Jerzy Wojciechowski z Kanady wygłosił odczyt „Les problèmes de la classification des savoirs”.

22-3-75

Doroczne nagrody im. Anny Godlewskiej po F.szw. 5.000 każda otrzymali: Zofia Kozarynowa, Teodozja Lisiewicz, Danuta Mostwin i Ignacy Wieniewski. Ponadto została przyznana nagroda Społeczna o tej samej wysokości Ochotniczemu Zespołowi pracowników Muzeum im gen. Sikorskiego.

25-3-75

W NRF w wydawnictwie Kohlhammera w Stuttgarcie ukazała się książka Leszka Kołakowskiego pt. „Marxismus — Utopie und Anti-Utopie”.

26-3-75

W Sztokholmie odbył się wieczór Towarzystwa Przyjaciół Kultury, na którym dr Józef Lewandowski wygłosił odczyt pt. „Poglądy na przeszłość opozycji rosyjskiej”, zaś Norbert Żaba o „Kiereńszczyźnie w Portugalii”.

31-3-75

Na zaproszenie angielskich związków zawodowych przyjechał z wizytą do Anglii Aleksander Szelepin, przewodniczący centrali związków zawodowych w ZSSR, były szef sowieckiej tajnej policji. Z uwagi na przeszłość zaproszonego uchodźcze organizacje w Anglii urządziły szereg manifestacji, protestujących przeciwko wizycie. W głównej demonstracji w Hyde Park w Londynie, połączonej z marszem przed ambasadą ZSSR, wzięło udział ok. 4.000 osób, przeważnie Polaków. Na skutek nękania przez demonstrantów pobyt Szeleпина uległ przedwczesnemu zakończeniu.

1-4-75

Od 1 października 1971 do 31. 3. 1975 roku wysokość zadeklarowanych wpłat na POSK w Londynie wyniosła £.stg. 334.868,99. W tej sumie mieści się 75.000 £.stg. od SPK, 500 £.stg. jak depozyt bezprocentowy Komitetu Rodzicielskiego Polskiej Szkoły na Chiswick, oraz 1.750 £.stg., jako depozyt bezprocentowy Związku Kupców i Przemysłowców.

5-4-75

W Londynie zmarł nagle, w wieku 66 lat, Jan Tokarski, historyk, dziennikarz i publicysta, b. redaktor tygodnika *Życie*.

6-4-75

Radio Free Europe nadało audycję pt. „30 lat literatury polskiej na obczyźnie”, w której wzięli udział Maria Danilewicz Zielińska, M. Giergielewicz, K. A. Jeleński, L. Kielanowski, St. Kossowska, R. Palester, W. Tarnawski, T. Terlecki, W. Weintraub. Za najlepsze książki uznano w następującej kolejności: „Inny świat” G. Herling-Grudzińskiego, „Transatlantyk” W. Gombrowicza, „Dolinę Issy” Cz. Miłosza, „Bez ostatniego rozdziału” gen. Wł. Andersa. Z poezji: „Korzec maku” K. Wierzyńskiego, „Traktat poetycki” Cz. Miłosza. Za najlepszych autorów uznano: Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Gustawa Herling-Grudzińskiego i Kazimierza Wierzyńskiego.

8-4-75

W Galerie Altmann Carpentier w Paryżu została otwarta wystawa obrazów Jana Lebensteina, która trwać będzie do 17 maja br. Jednocześnie Galerie Lambert w Paryżu wystawia jego prace graficzne.

10-4-75

W Bibliotece Polskiej w Paryżu, staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się *Une soirée à Nohant*. Wprowadzenie wygłosił prof. Jan Myciński, interpretował Alain Raës.

11-4-75

W Centre du Dialogue w Paryżu Zygmunt Myciński, wybitny polski kompozytor, wygłosił odczyt pt. „O mojej muzyce na tle muzyki w Polsce”.

12-4-75

W Paryżu odbyło się pod przewodnictwem J. Monda Walne Zebranie Oddz. Koła A.K. we Francji. Prezesem wybrano ponownie inż. Antoniego Baranowskiego.

15-4-75

24. 5. br. ma odbyć się drugie publiczne zebranie Stowarzyszenia *Les Amis du Docteur Janusz Korczak*. W programie przemówienia: p. Bizouard z Sorbony: „Jak kochać dziecko”; p. Paul Lidsky, profesora literatury, o oryginalności i nowatorstwie „Króla Maciusia I-go” w porównaniu z dzisiejszą literaturą dla dzieci na Zachodzie; Dr. Stanisława Tomkiewicza, profesora psycho-patologii w Paris VIII o tym jak Korczak pomagał mu w jego praktyce szpitalnej pedo-psychiatrii; Michała Wróblewskiego i Józefa Arona, psychologów i Adama Nowomińskiego — wspomnienia o współpracy z dr. Januszem Korczakiem.

17-4-75

Prof. Z. Markiewicz, wykładający literaturę polską na Sorbonie, został udekorowany w ambasadzie PRL w Paryżu Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Zygmunt Bajak został mianowany kontradmirałem rezerwy amerykańskiej marynarki wojennej. Jest on pierwszym Amerykaninem polskiego pochodzenia, który uzyskał tak wysoką rangę w marynarce wojennej. Z. Bajak jest obecnie dyrektorem wydziału filmowego sieci telewizyjnej N.B.C. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej odznaczył Roberta Góralskiego, komentatora radiotelewizyjnej sieci N.B.C., za wybitne osiągnięcia w tej dziedzinie. ■ Tadeusz Buczek, audytor stanu Massachusetts, został po raz czwarty wybrany

na to stanowisko. Niezależnie od szeregu stanowisk, które zajmował przedtem, p. Buczek jest kombatantem ostatniej wojny światowej i wojny koreańskiej oraz pułkownikiem rezerwy armii amerykańskiej. ■ 9. 3. br. W Seabab Club w Detroit odbył się wieczór autorski Róży Nowotarskiej, dziennikarki i tłumaczki literackiej. ■ W Stanach Zjednoczonych powstała nowa organizacja, mająca na celu propagowanie polskich studiów w Ameryce. Nosi ona nazwę: *Association for the Advancement of Polish Studies*. Prezesem tej organizacji został dr Zygmunt S. Birkenmajer z uniwersytetu pensylwańskiego, wiceprezesem dr Tadeusz Krukowski, skarbnikiem dr Walter Kondy, a sekretarzem dr Herman A. Szymański, rektor Alliance College w Cambridge Springs, Pa. ■ 7. 2. br. Główny Komitet — *National Board Medical Examiners* — układający całą politykę egzaminacyjną i program egzaminów na stopień lekarza medycyny, uprawniający do wykonywania praktyki lekarskiej w Stanach Zjednoczonych, wybrał prof. Michała Rytla na członka Komitetu na okres czterech lat. Prof. Rytel jest pierwszym Polakiem wybranym do tego Komitetu spośród 350 tysięcy lekarzy w Stanach Zjednoczonych. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej organizuje w dniach 5 i 6. 4. br. w Chicago konferencję wydawców i redaktorów prasy polonijnej, poświęconą zagadnieniom wydawniczo-redakcyjnym oraz sytuacji polonijnych dzienników i czasopism. W czasie obrad omówione będą m.in. następujące zagadnienia: stan prasy polonijnej i jej trudności — referat red. Białasiewicza; status zawodowy i warunki pracy dziennikarzy — studium opracowane przez red. Krawca; stosunek partii politycznych do prasy etnicznej — referat płk. Niemczyka, przewodniczącego Wydziału grup etnicznych partii republikańskiej; projekt red. Wierzbiańskiego w sprawie koordynacji akcji na rzecz zdobywania ogłoszeń o charakterze ogólnokrajowym oraz projekt założenia ogólnokrajowego tygodnika w języku angielskim, poświęconego sprawom polskim w Ameryce. ■ 23. 2. br. obchodzono uroczyste w Trenton 86-letnią rocznicę urodzin gen. Pawła Szandruka, b. głównowodzącego Ukraińskiej Armii Narodowej. Gen. Szandruk w okresie międzywojennym był polskim oficerem kontraktowym i ma piękną kartę bojową z okresu kampanii wrześniowej, za którą został odznaczony *Virtuti Militari*. ■ 1. 3. br. red. Wojciech Wasutyński ustąpił ze stanowiska naczelnego redaktora *Nowego Dziennika*. ■ 21. 3. br. odbyło się XXXII doroczne walne zebranie członków Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Prezesem wybrano ponownie dr. Jana Frylinga; p. Michał Budny został ponownie dyrektorem Instytutu. ■ Firma Farrel w Waterbury, Conn., będąca częścią koncernu Textron, podpisała umowę wartości 50 milionów dolarów na dostawę wszystkich elementów dla nowej fabryki mosiądzu w Lublinie. Koncern ma dostarczyć w sumie wyposażenie dla sześciu zakładów. W tej chwili już instaluje się w Polsce wielką walcownię Sendzimira. ■ Na uniwersytecie Harvard została stworzona katedra historii Ukrainy im. Michała Hruszewskiego. Pierwszym profesorem tej katedry został dr Omelian Prycak. Katedrę ufundowało społeczeństwo ukraińskie w USA, które stworzyło fundusz ukrainoznawstwa w Harvardzie i zebrało na ten cel 2 miliony dolarów. ■ W Searstower aresztowano 41 Polek, które pracowały nielegalnie. Przy tej okazji prasa amerykańska stwierdziła, że jest szereg biur podróży, które trudnią się szukaniem pracy dla turystów z Polski. Biura te biorą za to od 200 do 500 dolarów od osoby. Praca, którą im znajdują, jest wynagradzana mniej, niż to ma miejsce w stosunku do Amerykanów. Ciekawe, że Amerykanie skarżą się na polskich turystów, iż pracują zbyt wydajnie, podbijając istniejące normy. ■ Ukraińska Wolna Akademia Nauk w USA obchodzi w bież. roku 25-lecie swego istnienia. ■ W związku z 50-leciem niepodległości Republiki Litewskiej sekretarz Departamentu Stanu, Kissinger, przesłał do przedstawicieli do spraw litewskich w Waszyngtonie, K. Jackasa, depezę z życzeniami i stwierdzeniem, że rząd

amerykański „z wielkim zainteresowaniem śledzi dążenia narodu litewskiego do wolności i niepodległości”. ■ Prof. dr Klemens Jędrzejewski został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta za ofiarowanie swych zbiorów muzealnych i bibliotecznych Płockowi. ■ 22. 2. br. w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku odbył się odczyt prof. Alicji Iwańskiej pt. „O psychice Polaków”. ■ Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku zorganizował „spotkanie” z Zofią Romanowiczową, znaną powieściopisarką, zamieszkałą w Paryżu. Zagaił zebranie Józef Wittlin. Ponadto Polski Związek Akademików w Chicago zorganizował Romanowiczowej 22. 3. br. wieczór autorski, w którym również wzięli udział: Tola Korian, prof. Tymon Terlecki i Andrzej Ozariew. ■ 22. 3. br. odbyło się w Nowym Jorku doroczne plenarne posiedzenie Polskiej Rady Jedności w USA. Prezesem na rok następny został wybrany Stefan Korboński. ■ *Polish Heritage Society* w Filadelfii przyznało doroczną nagrodę prasową — *Heritage Communications Award* — p. Irenie Prażmowskiej-Coulter, redaktorce czasopisma *Quarterly Review*, organu amerykańskiej rady polskich klubów kulturalnych.

SPROSTOWANIE

W komunikacie o nagrodach Fundacji Jurzykowskich za rok 1974 (*Kultura* Nr 3/330, str. 144) przez pomyłkę opuszczono nazwisko p. Marii A. Rudzińskiej, biologa, profesora na Rockefeller University w New Yorku.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

The Australian Union of Studies rozpoczął kampanię zmierzającą do umożliwienia imigrantom wykonywania zawodów na podstawie kwalifikacji zdobytych za granicą. Zdaniem Związku Studentów miernikiem dopuszczenia imigrantów do wykonywania swych zawodów powinna być dobra znajomość rzeczy a nie tylko dyplom uznawany w Australii. ■ Książka melbournieńskiej pisarki polskiego pochodzenia, Zofii Kruk (Penny Harding) pt. „The Taste of Fear” (Hutchinson) cieszy się wielkim sukcesem. Docekała się już drugiego wydania i ma również wkrótce ukazać się w popularnym wydaniu *paperback*. ■ Koło Techników Polskich w Wiktorii (Australia) przyznało doroczne nagrody funduszu stypendialnego im. Pawła E. Strzeleckiego następującym maturzystom: pp. Juliusz Pieńkos otrzymał A\$ 200, Maryla Weiss — A\$ 100, Andrzej Marczyński — A\$ 50, Barbara Grzebyta A\$ 25. Nagrody Funduszu Stypendialnego im. Pawła E. Strzeleckiego przyznawane są maturzystom polskiego pochodzenia, którzy uzyskali najlepsze spośród wszystkich kandydatów wyniki egzaminu dojrzałości, poczuwają się do przynależności do polskiego społeczeństwa, znają język polski i biorą czynny udział w polskim życiu organizacyjnym. ■ Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii obchodziła w styczniu br. 25-lecie swego istnienia. Zjazd delegatów organizacji członkowskich w dniach 25-26 stycznia br. miał miejsce w Polish Cultural Centre w Newcastle (N.S.W.). Prezesem Rady Naczelnej został ponownie wybrany inż. Eugeniusz Hardy, zaś wiceprezesem Ryszard Trejster. Wśród gości na zjeździe był delegat Rządu R.P. Stefan Nowicki. ■ Dr D. F. Branagan z Sydney University (Australia) odnalazł w londyńskim Institute of Geological Science mapę sporządzoną przez wielkiego polskiego podróżnika Pawła Edmunda Strzeleckiego, zdobywcę najwyższego szczytu w Australii, który nazwał Mt Kościuszko. Ta wielkich rozmiarów mapa (7,75 na 1,55 m.) była od wielu lat poszukiwana przez australijskich uczonych. ■ W dn. 20. 3. br. w „Domu

Polskim” w Melbourne dr Roland Sussex, slawista australijski, miał odczyt zatytułowany „Czy istnieje język poligielski”. Tegoż dnia staraniem *Society of East European Cultural Studies* (University of Melbourne), zorganizowany został odczyt prof. R. G. Goldmana pt. „Education in Poland, Russia and Yugoslavia”. ■ Renty wchodzące w zakres australijskich świadczeń społecznych zostaną podwyższone od kwietnia br. Osoby samotne otrzymywać będą o A\$ 5,00 więcej, czyli A\$ 36,00 tygodniowo, zaś małżeństwa — o A\$ 8,50 więcej czyli A\$ 60,00 tygodniowo. ■ Urodzony w Polsce dr Peter Wileński, dotychczas osobisty sekretarz premiera Australii Whitlana, objął stanowisko szefa federalnego Departamentu Pracy i Imigracji.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Mec. Allan Wachowich został mianowany sędzią Sądu Najwyższego w Kanadzie. Jest on najmłodszym adwokatem — 38 lat — który otrzymał to stanowisko. Sędzia Wachowich jest bratankiem proboszcza ks. Stanisława Wachowicza i bierze czynny udział w życiu polonijnym. ■ Kanada podpisała kontrakt z Chinami na dostawę miliona 100 tysięcy ton zboża. Dostawa ma się rozpocząć w maju br. i będzie trwała do marca 1976 roku. Wartość transakcji nie została podana. ■ 15. 2. br. w Toronto odbyło się walne posiedzenie kuratorów Funduszu Wieczystego. Zarząd stwierdził, że okres sprawozdawczy był bardzo ciężki, w pierwszy rządzie na odcinku finansowym. Praktycznie biorąc jedynym źródłem dochodów Funduszu jest Bingo (loteria). Na posiedzeniu rozpatrzono również pismo prezesa Koła nr 20, p. J. Sobieniaka, w sprawie Domu Polskiego Ośrodka Kulturalnego. Sytuacja Domu jest katastrofalna, zadłużenie i dokończenie prac wymaga nakładów w wysokości 400 tysięcy dolarów. Zebranie odłożyło po dyskusji decyzję w sprawie odpowiedzi do posiedzenia dyrektorów Funduszu Wieczystego. Komisja Rewizyjna podała, że dochód Funduszu w 1974 roku wyniósł 72.735 dolarów. Fundusz Wieczysty przyznał na szkolnictwo w tymże roku 7.810 dolarów. Polski Instytut Badawczy otrzymał 5.000 dolarów, wydawnictwa i prasa 3.700 dol. na harcerstwo przeznaczono 6.000 dol., stypendia indywidualne wyniosły 8.250 dol. Wraz z innymi wydatkami rozchodowano na te cele 43.000 dolarów. ■ Zespół teatralny młodzieży akademickiej „Arabeska” wystawił pięciokrotnie w Toronto sztukę Zbigniewa Herberta pt. „Lalek”. ■ Dr Stanley Hajdas zabiega — jak dotąd bez powodzenia — o wypuszczenie znaczka pocztowego dla uczczenia polskich pionierów w Kanadzie. ■ Parafia w Wilnie, Ontario, przygotowuje obchód 100-lecia swego istnienia. Jest to najstarsza polska parafia w Kanadzie. ■ Zmarł w Hithy pod Toronto dr Godfryd Kaczanowski, neurolog i psychiatra, b. szef służby zdrowia V-ej Dywizji Kresowej, przez szereg lat dyrektor szpitala dla umysłowo chorych Ontario Hospital.

Humor krajowy

W warszawskich kawiarniach mówi się, że ażeby dokładnie zrozumieć co oznacza skrót RWPG należy odczytywać te litery trzy razy: najpierw z lewa na prawo, potem z prawa na lewo i znowu z lewa na prawo:

Robotnicy Wybrali Pana Gierka
Gierek Podzielił Wszystko Równo
Rosji Wszystko — Polsce C..no...

Mówi się także, że w krajowych gazetach są trojaki wiadomości: prawdziwe, prawdopodobne i inne. Prawdziwe to — nekrologi; prawdopodobne to — przewidywania meteorologiczne, no a pozostałe to właśnie te inne.

Na wystawie spotkały się dwie kiełbasy: zwyczajna i ta druga.
— Co ty wyprawiasz — mówi zwyczajna do tej drugiej — dlaczego masz wyższą cenę?
— A no, widzisz — brzmiała odpowiedź. — Wysłałam dobrze za mąż i teraz nazywam się podwawelska...

POLSKI FOLWARK ZWIERZĘCY

— Dlaczego Polska przeżywa taki kryzys ekonomiczny?
— Bo cielęta się uczą,
Świnie się tuczą,
Woły pracują
A barany rządzą...

— Do jakiego zwierzęcia podobna jest Polska?
— Do kangura: duże skoki, pusta torba.

Ostatni spis wykazał, że w Polsce jest:
milion *prawieślawnych*,
milion *gierko-katolików*
a pozostałe trzydzieści milionów z kawałkiem to wszystko protestanci...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Monachium, 27 stycznia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

W eseju „Profesorowie U.J. w latach dwudziestych” (*Kultura* Nr 1/2 1975) p. Wacław Zbyszewski cytuje swe wspomnienie o śp. Profesorze Rafale Taubenschlagu z lipca 1958 roku, w którym, w ślad za komunikatem Polskiego Radia, powtórzył wersję o samobójczej śmierci profesora. Ponieważ okoliczności ostatnich miesięcy życia i śmierci prof. Taubenschlaga są mi znane, uważam za swój obowiązek wobec pamięci zmarłego uczonego, nie mogącego dziś dać świadectwa prawdzie, sprostować nieprawdziwą wersję o jego rzekomo samobójczej śmierci.

Jako student I roku studiów na krakowskim Wydziale Prawa byłem w roku akademickim 1929/30 uczniem prof. Taubenschlaga, dopiero jednak po wojnie zostały między nami nawiązane bliższe stosunki osobiste i towarzyskie. W ostatnich miesiącach życia prof. Taubenschlaga widywałem go co najmniej raz w tygodniu i mogę stwierdzić, że prof. Taubenschlag, człowiek pogodnego usposobienia i o dużym poczuciu humoru, był z życia i swej pracy naukowej zadowolony. Ostatni raz widziałem go u niego w domu na kilka dni przed śmiercią, był w doskonałym nastroju. Nazajutrz przeniósł się na przebadanie do Kliniki Ministerstwa Zdrowia (tzw. kliniki rządowej), gdzie kilka dni później spadł z balkonu IV piętra kliniki na podwórze zabijając się na miejscu. Następnego dnia prasa podała jako przyczynę śmierci samobójstwa. Tego samego dnia — z tytułu powołania mnie przez prof. Taubenschlaga do pełnienia funkcji wykonawcy testamentu i na podstawie pełnomocnictwa wdowy — udałem się do dyrektora kliniki żądając podania podstaw wersji o samobójczej śmierci i jej odwołania. W rozumieniu zażenowanego dyrektora kliniki było to tylko jego przypuszczenie, przy czym na moje pytania wyjaśnił, iż prof. Taubenschlag nie cierpiał na żadną nieuleczalną chorobę ani też nie miał w klinice stanów depresji. Było dla mnie jasne, że wersja o samobójstwie prof. Taubenschlaga powstała w wyobraźni kierownictwa kliniki jedynie w obawie przed skutkami skandalu i ze strachu przed własną odpowiedzialnością. Przeprowadzone badania personelu, a następnie dochodzenia prokuratora wykazały niezbicie, iż prof. Taubenschlag w czasie upalnego ranka, jak zwykle roztargniony i zamysłony, wyszedł z korytarza na balkon o niskiej balustradzie i niebezpiecznie się przechylił, że więc przyczyną jego śmierci był nieszczęśliwy wypadek. Dla wszystkich znających prof. Taubenschlaga było jasne, że wersja o samobójstwie została w sposób typowy dla stosunków w PRL sfabrykowana na użytek własny jej autorów bez skrupułów wobec zmarłego. Duchowieństwo nie dało jej wiary; zwłoki prof. Taubenschlaga spoczywały przez 2 dni w bocznej nawie kościoła św. Krzyża w Warszawie, po czym zostały przewiezione do Krakowa i pochowane na cmentarzu rakowieckim.

Pragnę też sprostować błędną m.zd. ocenę osobowości prof. Taubenschlaga przez p. Wacława Zbyszewskiego. Prof. Taubenschlag był nie tylko dobrym pedagogiem, ale był przede wszystkim wielkim uczonego o międzynarodowym

rodowo uznanym autorytecie, był prawdziwą chlubą nauki polskiej. Wstawił się przede wszystkim pracami z zakresu papirologii tj. nauki zajmującej się studiowaniem tekstów prawa rzymskiego odczytanych z papirusów egipskich. Miarą uznania w świecie było m.in. wybranie go kilka lat przed wojną jednym z czterech przewodniczących światowego kongresu prawników-romanistów w Rzymie, wespół z innym znanym romanistą kardynałem Seredyi, Prymasem Węgier.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Dr Ludwik FRENDL

Peterborough, Ont., 25 marca 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze za styczeń i luty br., p. W. A. Zbyszewski w swoich wspomnieniach o profesorach U.J. w latach dwudziestych wymienia też Feliksa Młynarskiego, nadmieniając, że „jakoś nigdy nie potrafił brać go całkiem na serio”.

Nie należy tym się zbyt martwić. Inni, bardziej kompetentni od p. Zbyszewskiego, brali Młynarskiego jak najbardziej serio. W okresie 20-lecia nie mieliśmy nadmiaru ludzi tak wybitnych i tak z pożytkiem dla kraju pracujących, jak Młynarski. Czy jako wiceprezes Banku Polskiego, czy jako prezes Polskiego Instytutu Rozrachunkowego, czy też profesor w Szkole Głównej Handlowej, albo też jako członek Komitetu Finansowego Ligi Narodów dał się poznać także obcym „jako naprawdę człowiek wspaniały, choć trochę za skromny jak na swoją wiedzę, pracę i umiejętności”, że przytoczę jedną ze współczesnych opinii o Młynarskim, wyrażoną przez Jean Monnet'a, francuskiego eksperta finansowego i ekonomistę. Zresztą dziesiątki książek i artykułów naukowych ogłoszonych przez Młynarskiego w różnych językach (nawet japońskim), mówią same za siebie, pozwalając na powzięcie o nim nieuprzedzonego i obiektywnego sądu.

Chciałbym, żeby tych kilka słów wyrównało gafę popełnioną przez p. Zbyszewskiego wobec pamięci Feliksa Młynarskiego, wyjątkowego człowieka, • gorącym, oddanym Polsce sercu.

Z wyrazami poważania,

Lestaw M. MEINHARDT

Coma (Australia), 24 marca 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule p. W. A. Zbyszewskiego pt. „Profesorowie U.J. w latach dwudziestych” (*Kultura* nr 328/329) przeczytałem, że na Uniwersytecie Jagiellońskim wykładano filozofię prawa już na pierwszym roku studiów. Informacja ta zdziwiła mnie dlatego, że na Uniwersytecie Warszawskim wykładano na pierwszym roku przede wszystkim teorię prawa, jako propedeutykę, która miała przygotować niedawnego gimnazjalistę do poważniejszego studium filozoficznego, do jakiego przystąpić mógł dopiero w trzecim roku akademickim. Czyżby świeżo upieczeni maturzyści z krakowskimi indeksami byli o tyle dojrzałsi od warszawskich, że mogli opanować zawilgości filozofii prawa już w pierwszych miesiącach nauki?

Napisał też p. Zbyszewski, że z profesorów ekonomiki stawiałby na pierwszym miejscu Adama Krzyżanowskiego, dużo wyżej od Tadeusza Zawadzkiego, od Taylora, Rybarskiego, St. Grabskiego i wielu innych,

a z młodszych tylko Adam Heydel miał dane na dużo większego teoretyka, „ale on jeden, i on tylko”.

Z wyżej wymienionych, profesor Roman Rybarski uczył mnie nie ekonomiki, tylko skarbowości, i gdybym w tym miejscu wyjaśnił jaka jest różnica między nimi — obraziłbym inteligencję p. Zbyszewskiego, co na pewno nie jest moją intencją.

Ekonomiki, czyli jak to się określa w krajach nie anglosaskich: ekonomii politycznej, uczyli mnie profesorzy Tadeusz Brzeski i Antoni Kostanecki. Tych innych wymienionych przez p. Zbyszewskiego nie znam dostatecznie aby móc tu zabrać głos; abstrahując od przekonania, że nie jestem pewny czy słuchacz-absolwent, nawet z doktoratem, może wydawać tak apodyktyczne opinie o swoich profesorach, jak to czyni p. Zbyszewski. Ze zdumieniem więc przeczytałem, że profesor Estreicher uczył (p. Zbyszewskiego) *tych podstaw prawa, czyli tak zwanej filozofii prawa, o której pojęcia nie miał Jarra w Warszawie* (podkreślenie moje).

Mam podstawy do przypuszczenia, że profesor Stanisław Estreicher nie podpisałby się pod taką symplifikacją. Eugeniusz Jarra był moim profesorem na pierwszym i trzecim roku i wydaje mi się, że znam go trochę lepiej niż p. Zbyszewski, z którego opinią nie mogę się przeto zgodzić.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Adam NASIELSKI

New York, 17 lutego 1975.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do żywo napisanego artykułu W. A. Zbyszewskiego o profesorach U.J. w latach dwudziestych zakradły się drobne pomyłki i niedociągnięcia.

Rafał Taubenschlag nie tylko był dobrym pedagogiem lecz wybitnym historykiem prawa znanym za granicą. Jego prace nad prowincjonalnym prawem grecko-rzymskim w Egipcie i na Wschodzie były pionierskie. U nas trochę pokpiwano, że tkwi po uszy w „papyrusach”. Jego habilitacja natrafiała na zaciekły opór na wydziale i dopiero stanowcza groźba rezygnacji Wróblewskiego przebiła ten mur. Taubenschlag był uczonym z prawdziwego zdarzenia nie był jednak gołąbkim. Między nim a Kutrzebą toczyła się przewlekła osobista wojna podjazdowa. Na złość Kutrzebie Taubenschlag zaczął publikować prace z dziedziny historii prawa polskiego (wpływy procedury rzymsko-kanonicznej) pono niezłe. Pod wpływem tych zatargów drobnomieszczański antysemityzm Kutrzeby (syn kupca z Wiślniej) rósł z roku na rok aż w czasie wojny przybrał nieomal patologiczne rozmiary. Taubenschlag odebrał sobie życie gdy utracił wzrok i nie mógł więcej pracować naukowo. Trochę jak antyczny Rzymianin.

Stanisławowi Wróblewskiemu przypisano prezesurę Komisji Kodyfikacyjnej. Był jej wybitnym członkiem ale prezesurę piastował Franciszek Ksawery Fierich od samego początku do śmierci. St. Wróblewski był po przewrocie majowym przez kilka lat prezesem Najwyższej Izby Kontroli i stąd nieporozumienie. Pamiętam jak przez mego ojca (byli kolegami w gimnazjum św. Jacka) zaproponował mi po doktoracie, że mnie weźmie do siebie w N. I. Kontroli. Jakoś nie miałem ochoty na karierę urzędniczą. Uśmiechała mi się nauka. Wróblewski nigdy na mnie nie robił wrażenia machiavelistycznego subtelnego Mefista. Wdowiec mieszkający w starym arystokratycznym pałacyku przy ul. św. Jana, zagrzebany w opracowywaniu obszernych tomów wykładu prawa rzymskiego i komentarzy do ustaw cywilnych oraz kierowaniu Polską Akademią Umiejętności, której był prezesem — w nielicznych wolnych chwilach chodził na spacer z małym białym foksterrikiem robiąc wrażenie całkowicie zatopionego we własnych myślach. Czło-

wiek krystalicznie czystego charakteru o przekonaniach na krakowskie stosunki lewicowych, bliski Piłsudskiemu lecz nie Sanacji, cieszył się powszechnym szacunkiem.

Gdy wczesną jesienią 1918 r. zapisałem się na I rok prawa U.J. encyklopedię prawa wykładał Franciszek Ksawery Fierich. Wysoka szczupła postać, uroczyste wyniosłe wystąpienie wielkiego trochę sztywnego dygnitarza. Studenti drugiego roku puścili wśród nas dziką pogłoskę, że w czasie trzeciego wykładu Fierich nagłe stanął na krześle! Rzecz nie do wiary, wręcz niemożliwa. A jednak tak się stało. Trzeba było na tablicy wypisać wszystkie możliwe działy prawa i zacząć niemal od powały.

Kumaniecki nie był jedyną ekscelencją na wydziale. Władysławowi Leopoldowi Jaworskiemu przysługiwał ten tytuł jako tajemnemu radcy cesarskiemu w związku z przesurą N.K.N. Oczywiście Jaworski nigdy tytułu tego nie używał ale wszystkie kartki dotyczące jego wykładów (pisane ręką kierownika kancelarii wydziału Drozdowskiego) brzmiały niezmiennie: „Ekscelencja Profesor Wł. L. Jaworski”.

Reinholda pamiętam z mniej frywolnej anegdoty niż ta o zapałkach i spędzaniu płodu. Tłumaczył nam dlaczego samo przyznanie się do winy przez oskarżonego nie może być *corona probationum* jak w procesie inkwizycyjnym. Jakiś zawodowy kasjarsz-włamywacz dokonał rzekomo za czasów nieboszczeni Austrii wielkiego włamania w banku stołecznym. Równocześnie współnik ukradł małą kwotę w sklepie w prowincjonalnej mieścinie. Obawiając się, że policja przyjdzie go aresztować kasjarsz przyznał się do małej kradzieży, odsiedział kilka tygodni aresztu i miał murowane alibi „W Imieniu Jego Cesarskiej Mości”, że w dzień włamania bankowego był na prowincji. Ta anegdota często mi się przypominała w związku z obsesją N.K.W.D. wymuszania torturami na aresztowanych przyznania się do niepopelnionych zbrodni.

Zbyszewski musiał być rzadkim gościem na filozofii, bo mu się Garbowski pomieszał z Rubczyńskim choć tak bardzo różnili się pod każdym względem. Rubczyński nigdy wykładów o Kancie nie prowadził. Kant (i Hume) byli specjalnością Garbowskiego, który lubił opowiadać z katedry anegdoty z życia prywatnego królewieckiego mędrca. Filozofia bynajmniej nie kończyła się w Krakowie na Kancie. Władysław Heinrich reprezentował empiriokrytycyzm R. H. L. Avenariusu i pozytywizm E. Macha oraz całkiem nową wówczas psychologię eksperymentalną. Znam te rzeczy bliżej, bo byłem chyba jedynym wówczas studentem prawa, który systematycznie chodził na wykłady filozofii, brał czynny udział w seminariach filozoficznych, miewał odczyty w Kole filoz. U.J. a potem uzyskał również doktorat filozofii właśnie z Kanta. Na prawie pokazywałem się tylko by zbierać podpisy i zdawać egzaminy. Jedynym wyjątkiem była praca socjologiczna o genezie religii i totemizmie, którą mi zlecił Stanisław Estreicher gdzieś w roku 1922 wręczając mi grube tomisko Bronisława Malinowskiego wydane przez krakowską Akademię Umiejętności w roku 1915. Napociłem się nad nim setnie oszłomiony wysoce skomplikowaną strukturą tych rzekomo „prymitywnych” społeczeństw. Zanurzyłem się w angielskiej literaturze porównawczego religioznawstwa, przewertowałem Freuda „Totem und Tabu” i jeszcze nic się nie wykrystalizowało. Nie chciałem za żadną cenę zwrócić Estreicherowi powierzonej książki i przyznać się do fiaska. W skrajnej rozpaczy uchwyciłem problem od strony teorii poznania uwypuklając jakiego rodzaju prawidłowości doszukują się badacze w zjawiskach społeczno-religijnych. Taki referat oddałem z biciem serca Estreicherowi. Ku memu zdziwieniu bardzo mi się podobał. Wezwał mnie i gorąco zachęcał do dalszej pracy na tym polu wysuwając perspektywę mego wyjazdu za granicę i późniejszej habilitacji. Nie wiedział ile cierpień i wewnętrznej szarpaniny kosztował mnie ten referat. Wprost nie byłem w stanie podjąć tej jakże życzliwej oferty. Estreicher mimo to zachował pełną życzliwość dla mnie. Otrzymywałem od niego wielo-

krotnie potem słowa zachęty przez mego ojca (który udzielał mu w gimnazjum korepetycji z matematyki) i uznania za prace które mu przesyłałem.

Profesora Jerzego Landego Zbyszewski widać całkiem nie znał. Przybył z Wilna w roku 1929 jako zwycięzca w konkursie urządzonym przedtem w krakowskim Towarzystwie filozoficznym przez Wł. L. Jaworskiego. Kontrkandydatem na katedrę teorii prawa był Czesław Znamierowski. Zaczęły się me częste wizyty wieczorne u Landego, przeciągające się do późnej nocy i wypełnione dyskusjami na abstrakcyjne tematy. Jerzy Lande entuzjastyczny choć nie bezkrytyczny uczeń Petrażyckiego, ścisły logiczny i krytyczny umysł, zapalony taternik, stary kawaler, trochę asceta, człowiek nieugiętej prawości, ukrywający pod skorupą sztywnego nieco *gentleman'a* znaczne skarby uczucia ujawnione w czasie okupacji — nie miał wpływu na wydziale.

Profesor Stanisław Gołąb nie miał ich również. Popierał mnie wytrwale i szczerze. Pamiętam jak w domu u siebie przymierzał mi swą togę profesorską i biret by się przekonać jak w tym stroju będę wyglądał. Trochę dziecinne ale tak było. Bardzo zacny człowiek. Habilitację mej dokonał Lange tuż po wojnie.

Jeśli kto wyglądał na Mefista to Adam Krzyżanowski. Właściwie po wojnie zgarbiony, schorowany, ze szpiczastą bródką robił raczej wrażenie rabina. Pamiętam jak z wiosną 1945, a więc już po wkroczeniu Armii Czerwonej, miał publiczny odczyt w auli Collegium Novum o zmianach spowodowanych przez wojnę. Porównywał sytuację sprzed roku 1939 ze współczesną. Niemcy i Włochy pobite, Francja jest mocarstwem *honoris causa*, Wielka Brytania niby zwycięska ale ledwo zipie z wyczerpania, Rosja zniszczona wojną i wykrwawiona musi się dopiero odbudować, Chiny to muzyka odległej przyszłości. Jedynie Stany Zjednoczone gdzie ani jedna bomba nie padła są mocarstwem na skalę światową. Taka publiczna diagnoza była aktem dużej odwagi cywilnej w nowej Polsce ludowej.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Aleksander Witold RUDZIŃSKI

Erie, Pa., 12 kwietnia 1975.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Artykuł Józefa Garlińskiego „Na Zachodniej Półkuli” (*Kultura* nr 4/331) robi dobre wrażenie, choćby dlatego że Autor nie przybiera pozy wszystkowiedzącego i wyjaśnia lojalnie, że spędził w Ameryce tylko jeden miesiąc, a więc nie miał czasu na pogłębienie swych spostrzeżeń. Ograniczył się więc do pisania tylko tego, co naocznie widział.

Chcę tu dorzucić tylko kilka małych wyjaśnień.

Gdy mowa o wyludnianiu się „polskich dzielnic” jak np. w Chicago, to proces ten nie jest w stadium „początkowym” jakby wynikało z kilku zdań na stronie 106, lecz posunął się już bardzo daleko i to nie tylko w Chicago, ale i w Detroit. Pisałem o tym w artykule o polskich parafiach, zwłaszcza o smutnym położeniu parafii św. Wojciecha i Trójcy Św. w Chicago. Ten sam proces, choć może mniej ostro, zaznaczył się w wielu innych miastach. W Buffalo podobny los grozi parafii św. Stanisława, która obchodziła przed dwoma laty swe stulecie. Lepiej jest w mniejszych parafiach położonych nieco dalej od śródmieścia każdej metropolii.

Autor wspomina tylko o Zw. Narodowym Polskim. Nie umniejszając jego długiej historii i zasług, trzeba pamiętać, że obok ZNP istnieje jeszcze kilka

innych podobnych organizacji. W roku 1973 obchodziło swe stulecie Zjednoczenie Pol. Rzymsko-Katolickie, liczące tylko nieco mniej członków niż ZNP. Jeżeli chodzi o polonijne parafie, to właśnie ZPRK przyczyniło się do ich budowy i rozwoju.

Ale i ZNP i ZPRK to nie jest nic innego jak tylko zrzeszenie lokalnych grup (gmin, osad, różne są nazwy) i tam na miejscu, a nie w centrali chicagowskiej przejawia się zasadnicza działalność tych organizacji. I te dwie największe organizacje i kilka innych jak np. Związek Polek, Unia Polska w Buffalo i Unia Polska w Scranton, Stow. Synów Polski, Zjedn. N. Pol. (nie to samo co ZNP) to są w zasadzie *towarzystwa ubezpieczeniowe*, członkami są tylko ci, którzy wpłacając swe wkładki wykupują takie czy inne polisy ubezpieczeniowe (pośmiertne, od wypadków itd.). Na tym właśnie tle zachodziły nieporozumienia między „starymi” organizacjami, a świeżo przybywającymi, czy to zaraz po II Wojnie czy w ostatnich latach, imigrantami.

Ci nowi chcieli się przeważnie tylko „zapisać do związku”, podczas gdy zarządy wymagały zakupienia polis ubezpieczeniowych, czyli „certyfikatów”.

Jako „ubezpieczalnia” nie mogła taka organizacja rozporządzać swobodnie kapitałem złożonym do wspólnej kasy, bo kapitały te były inwestowane przez centralę danego związku, zjednoczenia czy unii i to na zasadzie praw amerykańskich, a nie tylko własnych statutów danej organizacji. Tego też nowo przybywający nie rozumieli, często po prostu dlatego, że im tego należy nie wyjaśniano. Na tym właśnie tle były nieporozumienia i owo zazdrośne strzeżenie funduszy.

Lokalne organizacje rozporządzają zwykle swoją własną kasą, zasilaną nie tyle ze składek, ile z przeróżnych imprez, nieraz bardzo skromnych. „Od cencika do cencika” powstają jednak nieraz ładne sumki i o ich „chomikowaniu” pisał swego czasu Puacz na łamach *Kultury*.

Na większe sprawy uchwalano na tak zwanych SEJMACH, czyli walnych zjazdach, odbywanych zwykle co cztery lata, tak zwane *assessment*, czyli rodzaj daniny, od każdego dolara wpłacanego tytułem ubezpieczeniowej stawki. Z takich „danin” szły zasiłki ZNP na Kolegium Związkowe, a w ZRPK na takie np. cele jak Semin. Pol. w Orchard Lake lub na pomoc Polsce w czasie wojen.

Nie ma się co dziwić, że niektóre stow. lokalne popadały czasem w marazm gdy w zarządach zasiadali podeszli wiekiem „wieczni prezesi” (i prezeski). Nieraz za całą działalność zarządu starczyło tylko regularne zbieranie stawek ubezpieczeniowych (nie wszyscy wpłacali je hurtem) i innych należności jak np. *assessment*. Chociaż już dość dawno nawoływano na sejmach do troski o młodzież i inne cele bardziej „społeczne”, to zwykle kończyły się na niczym, bo lokale miejscowych organizacji nie miały ani boisk sportowych ani odpowiednich sal dla młodzieży. Przypomniał to na ostatnim sejmie prezes ZPRK.

Ale przed zarządem tego Zjednoczenia stoi inne naglące zadanie: budowa nowego gmachu centralnego, po stary budynek nie odpowiada już dzisiejszym wymaganiom, a ponadto znajduje się w dzielnicy zalanej już przez ludność kolorową, podobnie jak te parafie, gdzie Garlińskiego tak uderzyła obecność ciemno-skórych ministrantów.

Oby artykuł Garlińskiego zapoczątkował po wschodniej stronie „Wielkiej Wody”, jaką jest Atlantyk, żywsze zainteresowanie sprawami i dziejami Polonii. Ignorancja w tych sprawach razi i to bardzo u Polaków przyjeżdżających do Ameryki z Kraju czy z Anglii i Europy.

Razi — to jeszcze nie tragedia, gorzej, że wywołuje zatargi i zniechęcenie jednych do drugich.

Ks. Wojciech SOJKA

New Haven, 7 kwietnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z pewnym zdziwieniem przeczytałem wypowiedzi red. Benedykta Heydenkorna („Wywiad z dr. Brzezińskim”, *Kultura* nr 3/330, marzec 1975) na temat 2-go Kongresu Naukowego, który odbył się w Nowym Jorku w 1971 roku. Zaskoczyły mnie zwłaszcza sformułowania w rodzaju, iż kongres ten „chyba nie był wydarzeniem naukowym”, oraz że nikt z osób, z którymi red. Heydenkorn rozmawiał „nie traktował tego kongresu jako zjazdu naukowego”.

Będąc pracownikiem naukowym od 21 lat, siłą rzeczy brałem udział w dość dużej liczbie konferencji, kongresów i zjazdów naukowych różnego typu. Były wśród nich i małe konferencje robocze poświęcone specyficznej i ograniczonej tematyce i doroczne kongresy towarzystwa historycznego (AHA) i międzydyscyplinarne zjazdy. Uczestniczyłem w konferencjach naukowych amerykańskich, polskich, czechosłowackich i międzynarodowych. Na wyżej wspomnianym 2-im Kongresie miałem zaszczyt przewodniczyć sekcji historycznej. Mając więc wieloletnie doświadczenia poza sobą, wydawało mi się, że mam pewno pojęcie o tym co stanowi zjazd naukowy. Okazuje się, że się myłę i ciekaw jestem jakie też kryteria zdaniem red. Heydenkorna decydują o naukowości danej konferencji naukowej i których z nich zabrakło na 2-im Kongresie.

Nie bardzo też rozumiem określenia „wydarzenie naukowe” w odniesieniu do zjazdu. Wnosząc z licznych komentarzy odnosiłem wrażenie — i nie ja jeden — iż zarówno 1-szy jak i 2-gi Kongres były *wydarzeniem w polskim życiu naukowym* na emigracji, choćby z tego powodu, że dały możliwość uczonej polskim i polskiego pochodzenia przedstawienia referatów i przeprowadzenia dyskusji w ramach różnych dyscyplin na forum wspólnej polskiej konferencji. Być może, że red. Heydenkorn ma swoistą definicję zjazdu naukowego, którą można zastosować do różnego typu spotkań praktykowanych w życiu naukowym, ale szkoda, że nie ujawnił jej w swych wypowiedziach.

Wyrazy prawdziwego poważania łączę,

Prof. dr Piotr WANDYCZ
Przewodniczący Rady Studiów
Rosyjsko-wschodnio-europejskich
Uniwersytetu Yale

Paryż, 15 kwietnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. J. Jankowskiego (4/331 numer *Kultury*), pragnęłabym sprostować te nieścisłości, które mnie dotyczą:

Na żadnym z dwóch posiedzeń francuskiego Ministerstwa Oświaty, na których przedstawione, dyskutowane i jednogłośnie przyjęte zostało rozporządzenie dotyczące dopuszczenia do francuskiej matury języka polskiego, nie miałam referatu. Zabrania głosu nie można bowiem nazywać referatem.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania,

Maria WISTI

Bardzo trudno jest ocenić te prądy polityczne, które znalazły wyraz w paru pozycjach *Kultury* i w przejranych książkach w Bibliotece Polskiej w Londynie. Brakuje mi znajomości odcieni emigracyjnej polityki. Wydaje się, że odcieni tych jest bardzo wiele i bardzo różnią się one od siebie. To dobrze, że można tu wszystko drukować bez cenzury, ale konieczna jest bardzo wnikliwa i mądra cenzura redakcyjna przed dopuszczeniem do druku. Sytuacja geopolityczna kraju zmieniła się radykalnie po wojnie. Do odbiorcy krajowego nie można adresować wypowiedzi, które są kontynuacją przedwojennych sporów. Poza tym młode, drugie już powojenne pokolenie nie przejawia (poza bardzo nielicznymi wyjątkami) zainteresowań politycznych. Złożyło się na to wiele przyczyn. Kraj odrabiał wojenne zniszczenia, usiłował budować trwałe podstawy materialne, zlikwidowany został czynny udział ludności w działaniach politycznych (brak oficjalnej opozycji), nastawienie większości ludzi na dorabianie się (mocno działają wzory bogatych krajów zachodnio-europejskich), centralizacja wszelkich decyzji na najwyższych szczeblach hierarchii partyjno-rządowej, utrwalające się przekonanie o niemożności czynnego oddziaływania nawet w sprawach drugorzędnych — to niektóre tylko powody pasywnego stosunku do polityki większości młodego pokolenia. I nie należy się sugerować ani 56 i 57, ani 68 rokiem. Tych rzeczywiście aktywnych i świadomych celu było bardzo mało. U reszty był to tylko krótkotrwały poryw. Wydaje się, że w kraju o totalitarnym systemie rządów, kraju wplecionym mocno w duży blok, nie ma mowy o własnej linii politycznej bez równego partnerstwa. Rozsądzenie supermocarstwa, sprowadzenie Sowietów do roli równorzędnej z innymi krajami bloku wschodniego musi zacząć się w samych Sowietach; pozostałe kraje muszą wykorzystać odpowiedni moment dla usamodzielnienia swej polityki. Publikacje emigracyjne mogą i powinny spełniać rolę busoli i zegarka — wskazywać czas i kierunek. Z przeczytanych artykułów bardzo ciekawym i słusznym był o stosunkach Polski i Ukrainy. To co w nim pisano można również odnieść do dawnych państw bałtyckich wcielonych obecnie do Rosji. Białorusini nie są chyba w stanie stworzyć własnego państwa, ich świadomość narodowa jest słaba, państwowa — żadna. Jedno co mnie bardzo zaniepokoiło, to orientacja proniemiecka. Znam jej genezę i uważam, że jest błędna. Śledzę wypowiedzi prasowe polityków zachodnich i wschodnio-niemieckich różnej maści. Obserwuję zachowanie się niemieckich turystów w Gdańsku, Szczecinie, Wrocławiu (a jest ich bardzo dużo z jednych i drugich Niemiec). Nie wierzę, i chyba mało ludzi w Polsce wierzy w ich pokojowe oblicze. Oni się niczego nie wyrzekli, a kamuflaż polityczny uprawiali z dobrym skutkiem również przed wojną — wierzyła im prawie cała Europa. Poza tym te sentymenty są u nas bardzo silne zakorzenione i można dużo przegrać wskazując na taką alternatywę. I być może dlatego własna linia polityczna Polski, akceptowana przez większość Polaków, nie będzie się zasadniczo różniła od obecnej — blok państw złączonych wspólnym interesem niedopuszczenia do hegemonii Niemiec i hegemonii sowieckiej dzięki sprowadzeniu tego mocarstwa do właściwych wymiarów, pozwalających na stosunki partnerskie w miarę uczciwe (jeżeli można w polityce mówić o uczciwości). Taka linia polityczna wydaje się być również na ręce wielu krajom Zachodniej Europy, dla których wzrost nadmierny potencjału Niemiec, stanowi oczywiste zagrożenie mniej polityczne, przede wszystkim gospodarcze. Styl publikacji emigracyjnych, jeżeli ma być strawnym dla czytelnika w kraju musi pozbyć się zjadliwości. To nie znaczy, że ma się stępić jego polemiczne ostrze, ale sformułowania typu „pachołki Kremla” i podobne będą wręcz przeciwnie uczucia niż miały wywołać. *Kultura* na to powinna szczególnie zwracać uwagę. To pismo dociera do czytelników bardzo wyrobionych.

Sprawa przekazu informacji — nie można liczyć na swobodne docieranie

ich do kraju w wersji polskiej (poza radiem, którego w ogóle mało się słucha). Celowe byłoby umieszczanie artykułów w dobrej i poczytnej prasie angielskiej i francuskiej, o której wiadomo, że jest w kraju dostępna (przynajmniej w dużych miastach).

Informacje z kraju — wydaje się, że osoba, która je pisze, jest niedoinformowana (np. ocena grudnia 1970 roku w prasie partyjnej, ogólnie dostępnej), brak rozeznania w stosunkach wewnętrzno-partyjnych.

Gierek ma do dziś bardzo silną opozycję w Komitecie Centralnym Partii, a zastępowanie tych ludzi wykonuje się w rękawiczkach i bardzo powoli, nowy garnitur różni się jednak znacznie od poprzedniego, co znajduje odbicie głównie w decyzjach gospodarczych i organizacji podejmowania decyzji — zachowanie na szczeblu centralnym jedynie decyzji strategicznych, secedowanie pozostałych na szczeble średnie i niższe — i bardzo wiele osób, które mogłyby i powinny zacząć działać samodzielnie, działań takich nie podejmuje, łączy się to bowiem z podejmowaniem ryzyka, że zwiększoną odpowiedzialnością, od której średni szczebel już się zdążył odzwycząić — *kto ma tych ludzi zastąpić*, zresztą za młodzi jeszcze by przejść na emeryturę; czasami wydaje się, że istnieje nieświadomy bierny opór na średnich szczeblach władzy politycznej i gospodarczej — jest to forma oporu, którą najtrudniej zwalczyć — przejawia się ona w niedziałaniu, w wyczekiwaniu na decyzje odgórne w sprawach leżących w kompetencji tych ludzi. Nie budzi zdziwienia, że ludzie ci są tacy właśnie, ale co z tym robić?

List nadesłany z kraju

(*List ten dotarł do nas z dużym opóźnieniem, temu należy zatem przypisać oceny autora listu — jak np. sytuację Gierka — których rozwój wypadków nie potwierdził. — REDAKCJA*).

S U B S K R Y P C J A

WYDAWNICTWO „ASTRAL” W CHICAGO

ogłosiło przedpłatę na książkę

inż. STEFANA OSSOWIECKIEGO

pt.:

„ŚWIAT MEGO DUCHA I WIZJE PRZYSZŁOŚCI”

Książka objętości 400 stron ze wstępem i pod redakcją Jerzego Mroczkowskiego ukaże się w połowie bież. roku. Cena w przedpłacie dol. 9,50. Należność należy przesyłać do: ASTRAL EDITORIAL OFFICE, 2248 W. Farwell, Chicago, Ill., 60645. USA.

Z OSTATNIEJ CHWILI

POSTSCRIPTUM DO ARTYKUŁU BRUKSELZYKA

Po pierwsze, nie należy się spieszyć z moralnymi podłościami. Labourzyści już nieraz dostarczali towaru do kroniki obyczajowo-politycznej, ale nigdy jeszcze się tak nie skompromitowali jak przy okazji Szeleпина. Facet został wylany z Polithiura w kilka dni po tym jak rząd Jej Królewskiej Mości musiał bronić w parlamencie prawa do hipokryzji i do stosowania, w imię odprężenia, szwindli i podwójnej miary. Wcałe zresztą nie wykluczone, że Szelepin został wysłany do Anglii w celach wykończeniowych i że labourzyści i związkowcy angielscy przyczynili się bezwiednie do nadania tej podróży charakteru wyprawy samobójczej. Co tylko w niewielkim stopniu tłumaczy ich zachowanie...

Po drugie, do peregierza zachodniej hipokryzji dobili ostatnio sojejałści francuscy, nie od wczoraj mistrzowie w tym fachu. Kiedy Husak zagroził banią Dubczeka, delegacja Francuskiej Partii Socjalistycznej domykała właśnie walizki przed pięciokrotnie odkładaną podróżą do Moskwy. Na pytanie czy poruszają w Moskwie problem Czechosłowacji i Dubczeka, pan Defferre odpowiedział, tak jak gdyby już był w rządzie, że „nie należy się mieszać do spraw wewnętrznych innych krajów”, a p. Rocard, niedawny gozyszt, odpowiedział, że „proces o Dubczeka należy wytoczyć Husakowi a nie Breżniewowi”.

P. Rocard się myli. Najlepiej wytoczyć proces od razu Dubczekowi. Będzie nareszcie spokój, przestanie raz na zawsze zwracać głowę soejałistom o ludzkim obliczu...

BRUKSELZYK

Dopisane 22 kwietnia 1975

WIADOMOŚĆ Z KRAKOWA

W Krakowie powstał Klub Przyjaciół Teatru Ryszarda Filipskiego „Eref 66”, jako „wyraz aprobaty dla kierunku artystycznego i ideowego tego teatru”. Według Rady Klubu oraz Wydziału Propagandy ZW. ZMS członkiem może zostać każdy „... gotowy głosić prawdy oczywiste, popierając je własną postawą, słowem i czynem...”. Jesteśmy świadkami narodzin koncesjonowanej organizacji faszystowskiej o charakterze skrajnie nacjonalistycznym i antysemitkim. Likwidując Moczara Gierek nie tylko przejął jego ideologię i działalność ale ją jeszcze oficjalnie rozwija.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 2^e Trimestre 1975.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CELIS., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 2,50	\$ Can. 13,00	\$ Can. 24,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$US 24,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD.	£ 0,95	£ 5,80	£ 10,50
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F. 120, półroczna - F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,40.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

TOM 253 — STEFAN KORBOŃSKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE

Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945

Książka zawiera rozdziały: *Warunki w jakich rodziło się i rozwijało Polskie Państwo Podziemne. — Służba Zwycięstwu Polski. — Związek Walki Zbrojnej. — Delegatura zbiorowa. — Delegaci Rządu. — Biuro Polityczne i CKON. — Delegatura Rządu. — Rozporządzenia, oświadczenia i odezwy delegatów Rządu. — Armia Krajowa. — Walka cywilna. — Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP). — Krajowa Reprezentacja Polityczna (KRP). — Rada Jedności Narodowej (RJN). — Podziemie BBWR-owskie i OZON-owe. — Podziemie ONR-owskie. — Podziemie komunistyczne i komunizujące oraz ANTYK. — Prasa i wydawnictwa podziemne. — Żydzi pod okupacją. — Kolaboracja. — Katyń. — Przed „Burzą”. — „Burza”. — Powstanie Warszawskie. — Początek okupacji sowieckiej. Ostatnie miesiące Polskiego Państwa Podziemnego. — Epilog. — Lista „Sprawiedliwych wśród narodów”. Indeks nazwisk.*

Str. 288.

Cena F. 40,00 (Dol. 10,00).



TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA

Wnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły: **WSTĘP. — POCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃSTWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA, ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN. — CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.**

Str. 288.

Cena F. 40 (dol. 10,00)